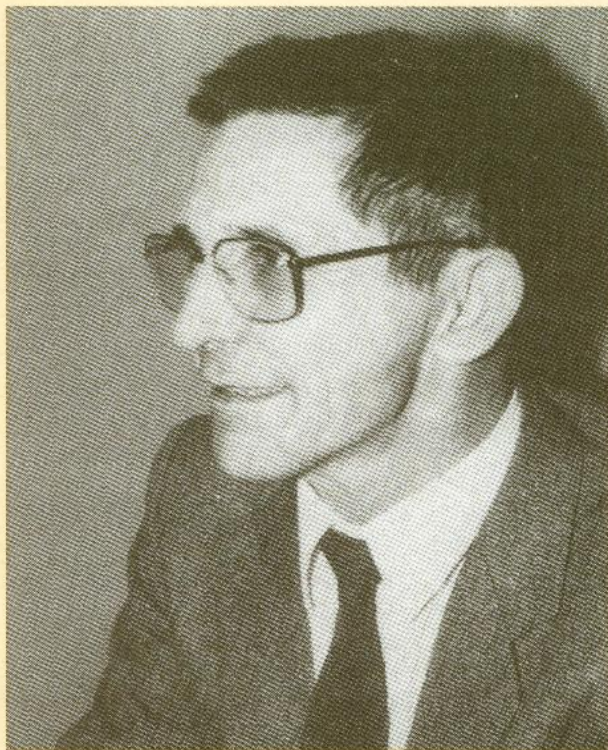


**RAFAŁ
GAN-GANOWICZ
KONDOTIERZY**



Rafał Gan-Ganowicz ur. w 1932 r. w Warszawie. Po powstaniu warszawskim uciekł z transportu w drodze do obozu w Pruszkowie. W 1948 r. został członkiem grupy młodzieży antykomunistycznej. W 1950 roku grupa wpada. Gan-Ganowicz, ostrzeżony w ostatniej chwili, ucieka na Zachód.

Po trzyletnim pobycie w Niemczech jedzie do Francji. Jest żołnierzem Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej. Równolegle przechodzi szkolenie dla komandosów.

Następnie zostaje nauczycielem w gimnazjum dla polskich uchodźców w Les Ageux pod Paryżem. Będąc już przekonany, że w najbliższym czasie nie wyładuje w Polsce na spadochronie, postanawia walczyć przeciw komunistom z bronią w ręku wszędzie tam, gdzie to jest możliwe. W 1965 roku zostaje najemnikiem w Kongo, jednym z trzech dowódców kierujących obroną Stanleyville i pacyfikacją Prowincji Wschodniej. W Kongo pozostaje przez rok. Po upadku Czombego wraca do Europy, a następnie zostaje najemnikiem w Jemenie. Walczy po stronie rojalistów przeciwko promoskiewskim siłom „republikańskim” wspieranym militarnie przez Sowietów.

Obecnie jest dziennikarzem. Mieszka w Paryżu.

*Poprzez czarną narodową noc,
poprzez bagno tchórzostwa i podłości
pójdą młodzi zawzięci i prości
stawiać prawdy swe, jak kosy na sztorc...*

(JÓZEF ŁOBODOWSKI: „Polska rewolucja”)

RAFAŁ GAN-GANOWICZ

KONDOTIERZY

Kondotier *m IV, DB. -a, Ms. ~erze; lm M. ~erzy, DB. -ów, hist.* «w XIV—XVI w. we Włoszech: dowódca oddziałów najemnych w służbie miast lub dworów książęcych; żołnierz najemny» <wł.>



POLSKA FUNDACJA KULTURALNA
Londyn 1989

Published by Polish Cultural Foundation Limited,
9 Charleville Road, London W14 9JL

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system or transmitted in any form or by any means electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise, without the written permission of the copyright owners.

Copyright © Rafał Gan-Ganowicz 1989
© Copyright for Poland „Solidarność Walcząca”

ISBN 0 85065 201 4

Redaktor — Teresa Jeśmanowa

Projekt okładki
Tadeusz Filipowicz

Printed in Great Britain by Caldrea House Ltd.
23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN3 5AB

OD AUTORA

Nie jestem pisarzem. Byłem nauczycielem, kierowcą, stróżem nocnym, spadochroniarzem, komandosem, doradcą wojskowym, monterem pracującym na rusztowaniach, elektrykiem przemysłowym (jak Wałęsa), kierownikiem warsztatu, dziennikarzem...

Ta książka powstała w wyniku usilnych namów przyjaciół, którzy przy winie, czy przy whisky, ale zawsze przy papierosie słuchali moich wspomnień.

Pierwszym był Jurek Sowiński, dziś dziennikarz w Radio France Internationale, który już w latach siedemdziesiątych mnie na spisanie wspomnień namawiał. Drugim był Henio Skwarczyński, który popchnął mnie do publikowania opowiadań; drukowała je później amerykańska prasa polonijna. Niektóre z nich wchodziły w skład tej książki. Największą rolę odegrał Jacek Bierezin, którego pozytywna opinia o mych opowiadaniach przewyciężyła mój strach przed czytelnikiem. Jackowi zawdzięczam również przedmowę, która służyła jako wstęp do mych opowiadań drukowanych w Tygodniku Nowojorskim.

Im więc wszystkim trzem serdecznie dziękuję.

Książkę tę dedykuję „Solidarności Walczącej”.

WSTĘP: NAJEMNICY? TO STARE JAK ŚWIAT

Wojska najemne mają długą historię. Polakom wystarczy przypomnieć dzielnie walczące za polskie pieniądze, najemne oddziały niemieckie, o których pisze Sienkiewicz w *Potopie*, albo słynnych lisowczyków. Jeden z tych dzielnych wojaków został uwieczniony przez Rembrandta. Ale historia najemników jest starsza i bardziej uniwersalna. Już greccy hoplici służyli za pieniądze egipskim faraonom. Uczeń Sokratesa — Ksenofont, filozof, historyk i pisarz o duszy poszukiwacza przygód, wziął udział w wyprawie dziesięciu tysięcy najemników greckich, zaangażowanych przez Cyrusa Młodszego, który wystąpił przeciw swemu starszemu bratu, Artakserksesowi. Mimo cudów męstwa dokonywanych przez Greków, zwolennicy Cyrusa załamali się w bitwie pod Kunaksa, w pobliżu Babilonu, w roku 401 przed Chrystusem. Powrót Greków do ojczyzny poprzez wrogie terytoria opisał później Ksenofont.

Zarówno Rzym jak i Kartagina korzystała z usług słynnych z umiejętnego miotania kamieni procą wyspiarzy z Balearów oraz nie mniej słynnych łuczników z Krety. Rewoltę najemników opisał Flaubert w *Salambo*. Ale dopiero w epoce swego schyłku imperia starożytne rozpowszechniły użycie wojsk najemnych do obrony swego stanu posiadania. Rzym płacił za swą obronę barbarzyńcom: Alamanom, Sarmatom i innym.

Siły wojskowe Bizancjum przez długie wieki składały się z cudzoziemców — Germanowie i Normanowie stanowili elitar-ny korpus straży cesarskiej. W armii Bizancjum służyli rów-nież Frankowie. Nie tylko zresztą chrześcijanie byli na żołdzie cesarstwa. Nie brakło również dawnych nieprzyjaciół: Turków, Scytów i Pieczyngów...

W Europie Zachodniej dopiero w późnym średniowieczu wrócono do zwyczaju najemnictwa wojskowego. W XIII wieku poszczególni książęta wynajmowali wojskowych na udział w jednej kampanii. Francusko-angielska wojna stuletnia była okresem rozkwitu wojsk najemnych. Jeden z wodzów najemni-czych tego okresu, Arnaud de Cervol, był znany z okrucień-stwa. Opanował wiele zamków i wyduszał haracz z wielkich włości. Nawet papież w Awinionie płacił mu ogromne sumy, by mieć spokój.

Włochy były w tym okresie całkowicie w rękach wodzów najemnych wojsk, których nazywano *condottieri*. Stąd przydo-mek jaki mi nadał w Kongo pewien uroczy belgijski misjonarz. Każde miasto, każda prowincja miały swoich *condottieri*, i to nie koniecznie Włochów. Wystarczy wspomnieć słynnego Anglika Johna Hawkinsa. Aby uniknąć rozboju w czasach pokojowych, włoscy książęta pierwsi zrozumieli konieczność opłacania najemników nawet wtedy, gdy nie prowadzili wojny. Był to początek istnienia wojsk zawodowych.

W początkach renesansu Karol Śmiały stworzył oddziały najemnej piechoty, która go zresztą zdradziła, gdy nie miał czym płacić, w czasie bitwy pod Nancy, co przypieczętowało jego koniec. W tych też czasach rozniosła się sława wojenna Szwajcarów, toteż książęta na wyścigi kupowali sobie ich usłu-gi. Niebawem na wielu polach bitwy oddziały szwajcarskie

znajdowały się często w przeciwnych obozach. Franciszek Pierwszy, którego kawaleria pokonała Szwajcarów, zapalał mimo to takim podziwem dla ich męstwa, iż zawarł z Helwecją pokój wieczysty, w akcie którego figurował obowiązek dostarczania pod sztandary królewskie sześciu tysięcy żołnierzy. Korpus Szwajcarski przetrwał w armii francuskiej aż do Rewolucji. Po dziś dzień Gwardia Szwajcarska służy papieżowi.

W XVIII wieku w służbie króla Francji były całe pułki niemieckie, szkockie, a nawet jeden turecki. Nie tylko wojska były cudzoziemskie: ich wodzowie również. W XVII i XVIII wieku wielu słynnych dowódców przebiegało Europę ofiarowując swą szpadę książętom, którzy mogli ich opłacić pieniędzmi i honorami. Jednym z najsławniejszych był Maurycy von Sachsen, syn nieślubny księcia Augusta Saskiego i księżnej Aurory Duńskiej. Zaczął walczyć po stronie cara Piotra Wielkiego przeciw Szwedom, a później przeciw Turkom. Następnie udał się do Francji, gdzie do dziś jest sławny we francuskim brzmieniu imienia i nazwiska: Maurice de Sachse. Upřednio uzyskawszy tytuł księcia Kurlandii, został marszałkiem Francji po wygranej bitwie pod Fontenoy i zmarł w roku 1750 w pałacu Chambord nad Loarą.

Mniej więcej w czasach rewolucji francuskiej następuje zanik „klasycznego” typu żołnierza-najemnika. Od tej pory najemnicy kierują się coraz częściej motywacjami ideowymi, służą sprawie, którą uważają za słuszną. To pojęcie było zupełnie obce ich poprzednikom; dla nich znaczenie miał tylko pieniądź. Takim najemnikiem „nowego typu” był Francisco Miranda. Hiszpan z Wenezueli, który już w wieku lat siedemnastu, dosłużywszy się stopnia kapitana w rodzimej armii, zaangażował się do francuskich wojsk wspierających Waszyngtona.

Następnie walczył w szeregach francuskiej armii republikańskiej i dosłużył się stopnia generała. Po czym wrócił do Wenezueli i poświęcił się walce o niepodległość swego kraju. Takim był też Garibaldi. Ten Włoch urodzony w Nicei walczył w Brazylii przeciw Argentynie, a następnie oddał swą szpadę na usługi Peru. Zdobywszy sławę w czasach włoskich wojen o niepodległość walczył przeciw Francuzom. Co nie przeszkodziło mu wspomóc Francję w wojnie z Prusami w roku 1870.

W XIX wieku armie poborowe stały się regułą. Nastąpił zmierzch oddziałów najemnych. Jednak w tym czasie Ludwik Filip stworzył Francuską Legię Cudzoziemską... którą z miejsca użył do stłumienia rewolty Abd-el-Kadera w Algierii, a następnie „pożyczał” monarchom zaprzyjaźnionym, na przykład królowej Hiszpanii...

Po pierwszej wojnie światowej wielu pilotów wojskowych znalazłszy się bez pracy poszło walczyć w Chinach. Byli tam Francuzi, Niemcy, a nawet Amerykanie. Jeden z tych ostatnich, niejaki Smily, walczył później po stronie cesarza Etiopii przeciw Włochom. Z dniem wybuchu drugiej wojny światowej zaofiarował swe usługi Francji. Spotkawszy się z odmową poszedł walczyć przeciw Sowietom w Finlandii. Za darmo.

Po drugiej wojnie światowej wydawało się, że najemnicy przeszli do historii. Ale dekolonizacja, wrzenie w Afryce i na Bliskim Wschodzie, trudne narodziny struktur państwowych stworzyły na nich nowy popyt. A podaż zapewнили zdemobilizowani żołnierze z Korei, Wietnamu i Algierii. Ci już jednak walczyli o jedną sprawę i z jednym wrogiem, choć na wielu frontach. Do tego gatunku należał — po przeciwnej stronie — Che Guevara. Walczył za pieniądze, ale wyłącznie na rzecz czerwonych.

ŻEGNAJ BEZPIEKO !

„Rafał, organizacja wpadła, szukają cię”. Tych kilka słów rzuconych spieszenie przez kolegę, w sobotę 24 czerwca 1950 roku, spowodowało największy przełom w moim życiu. Casy były stalinowskie. Prześladowano już nie tylko za czyny, ale i za słowa. Starano się zabijać myśli. Garstka młodzieży walcząca o żdźbło prawdy przy pomocy ulotek i napisów na murach zrujnowanej jeszcze Warszawy ryzykowała więcej niż życiem. Tortury były na porządku dziennym. Bałem się. Od tego momentu byłem tropioną zwierzyną. Zapanować nad zdenerwowaniem i strachem było trudno. Powoli jednak ochłonałem. Trzeba było działać. Do mieszkania wrócić nie mogłem — a tam miałem pieniądze i... broń.

Och, nie powiem, że byłem zupełnie nieprzygotowany. O możliwości wsypy myśleliśmy wszyscy. Ale jakoś abstrakcyjnie. Plan miałem taki: dostać się do Wrocławia, gdzie mogłem ewentualnie otrzymać fałszywe papiery jako niby repatriant ze wschodu. Ale Wrocław daleko, a ja się bałem, by nie dostać się żywym w ręce czerwonych. Pojechałem na Żoliborz, w pobliże domu, w którym mieszkałem. Po dłuższej obserwacji spostrzegłem idącego ulicą synka dozorca. Dwunastoletni Wojtek, rudy jak wiewiórka warszawski ulicznik, już nie raz oddawał mi przysługi. Byłem pewny jego dyskrecji. Gdy gwizdnąłem, przybiegł za krzaki, w których byłem ukryty. Potwierdził, że

„smutni panowie” zwiedzili już moje mieszkanie nie przeprowadzając jednak rewizji, wyszli i teraz czekają na mnie w bramie naprzeciwko.

Mój młody przyjaciel zgodził się wynieść z mieszkania pieniądze i pistolet. Gwiżdżąc głośno pobiegł i zniknął w czełusciach klatki schodowej. Na ulicy nikt nie drgnął. W chwilę później miałem przy sobie sporą sumę pieniędzy, a pasek od spodni obciążał Walter P38. Poczułem się rażniej. Udałem się na dworzec, by zorientować się w rozkładzie jazdy. Ku mojemu przerażeniu zauważyłem, że kasy są pod obserwacją. Pociąg do Wrocławia odchodził o dziesiątej wieczorem. Była dziewiąta. Dałem nura w tłum i znalazłem się na ulicy. Ukryłem się w ruinach i zapaliłem papierosa. Za piętnaście dziesiąta wróciłem na dworzec. Wmieszany w tłum, bez biletu, wtoczyłem się na peron. Przeciążona obsługa nie była w stanie wszystkich skontrolować. Charakterystyczni „smutni panowie” również byli bezradni. Pociąg do Wrocławia stał. Już miałem się wcisnąć do przepełnionego wagonu, gdy zauważyłem stojący na przeciwległym torze pociąg do Berlina. A może uciec za granicę? Miałem jeszcze kilka minut. Wszedłem do pociągu berlińskiego gorączkowo rozglądając się za możliwą kryjówką. Nie znalazłem nic. Ale przypomniawszy sobie Londona, postanowiłem rzucić okiem na zewnątrz pociągu. Zajrzałem pod wagony. Między metalowymi poprzeczkami podwozia a podłogą wagonu była szczelina, w którą ktoś tak szczupły jak ja mógł się wcisnąć. Decyzję podjąłem natychmiast. Wgramoliłem się do kryjówki obrywając guziki od marynarki i tłukąc zegarek. Z drugiej strony peronu ruszył z małym opóźnieniem pociąg do Wrocławia. Kości zostały rzucone.

Po pewnym czasie w wagonie nade mną zaczął się ruch.

Wchodzili pasażerowie. Z desek podłogi prosto w oczy sypał mi się kurz. Chciało mi się pić i palić. Czas płynął poza kontrolą stłuczonego zegarka. Wreszcie pociąg ruszył.

Leżałem na żelaznych belkach nieamortyzowanego podwozia. Nade mną, na resorach, kołysał się wagon. Rozhuśtana podłoga dotykała piersi. Ogarnął mnie lęk. Rozdygotany wagon mógł mnie zmiążdżyć. Kurz sypał się ciągle. Musiałem zamknąć oczy. I tak mknąłem w ciemnościach ciepłej na szczęście nocy, obrzucany żwirem i ogłuszony hukiem kół. Przeklinałem mój pomysł. Ogarniały mnie wątpliwości czy gdziekolwiek dojadę. A nawet jeśli tak — to mnie złapią. Ale żywy się nie dam. Postanowiłem mocno, że jeśli mnie wykryją, to drogo sprzedam skórę. Powoli, z trudem, zacząłem drzeć na drobne kawałki wszystkie dokumenty i papiery, jakie miałem przy sobie. Na wszelki wypadek. By nie ułatwić „im” identyfikacji zwłok. Nienawidziłem „ich”. Za prześladowanie patriotów, za mordowanie akowców, za „zapłutego karła reakcji”... Miałem trochę starszego kolegę. Chodził o kulach. Ranny w powstaniu. Odznaczony. Patriota. Bohater. Kaleka. Gdy zgłosił się do odpowiedniej instytucji z prośbą o stypendium jako sierota i inwalida, „czerwony” urzędnik zrzucił go ze schodów wyzywając od bandytów. Jego! Kalekę! Bohatera!

Pociąg pędził dalej. Powoli uspokajałem się. W oczach kurz. W ustach piach. W uszach huk kół i świst wiatru. Nie wiedziałem gdzie jestem, ile upłynęło już czasu. Pomyślałem o kolegach. Nie wiedziałem kto wpadł, kto ocalał. Zaczęło się to niewinnie. Ulotki i afisze. Tajniacy z urzędu bezpieczeństwa nie próbowali nas nawet zatrzymywać. Strzelali jak do kaczek. Jeden z kolegów był ranny w płuco, innemu przestrelili kolaną. Jeszcze innego dobili na śledztwie. Nikogo nie wydał. Było

to rok temu. Postanowiliśmy się bronić. W ścisku tramwajowym kradliśmy milicjantom pistolety. Rozbroiliśmy w ciemnej ulicy sowieckiego żołnierza. Przy naklejaniu plakatów był teraz kolega w „obstawie”. Gdy strzelano do nas, ukryta w ruinach „obstawa” odpowiadała ogniem. Ubecy stali się mniej odważni. A teraz wsypa!

W pewnym momencie pociąg zaczął zwalniać. Kutno? Koluszki? Nie wiedziałem. Z przerażeniem poczułem, że pod moimi plecami podnosi się metalowa sztaba i unosi mnie w kierunku rozhuśtanej podłogi wagonu. Podnosi i grzeje przez ubranie. Czuję z tyłu gorąco, a z przodu rytmiczne dotknięcia szalejącej podłogi. Zdrętwiałem ze strachu. Zorientowałam się, że leżę na przekładni hamulca. Co będzie gdy pociąg zacznie hamować mocniej? Podniesie mnie wyżej i zgniecie. Umrę z poparzenia. Gdzieś czytałem, że hamulce kolejowe rozgrzać się mogą do czerwoności. Pociąg wreszcie stanął na bocznym torze jakiegoś dworca. Przez szparę między ścianą wagonu a podwoziem w poświacie księżyca widziałem zardzewiałe szyny i dębowe kłody. Z dała smętne światło latarni. Pociąg ruszył chyba po godzinie. Za tym Kutnem, czy Koluszkami, tory były już lepsze. Mimo napięcia nerwowego i huku momentami drzemałem. Trwało to wieczność. W ustach zgrzytał mi piach, język miałem jak kołek, a załzawione oczy obrośnięte kurzem szczypały mnie mocno. Gołe ręce i twarz smagane były dotkliwie żwirem. Na spieczonych wargach zakrzepła krew. Piekielna podróż.

Potem świt... Robiło się coraz jaśniej. Pociąg zbliżał się do Poznania. Nowy strach. Czy wlażem pod właściwy wagon? Bo kilka wagonów szło z Poznania do Szczecina. Pociąg zwolnił i stanął na stacji. Słyszać huk odczepianych wagonów. Silne

uderzenia lokomotywy. I nic. Długo jak wieczność: nic! Potem rosnący, zbliżający się dźwięk. Od czoła pociągu nadchodził kolejarz sprawdzający hamulce wagonów. Dużym młotem uderzał w hamulec i słuchał jaki wydaje dźwięk. Wiedziałem, że mnie wykryje. Leżąc na przekładni hamulcowej niewątpliwie musiałem przytłumić dźwięk. Niezdecydowanie ścisiałem w rękę rękojeść Waltera. Na to nie byłem przygotowany: przecież nie będę strzelał do kolejarza! Jeszcze kilka uderzeń i już jest. Uderzył, posłuchał i... zajął w lufę Waltera.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Powoli wyprostował się, uderzył w dwie następne osie i spiesznym krokiem, oglądając się czasem, poszedł w kierunku pobliskiego budynku i zniknął mi z oczu. Myślałem gorączkowo. Co robić? Uciekać? W biały dzień, na dworcu? A jeśli pociąg ruszy w momencie, gdy będę się spod niego gramolił? Przecież to śmierć. Czas upływał. Śledziłem peron. Spodziewałem się ujrzeć biegnących milicjantów z bronią w rękę. A tu nic. Cisza. Wsiadają do pociągu nieliczni pasażerowie. Czas upływa. Nabrałem otuchy...

Gdy już pociąg opuścił Poznań i biegł przez równinę, powoli odprężyłem się. Stary kolejarz najwyraźniej nie zdradził. Co sobie mógł myśleć ten człowiek o młodym chłopaku ukrytym pod wagonem kolejowym kurczowo ściskającym broń?

Fizycznie czułem się coraz gorzej. Od wiatru i huku bolała mnie głowa a pragnienie stawało się nieznośne. W ustach zgrzytał piach, śliny brakowało mi nawet na przetarcie z kurzu załzawionych oczu. Nie wiedziałem jak daleko jest do granicy Niemiec Wschodnich ani jak ta granica wygląda. Znowu ogarnął mnie lęk. W miarę upływu czasu — którego nie mogłem

mierzyć inaczej jak tylko rosnącym zmęczeniem i bólem objawnych o żelazo gnatów — denerwowałem się coraz bardziej zbliżającym się przejściem granicznym.

A pociąg pędził dalej... Czas robił swoje: zaczął rosnać we mnie fatalizm. Zaczęło mi być wszystko jedno. Chciałem już tylko końca przygody. Niech się dzieje co chce, byle szybko, byle już nie tłuc się pod pociągiem oczekując groźnej przeprawy. Wiedziałem, że w razie czego, nie dam się. Wyobrażałem sobie krótką walkę, strzelaninę i serię z sowieckiego automatu. Czy śmierć boli? Przestałem się bać. Patrzyłem na siebie jakoś z zewnątrz. Jak na obcego, który jest w strasznej sytuacji.

Pociąg mknął dalej. Gdy zacząłem się znowu głowić czy czasami nie jadę do Szczecina, nagle poczułem, że znowu unosi mnie sztaba przekładni hamulca... zaczęliśmy raptownie zwalniać. Pociąg wtoczył się między wysokie siatki ogrodzenia uwieńczone drutem kolczastym. Wiedziałem, że to już granica.

Na górze w wagonach zaczął się ruch. Jakieś głośnie słowa, tupot nóg nad moją głową, otwieranie i zatraskiwanie drzwi. Szuranie przesuwanych bagaży. Trwało to chwilę i odgłosy zaczęły się oddalać ku przodowi pociągu. Z następnego wagonu wyprowadzono kogoś, kto głośno protestował. W momencie gdy odetchnąłem z ulgą i odprężyłem się, moją uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Od strony lokomotywy szło czterech mężczyzn w mundurach. Przez szparę między podwoziem a ścianą wagonu widziałem tylko nogi. Mundury były różne. Poznałem jeden polski i dwa sowieckie. Czwarty kolor spodni był mi nieznany... Przypuszczałem, że to Niemiec. Od czasu do czasu mignęła mi jakaś twarz i czapka, gdy któryś z nich zaglądał pod wagon.

Wagonów przede mną było pięć. Już tylko trzy... Znowu zajrzeli schylając się nisko. Wprowadziłem nabój w lufę i odbezpieczyłem pistolet. Pierwszy zginie ten, który zajrzy. Czy będę miał czas zabrać tych innych ze sobą do piekła? Ręka z pistoletem drżała mi lekko. Opanuj się, Rafał! Zaglądają pod wagon bezpośrednio przed moim. Idą... Przeszli. Niedbalstwo w służbie ocaliło mi życie. Im też.

Pociąg pędzi znowu. Tym razem nerwy mi wysiadły. Ręce drżą. Dopiero po długiej chwili spostrzegłem, że mam szczęki zaciśnięte do bólu. Królestwo za papierosa!

W chwilach dramatycznych najgorszym wrogiem jest własna wyobraźnia. Człowiek torturuje siebie samego wymyślając niebezpieczeństwa. Teraz zaczynam się bać o to, jak wysiądę na dworcu w Berlinie. W jakim Berlinie? We Wschodnim, sowieckim, czy w Zachodnim? Przestań się dręczyć, idioto! Przecież już dawno mogłeś być zabity. A żyjesz.

Znów długie godziny. Ile — nie wiem. Ale już widać, że zbliżamy się do jakiegoś miasta. Gęstnieją domy. Nie widać pól. Przemysł. Wzdłuż toru, równo z pociągiem, jedzie autobus z młodzieżą. Machają rękami w kierunku wagonów. Jakże im zazdrościłem!

Autobus został w tyle. Tory mnożą się na lewo i prawo. Znów hamulce. Stoimy przy peronie. Tupot nóg. Bagaże. Wysiadają ludzie. Zdecydowałem się. Wysunąłem się pod wagon. Rozejrzawszy się wokół wylazłem na międzytor. Tymczasem pasażerowie opuścili pociąg. Byli nieliczni. Musiałem się spieszyć. Szybko wsiałem do wagonu i wyszedłem z drugiej strony. Na zegarze dwunasta. Byłem w Berlinie. W Berlinie Wschodnim. W dali, na innym peronie, biwakowali Sowietci.

Peron opustoszał. Żle. Liczyłem, że wyjdę z berlińskiego

dworca tak, jak wszedłem w Warszawie: w tłumie. Tu tłum nie było, a kontrola biletów odbywała się przy wyjściu z każdego peronu. Mój już był niemal pusty, tylko gdzieś w głębi kilku ostatnich pasażerów podawało bilet do kontroli. Sytuacja niebezpieczna: musiałem przyciągać wzrok jak jedyny włos na łysej głowie. Schować się zanim mnie ktoś zauważy! Wpadłem do ubikacji — niewielkiej budki na peronie: umywalka i dwie kabiny. Długo piłem wodę o smaku chloru i rdzy. Nad umywalką lustro. W lustrze moja twarz.

Potwornie brudna: sadza i kurz, a na czole brunatny zaciek skrzepłej krwi: musiałem się skaleczyć nawet tego nie czując. Brudny kołnierzyk białej koszuli, urwany guzik od marynarki... Nie przeszedłbym przez miasto zalane słońcem niedzielnego poranka!

Umyłem się szybko, na ile się dało to zrobić zimną wodą bez mydła. Wyrwałem guzik ze spodni i „przyszyłem go do marynarki znalezionym w kącie drucikiem. Otrzeptałem się z kurzu. Lustro skwitowało moje wysiłki życzliwszym obrazem. Wyjrzałem na zewnątrz. Peron opustoszał już zupełnie, a kontroler przeciągnął w poprzek wyjścia łańcuch z napisem *Gesperrt* i właśnie zniknął w czeluści wiodących w dół schodów. „Co robić?” — zadawałem sobie „leninowskie” pytanie.

Postanowiłem czekać do wieczora w gościnnej ubikacji, a później, już pod osłoną ciemności, opuścić na pół zrujnowany wojną dworzec. W postanowieniu tym nie wytrwałem długo. Zegar na dworcu wskazywał dopiero południe. Południe czerwcowego, długiego dnia. Byłem głodny i zdenerwowany. Gdy jakiś podmiejski pociąg zasłonił widok na mój peron, puściłem się biegiem ku wyjściu. Przeskoczyłem łańcuch i zbiegłem po schodach. Po chwili byłem na ulicy, gdzie przewijał

się tłum niedzielnych spacerowiczów.

Miasto, nieznane i w mojej polskiej podświadomości — wrogie, nie wydało mi się zupełnie obce: może sprawił to widok ruin. Ucieszyłem się. Z warszawskich przygód wyniosłem znakomitą umiejętność „pryskania” w zakamarki spalonych domów, wspinania się po resztkach schodów i łązenia po gzymsach i rusztowaniach. W razie czego wiedziałem co robić! Ruszyłem więc w miasto wybierając najmniej ruchliwe i najbardziej zniszczone ulice.

Stałem przed nowym problemem. Jak znaleźć któryś z zachodnich sektorów: amerykański, brytyjski lub francuski? W którą stronę pójść? Przez jakiś czas kierowałem się według słońca na zachód, ale szybko zbeształem się za głupotę: zachodnie sektory okupacyjne wcale nie musiały się pokrywać z zachodnią, w sensie geograficznym, częścią Berlina. Majaczyły mi wspomnienia z jakichś reportaży z czasów niedawnej blokady miasta: punkty graniczne, szlabany w poprzek ulic... Myślałem, że bez większego trudu uda mi się je ominąć ruinami. Ale w perspektywie najdłuższych nawet ulic, w które zerkalem — szlabanów nie było widać...¹. Pędziły gdzieś tramwaje, turkotała nadziemna kolejka na stalowych wiaduktach... Co robić, gdy któryś z nielicznych przechodniów spyta mnie o coś? Uciekać w gruzy? Udawać niemowę?

Po kilku godzinach kluczenia w zaułkach ruin spostrzegłem, że coś się zmieniło. Po chwili zdałem sobie sprawę: widziane z odległości wystawy sklepów, na które nie zwracałem przedtem uwagi. Stały się jakieś weselsze, kolorowe. Czyżbym był w Berlinie Zachodnim? Nie, to niemożliwe. Przecież nie przeszedłem żadnej granicy!... Ale ruch samochodowy większy i przechodnie lepiej ubrani! I... amerykański jeep z napi-

sem *Military Police*! Jeszcze nie miałem pewności, ale już nabrałem nadziei, przestałem się bać. Wmieszać się w tłum. Tak, niewątpliwie to był Zachód! Przed sklepem z owocami wystawione pomarańcze. POMARAŃCZE! Owoc, który pamiętałem z dawnych, przedwojennych lat, a we współczesnej mi Warszawie niemal mityczny. Reklama coca-coli... błyszczące, amerykańskie samochody... Byłem jednak w Berlinie Zachodnim!

Półtora roku spędziłem w obozie dla uchodźców przy Rothemburgerstrasse 8, w dzielnicy Steglitz, w sektorze amerykańskim. Obozów w zachodnich sektorach było wiele: z „demokratycznych” Niemiec uciekały tysiące ludzi, by schronić się u „imperialistów”. Obóz w Steglitz był jedynym obozem dla cudzoziemców. Większość mieszkańców stanowili Polacy. Było jeszcze trochę Czechów, Węgrów i Rumunów, a nawet jeden Bułgar, dezterter z bułgarskiej misji wojskowej we Wschodnim Berlinie.

Polacy byli różni. Starzy i młodzi. Z AK i z NSZ. Byli i tacy, którzy wojnę spędzili pod sztandarami II Korpusu i wrócili do Kraju zwabieni propagandą lub po prostu gnani tęsknotą za rodziną, za ojczystą stroną... Wieczne podejrzenia czerwonych, nękanie rewizjami, strach przed oskarżeniem zmuszały ich do ucieczki w dramatycznych nieraz warunkach. Uciekali przez Odrę: wpływ, na łódkach... Uciekali przez Nyse: zimą — po łamiącej się pod nogami krze, tropieni przez psy, ostrzeliwani przez sowieckie straże, przez WOP i VOPO². Wędrowali nocami przez lasy narażeni na zdradę miejscowej, wrogiej ludności. W Berlinie — ci co doszli — leczyli odmrożone nogi. Leczyli gangrenę na poranionych przez zasieki rękach. Leczyli wyniesione z wilgotnych lasów zapalenie płuc. Leczyli rany postrza-

łowe odniesione na granicy lub w drodze. Leczyli rany zadane im w śledztwie przez UB.

Piliśmy spirytus apteczny mniej lub bardziej rozcieńczony wodą. Paliliśmy papierosy ze skromnego przydziału. Nocne rozmowy ludzi, którzy nie widzieli przed sobą normalnej przyszłości, ludzi z nienormalnego państwa, ofiar nienormalnego porządku na świecie. Żołnierze z Obozu Zwycięzców w obozie kierowanym przez zwyciężonych... Byłem wśród nich najmłodszy. Z ich snutymi nocami opowieści czerpałem „naukę o Polsce i świecie współczesnym” jakiej nie dałaby mi żadna inna szkoła. Bo obóz dla cudzoziemskich uchodźców przy Rothemburgerstrasse był szkołą. Szkołą goryczy i tłumionej żądzы zemsty, szkołą nienawiści do komunistów.

1. Było to już po blokadzie, a jeszcze przed postawieniem słynnego muru. Granice sektorów były oznaczone tylko tablicami z odpowiednimi napisami. Nie pozbawione to było swoistego humoru: „Tu kończy się sektor demokratyczny, a zaczyna amerykański” lub: „Tu kończy się francuski, a zaczyna demokratyczny”.

2. VOPO — skrót od *Volkspolizei*, wschodnioniemieckiej milicji.

KONGO

W PRZEDSIONKU „WIELKIEJ PRZYGODY”

Było parno. W powietrzu unosił się zapach tropikalnej roślinności. Była noc. Na wprost mnie Krzyż Południa. Ten mityczny dla Europejczyka conradowski gwiazdozbiór zasłonięty był przed moim wzrokiem przez wysoki budynek hotelu Baccara. Tylko przed wzrokiem. Bo wyobraźnia wyczulona jeszcze na egzotykę chłoneła otoczenie widzialne i niewidzialne. Byłem dopiero drugi dzień w Afryce. W ciemności tropikalnej nocy miasto jarzyło się różnokolorowymi światłami. Z dala dochodziły dźwięki muzyki o zwariowanym, pulsującym rytmie. Miasto zdawało się drgać w takt tego rytmu. Leopoldville, stolica Konga¹.

Siedziałem na bambusowym, wyplatany fotelu, na balkonie pierwszego piętra *buildingu*. Nie dowiedziałem się nigdy kto tak nazwał dwupiętrowy budynek stojący wśród drzew, a służący jako miejsce tranzytowe dla „najemników”. „Najemnicy”: „psy wojny”, *les mercenaires, soldiers of fortune*. Od trzech dni byłem jednym z nich.

Ze szklanką whisky w ręku wsłuchiwałem się w płynące z miasta dźwięki, chłonałem zapach tropików. Całym organizmem czułem oczekującą mnie „Wielką Przygodę”. Z dołu, z pierwszego piętra, dobiegała śpiewana przez kilka męskich

głosów melodia marszu Pierwszego Pułku Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. To moi przyszli współtowarzysze, których alkohol przeniósł w czasy, gdy walczyli gdzie indziej, pod innym niebem. Choć chyba nie o inną sprawę. Czy moi nowi koledzy wspominali Wietnam, czy wojnę w Algierii? Nie wiedziałem. Psy wojny? Na pewno. Wojna była ich żywiołem i narkotykiem. Najemnicy? Niezupełnie. Jeśli „najemnik” jest w stosunku do żołnierza tym, czym prostytutka w stosunku do kochanki — to autentycznych najemników wśród nas nie było. Ci żołnierze nie sprzedawali się ani każdemu kto płacił, ani nawet temu kto płacił najwięcej. Wtedy czułem to instynktownie. Dowód na to miałem kilka lat później, gdy wysłannik Fidela Castro proponował nam w paryskiej restauracji „Le Fouquet's” na Polach Elizejskich znacznie wyższe gaże i wyższe stopnie w służbie rewolucji w Boliwii. Żaden z obecnych ze mną sześciu oficerów nie zgodził się pójść „zaszczytnym” śladem Che-Guevary. A przecież naszych odpowiedników z przeciwnej strony barykady nikt nie śmie nazwać „czerwonymi najemnikami”. Nawet tych, którzy, jak „Che”, zarabiali dziesiątki tysięcy dolarów i posiadali luksusowe wille na Kubie...

Whisky czy nastrój? Pograżałem się w myślach. Nawet połączenie legionowego śpiewu z rytmem muzyki Czarnego Łądu nie drażniło ucha, lecz upajało...

Czułem, że tych weteranów zapomnianych wojen łączy coś, co dla mnie nie jest jeszcze dostępne. Zazdrościłem im. Ale formalnie już byłem jednym z nich. Mało. Byłem oficerem. Czy dam sobie radę? Czy zyskam ich szacunek? Czy nie stchórzę? Wzdrygnąłem się. Nie wolno mi zwątpić w siebie. W tym gronie elity żołnierskiej wielu narodowości muszą się wykazać, choćby mi przyszło zapłacić najwyższą cenę.

Trzy dni temu w Brukseli, w biurze werbunkowym mieszczącym się na trzecim piętrze ambasady kongijskiej, przeszedłem komisję lekarską. Nie miałem ani płaskostopia, ani hemoroidów. Zdolny do służby. Podpisałem cyrograf. Otrzymałem bilet lotniczy Paryż — Leopoldville. W mój uchodźczy paszport ostemplowano pierwszą z całego późniejszego szeregu egzotycznych wiz. Ze skromnego uchodźcy, który próbował zaspokoić swą potrzebę pracy społecznej jako nauczyciel w podparyskim liceum dla polskich dzieci — stałem się wreszcie kimś innym... Stałem się Polakiem, któremu jest dane walczyć z czerwoną zarazą z bronią w ręku. Bo przez całe lata przygotowywałem się do tego, myśląc, że doczekam się wreszcie walki o wyzwolenie ojczyzny. Po latach oczekiwania — olśnienie! Z komunizmem walczyć można i trzeba wszędzie tam, gdzie zagraża on jakiemuś społeczeństwu. Na międzynarodówkę komunistyczną — odpowiedzieć międzynarodówką antykomunistyczną. Walczyć, a nie kibicować.

Czy tamci, na dole, w barze, myśleli tak samo? Antykomunistami byli na pewno. Ale w wojnie szukali czego innego. Czegoś, czego smak poznałem dopiero później: męskiej, wiernej przyjaźni, przygody, a przede wszystkim ciągłego wystawiania się na próbę. Narkotyk ryzyka. Nigdy tak się człowiek nie cieszy życiem, jak wtedy, gdy o włos uniknął śmierci. Przekonałem się później, jakim rajem wydaje się życie, gdy przejdzie się przez płomień piekła. Jaką żądzę życia czuje ten, kto ociera się o śmierć, jak smakuje szklanka whisky spłukująca smak potu lub krwi. Narkotyk wojny...

Rozpędziłem się. Wybiegłem w przyszłość. Wtedy, na balkonie *buildingu* w Leopoldville, jeszcze o tym nie wiedziałem. Przeczuwałem to tylko słuchając śpiewu wiecznych żołnierzy...

A czym kierował się Kowalski? Kapitan Kowalski. Człowiek, o którym słyszałem od wszystkich starych bywalców *buildingu*, poszukiwaczy wrażeń pod Krzyżem Południa... Kim był ten mój rodak?

Miałem go poznać w kilka dni później. Ale już znałem go ze słyszenia. Nie jego. Raczej legendę o nim: młody oficer II Korpusu w czasie wojny — osiedlił się w Belgii. Imał się różnych zawodów. W ostatnich latach był kucharzem na dworze króla Belgów. Rzucił wszystko, by wziąć udział w wojnie jaką komuniści rozpętali w Kongo. Był tu już prawie od dwóch lat. Tydzień po tygodniu obrastał w legendę. Postać szalona. Jak Kmicic — hulaka i awanturnik. Odważny do nieprzytomności, do szaleństwa. Uwielbiany przez żołnierzy białych i czarnych. Biali cenili w nim męstwo i fantazję. No i mocną głowę przy hulance. Czarni zabobonnie wierzyli w jego szczęśliwą gwiazdę, w niebywałe wprost szczęście człowieka², który nie unikał żadnego ryzyka i szli za nim w ogień. Kowalski z dziesięcioma ludźmi zdobywał miasto bronione przez 300 komunistycznych, świetnie uzbrojonych rebeliantów. Kowalski był siedem razy ranny. Kowalski wyniósł z płonącej wsi rannego żołnierza mając sam kulę w łopatce. Kowalski całe ciało, z wyjątkiem twarzy, miał w bliznach. Kowalski, Kowalski, Kowalski... Wracał w rozmowach — w stołówce, w barze i na kwaterze. Imponował odwagą starym wyjadaczom, którym z reguły nie imponowało nic. Co tu dużo mówić: dumny byłem z mojego sławnego rodaka. Trochę bardziej rozumiałem życzliwość, jaka mnie tu spotykała na każdym kroku jako Polaka.

Mój dyplom oficerski, który otrzymałem od generała Andersa, został uznany jako pełnoprawny dzięki innemu Polakowi. Był nim major Morcinek: doktor Morcinek, szef służby

zdrowia kongijskiej armii, ceniony przez wszystkich za odwagę z jaką poruszał się po froncie niosąc pomoc rannym — co wcale nie należało do jego obowiązków.

Było już późno. Wstałem. Iść spać? Zbyt wiele wrażeń. Piętro niżej trwała wrzawa żołnierskich głosów. Poczulem potrzebę zanurzenia się w to, co miało stać się moim środowiskiem. Jakby sam fakt obcowania z nimi: wtajemniczonymi i wypróbowanymi, miał mnie upewnić, że się sprawdzę, że nie zawiodę, że będę ich godny.

Kowalski był oczekiwany za cztery dni! Zobaczę legendę.

Drzewa rosnące wokół *buildingu* przypominały jarzębinę. Z bliska jednak można było zaobserwować na nich wszystkie cztery pory roku: młode listki i pączki, dojrzałe liście i kwiaty, wreszcie owoce i żółtkłe, opadające listowie. Na drzewach mnóstwo ptaków i biegające szybko jaszczurki. Leopoldville jest miastem rozległym, z dużą ilością zieleni. Budynki niskie jedno lub dwupiętrowe. Od czasu do czasu wyrasta gdzieś imponujący drapacz chmur. Już wtedy znać było brak nadzoru technicznego. Ze wspaniałych czasami budowlı odpadał tynk. W eleganckich dzielnicach piętrzyły się śmieci. Wszędzie ogromny zgiełk. Murzyni lubią tranzystorowe radia. Rozkrzyczane dzieci, nawoływania handlarzy, kłótnie i śpiew. Na targowisku, które przełamawszy tamy kolonialnych porządków wlewało się w dzielnicę rezydencjalną — roje much. Głodne psy i równie głodne dzieci żebrały wspólnie w tłoku i brudzie. Na ogół bez skutku. Spod tynku belgijskiej cywilizacji wyzierała wieczna, beztroska i bezlitosna Afryka. Na skraju targowiska zbiegowisko. To czarownik ubrany w małpie skóry i obwieszony amuletami, wróżył amatorom z wnętrzości spe-

cialnie w tym celu mordowanych kur. Kałuża kurzej krwi czarna była od much, które unosiły się chmurą. Gdy jakiś pies próbował lizać krew, zanim zwinął się z bólu od potężnego kopnięcia w podbrzusze. I to wszystko w zaduchu tropikalnego upału. Spocone twarze i ciała...

W barze hotelu Baccara panował przyjemny chłód. Zamieszkały przez zagranicznych gości hotel jeszcze starał się utrzymywać dawną świetność. Ale tu i ówdzie brakowało żarówki. Na cztery windy — dwie były nieczynne. Z niektórych skórzanych foteli wystawały sprężyny zagrażające dostojnym tyłkom dewizowych gości. Ale i tak była to oaza czystości, spokoju i chłodu...

„Zwiedzanie” miasta zmęczyło mnie. Sącyłem „bloody Mary” przy barze. Z głośnika płynęła melodia Plattersów „Only you...” Ktoś uderzył mnie w ramię. Odwróciłem się. Stał przede mną brunet o jasnoniebieskich oczach i szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Kowalski jestem, witam rodaka...

Zerwałem się z barowego stołka. Kapitan Kowalski był niewysokim, ale świetnie zbudowanym mężczyzną, którego zgrabną sylwetkę podkreślał krój kamuflażowego, spadochroniarskiego munduru. W Leopoldville „najemnikom” nie wolno było nosić mundurów. Ale Kowalski zawsze robił to, czego nie wolno... Zimne, niebieskie oczy kontrastowały z pełnym sympatii wyrazem twarzy. Kowalski sondował mnie. Ja obserwowałem człowieka, o którym tyle słyshałem. Wygląd watażki lub korsarza. Kocia zwinność ruchów. Piękne rysy cygańskiego księcia. I te zimne oczy...

Zaprosił mnie na obiad. Umiejętnymi pytaniami i skupioną uwagą wyciągnął ze mnie wszystko. Przy deserze już znał mój

życiorys. Przy koniaku i kawie zaczął mówić on. Jego motto życiowe brzmiało: „lepiej jest przeżyć jeden dzień jak lew, niż całe życie jak zając”. Tłumaczył mi „swoją” wojnę. Wojnę, którą pojmował jak „Wielką Grę”. Przechytrzyć przeciwnika, zaskoczyć. Przeprowadzić niespodziewany atak, w którym odwaga i brawura mylą wroga co do sił atakującego. A później — śmiał się Kowalski — zabobon i legenda robią swoje. Przeciwnik panikuje na sam dźwięk nazwiska. Ucieka przed człowiekiem, któremu najwyraźniej sprzyjają duchy. Zabobon i karabin maszynowy. Penicylina i amulet. Radio krótkofalowe i tam-tamy. Bazooka i zatrute strzały. Afryka.

Wyszliśmy z baru późnym wieczorem, gdy dzienny upał zmieniał się w parną noc.

I w tym wypadku legenda Kowalskiego okazała się prawdziwa: mocną miał głowę. Światła hotelu Baccara dwoiły mi się w oczach...

W parę miesięcy później ciężko rannego Kowalskiego ewakuowano do Brukseli. Kilka operacji postawiło go na nogi. Ożenił się z bogatą, przystojną Belgijką, która opiekowała się rannymi w szpitalu. Wyjechali na Wyspy Kanaryjskie i kupili hotel. Kowalski zainwestował wszystkie swoje oszczędności i wysokie odszkodowanie za rany. Zapraszał mnie. Gdy po latach chciałem skorzystać z zaproszenia i napisałem do niego list — odpowiedziała mi żona:

„Mąż mój przepisał na mnie cały stan posiadania. W tajemnicy przede mną. 15 kwietnia 1971 roku zniknął, zostawiając list: «Wybacz, kocham cię, ale takiego życia nie mogę znieść. Nudzę się. Jadę tam, gdzie mnie jeszcze nie było. Nie czekaj na mnie. Tacy jak ja nie wracają nigdy...»”

Od 1971 roku pytam wszystkich czy nie słyszeli o kapitanie Kowalskim...

1. Leopoldville od 1967 roku nazywa się Kinszasa, a Kongo zostało w roku 1971 przemianowane na Zair.
2. W języku swahili — szczęście; *nasibu* to przynoszący szczęście amulet, dobra aura, w przeciwieństwie do *hari* lub *heri*, co oznacza szczęście pospolite, zadowolenie na przykład z powodu pełnego żołądka...

ZIELONA DŻUNGLA I CZERWONA REWOLUCJA

Któż to dziś jeszcze pamięta? Pierwsze strony gazet. Sensacja budząca grozę. Wieści z piekła. Rozpacz rodzin pomordowanych. Rok 1965. Miasto Stanleyville, stolica Prowincji Wschodniej, głośnie było podówczas w całym świecie z powodu krwawej rzezi, jaką podburzony przez komunistów motłoch urządził europejskiej ludności.

Kongo, ze swymi złożami miedzi, uranu, złota i diamentów, miało stać się czerwonym przyczółkiem do zdobycia Czarnego Lądu. Gdyby Sowietom i ich ówczesnym chińskim sojusznikom udało się położyć łapę na tym kraju i wciągnąć go w orbitę swych strategicznych planów — zagrażałoby Angoli i Afryce Południowej. Gra była warta świeczki. Ale jak mówić o komunizmie w kraju w trzech czwartych zarośniętym dżunglą, gdzie ludność poza miastami prowadzi życie koczownicze, na poły myśliwskie, gdzie tradycje plemienne i zabobony splątane w sieć zakazów, tabu, regulują stosunki, a plemiona murzyńskie z rzadka tylko widziały białego człowieka?

Sowieccy i chińscy strategowie dywersji rozegrali partię po mistrzowsku. Agenci komunistyczni w pierwszej fazie podburzyli motłoch miejski do kradzieży i rozgrabienia mienia białej ludności. W następnej fazie, wykorzystując strach Murzynów

przed zemstą białych, nakłonili ich do rzezi. Żeby nie było świadków — mówili. Żeby inni biali bali się tu wrócić i pociągnąć zbrodniarzy do odpowiedzialności. Krew zaczęła się lać strumieniami. Gwałcono kobiety zarzynając je potem nożami. Sztachety płotu okalającego koszarę udekorowano białymi dziećmi żywcem wbijanymi na ostrza. Ze szczególną gorliwością znęcano się nad zakonnicami i misjonarzami.

W tym samym czasie komunistyczni emisariusze docierali do na wpół dzikich plemion żyjących w dżungli i wchodzili w kontakt z plemiennymi czarownikami. Szamani ci nie lubili białego człowieka, gdyż tam gdzie wkraczał misjonarz i lekarz — tam kończyła się ich władza. Różnić białego — było hasłem, które odpowiadało im szczególnie. Zagrały w dżungli tam-tamy. Czarownicy głosili śmierć mitu białego człowieka. Uzbrojone przez Sowiety plemiona zajmowały miasta i plantacje. Odurzeni przez czarowników haszyszem wojownicy prześcigali się w krwiożerczości i okrucieństwie. Przez Sudan szły transporty sowieckiej broni.

Prowincja Katanga, bardziej uprzemysłowiona i cywilizowana, oderwała się od Konga. W imię świętości i nienaruszalności granic odziedziczonych po mocarstwach kolonialnych — „błękitne hełmy” Organizacji Narodów Zjednoczonych zwalczyły katangijską secesję. Ale wobec pożogi jaka zalała Prowincję Wschodnią, przywódca katangijskiej secesji Mojżesz Czombe został premierem całego Konga. Wierne mu i wypróbowane w boju oddziały katangijskie były bowiem jedyną lokalną siłą zdolną przeciwstawić się rebelii. Czombe, już w czasie katangijskiej wojny secesyjnej, walczył przeciwko siłom ONZ przy pomocy sprowadzanych z Europy specjalistów wojskowych różnych narodowości.

To były narodziny „najemników”. Wypróbowałszy ich niezwykle kwalifikacje bojowe w Katandze, Czombe stworzył z nich kadry dla oddziałów katangijskich rzuconych przeciwko rebelii.

Gdy do Europy dotarły wieści o rzezi białej ludności w Stanleyville, rząd belgijski, za zgodą Czombego, zdecydował się na wysłanie pomocy. Nie Czombemu w walce z rebelią, ale białej ludności Stanleyville. Krwawa orgia trwała już długo. Spędzona w kilka punktów miasta wielotysięczna ludność europejska przeżywała katusze. Co wieczór pijani i odurzeni haszyszem Murzyni wywlekali dziesiątki ludzi na rzeź. Belgijskie oddziały spadochronowe zrzucone na lotnisko w Stanleyville szybko opanowały przyczółek, a przybyłe samolotami posiłki umożliwiły zajęcie miasta i uratowanie resztek białej ludności. Oddziały katangijskie pod dowództwem „najemników” przybyły do Stanleyville częściowo drogą lotniczą, częściowo zaś — prawdziwa to epopeja — drogą rzeczną, czyli grubo ponad dwa tysiące kilometrów w górę rzeki Kongo na źle przystosowanych barkach, poprzez dżunglę, z której przeważające siły rebelianckie przepuszczały ciągłe ataki. Gdy trzy bataliony katangijskie znalazły się w mieście, belgijskich spadochroniarzy wycofano.

Dziwne to było miasto. Część jego czarnej ludności, zamieszana w niedawne zbrodnie, uciekła w dżunglę ze strachu przed karą. Ci, którzy nie uciekli, ciągle nie mogli uwierzyć, że zgodnie z dyrektywami Czombego kara ich ominęła. Czombe bowiem chciał uniknąć wciągnięcia kraju w łańcuch nie kończących się rzezi. Administracja miasta była w rękach Katangijszczyków przybyłych za wojskiem ze stolicy. Sztab wojskowy był kongijski. Natomiast oddziały frontowe były katangijskie. To-



Autor w mundurze



Grupa najemników. Charakterystyczne, że noszą nakrycia głów charakterystyczne dla jednostek, w których kiedyś służyli, przeważnie białe z Legii Cudzoziemskiej i czerwone berety spadochroniarzy.

też nie brakowało konfliktów. Niedawno przecież, w czasie secesji Katangi, ci ludzie walczyli przeciwko sobie. Szczęściem „najemnicze” kadry oddziałów frontowych i belgijscy doradcy administracji cywilnej współpracowali jako tako, choć i tu nie brakło antagonizmów...

W dawnej szkole średniej mieściła się kwatera „najemników”. Oficerowie zaopatrzenia i służb administracyjnych mieszkali w Hotelu Wodospadów. Belgowie z administracji cywilnej i wojskowi doradcy sztabu zajmowali hotel Stanleya. Policja była kongijska. Ulice patrolowały oddziały katangijskie. Katangijczycy ze stolicy mówili narzeczem lingala. Katangijczycy i tubylcza ludność cywilna używali języka swahili. Belgowie mówili po francusku i rzadziej po flamandzku. W kwaterze „najemników” usłyszeć można było wszystkie języki europejskie. Walki toczyły się na przedmieściach. Przez linię frontu przedzierała się do miasta czarna ludność, przerażona panującym w dżungli terrorem czerwonej rebelii. Brakowało żywności i lekarstw dla ludności cywilnej, a amunicji dla wojska. Lotnisko, jedyna droga jakichkolwiek dostaw, było pod ostrzałem z pobliskiej dżungli, o czym się zresztą sam miałem przekonać...

Z grubsza o tym wszystkim wiedziałem już z gazet, ale słuchałem uważnie kapitana Kowalskiego, który objaśniał mi sytuację kraju, w którym miałem żyć i walczyć.

Kapitan Kowalski nie należał do załogi Stanleyville. Terenem jego korsarskich zagonów były plantacje cukru nad jeziorem Tanganika, w okolicach miasta Uwira. Do Leopoldville przyleciał po należny jego ludziom żołd, po części wymienne do zużytej broni, po amunicję. Przyleciał starym, rozklekota

nym jednosilnikowym samolotem z belgijskim pilotem, amatorem silnych wrażeń. Samolot znaleźli w hangarze jakiejś opuszczonej plantacji...

Tymże dychawicznym, czteroosobowym aparatem lecieliśmy teraz nad dżunglą z Leopoldville do Stanleyville. Rudy Belg-pilot, Kowalski i ja. W ciasnej kabinie wypchanej szczelnie zaopatrzeniem było duszno. Przeciążony samolot leciał nisko. Jedyne silnik czasem się krztusił. Pod nami dżungla. W dżungli rebelia, dająca z rzadka znak, że istnieje, serią z karabinu maszynowego. Nic groźnego. Był silnik wytrzymał. Woląłem nie myśleć co by się stało z nami w razie awarii. A Kowalski „wprowadzał mnie w tutejszą rzeczywistość” — jak sam to określił. Mówił z przejęciem, z sympatią dla kraju, w którym przyszło mu walczyć. Murzyni są jak dzieci — tłumaczył mi. Jak dzieci okrutni i jak dzieci tegoż okrucieństwa nieświadomi. Kowalski czuł był na krzywdę kongijskiej społeczności. Winił białych za kolonizację, która załamała dawne struktury plemienne, ale jeszcze bardziej winił ich za pospieszoną, nie przemyślaną dekolonizację, która z kolei usuwała struktury kolonialne. W ten sposób czarna ludność, której odebrano tradycje, a nie nauczono korzystania z postępu, pozostawiona sama sobie, była podatna na wszystko. A co dopiero, gdy Sowieci podrzucali broń, agentów i wywrotowe hasła...

Samolot leciał wzdłuż rzeki Kongo, której brudnożółte wody toczyły się przedziwnymi meandrami poprzez skłębioną dżunglę. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont widać było bezkresne kłębowisko splątanej roślinności. Dominował kolor zgniłozielony. Na wysokości ośmiuset metrów, którą osiągnął z trudem nasz przeciążony samolot-grat, czuć było wilgotny, mdły oddech dżungli i bagien. Nie widać było ani dróg, ani wsi.

Nieliczna ludność zamieszkująca dziewicze lasy nie zdołała wycisnąć na nich jakiegokolwiek śladu obecności człowieka. Tylko nad samą rzeką Kongo z rzadka rozsiane plantacje świadczyły o istnieniu ludzi w tym imperium przyrody. Większość plantacji była zniszczona przez rebelię. Co się stało z ludźmi? Zdołali uciec? Zostali wymordowani? Kowalski mówił, że niestety w większości wypadków każda z plantacji, po których przesunął się teraz cień naszego samolotu, była miejscem tragedii, męczeństwa i śmierci. Na całej prawie liczącej dwa tysiące kilometrów ocalało tylko kilka plantacji. Zamienione w warowne obozy, otoczone rebelią, stanowiły etapy naszego lotu wzdłuż Konga. Bo samolot musiał co kilkaset kilometrów lądować, by uzupełnić paliwo. Paliwo dostarczali nam bohaterscy osadnicy za garść amunicji, za jakąś broń...

I tak, skokami z plantacji kawy na plantację cukru, trwał nasz lot nad krajem, o którym jeszcze nie tak dawno nie wiedziałem jeszcze nic... Gdzieś w połowie drogi nocleg w starym kolonialnym domu. Belg, który się w tym domu urodził opowiadał o losach ojca, który ten dom zbudował. Czuł się Afrykaninem. Był kongijskim patriotą. Belgii prawie nie znał...

I ostatni skok. W dżungli, pod nami, coraz większe połacie uprawnych pól i plantacji. Sieć dróg i domy. Widać wioski murzyńskie: bambusowe chaty ustawione kręgiem dookoła centralnego placu. Puste. Nie ma nikogo. Tylko czasami, z dżungli lub ze skłębionych krzewów kawowych opuszczonej plantacji, wznosi się i biegnie ku nam struga świetlnych pocisków karabinu maszynowego. Kiepscy strzelcy. Krowiasty, przeładowany, dychawiczny i nisko lecący samolot jest przecież celem łatwym. Zbyt łatwym jak na mój gust. Ale rudy pilot gwizdże beztrąsco stosując ociężałe uniki, a Kowalski nie

przerywa swej opowieści o wojnie i ludziach. Więc poskramiałem wyobraźnię nasuwającą mi uparcie obraz strąconego samolotu nadzianego jak konserwa naszym mięsem. Trochę nadrabiałem miną. I tak płynął czas. Aż nagle z łysawej już w tym miejscu dżungli wynurzyło się miasto. Samolot położył się na lewe skrzydło i zatoczywszy szeroki łuk zszedł do lądowania. Z zarośniętych chaszczami krańców lotniska w ślad za samolotem biegły pociski karabinu maszynowego. Ze strony budynków sprzężone karabiny maszynowe odpowiedziały ogniem. Kilka wybuchów pocisków z moździerza w pobliżu miejsca, skąd grożono nam zestrzeleniem, i samolot zaczął toczyć się po bieżni lotniska, dziurawej i pełnej wyrw. Strzałów z zarośli już nie było słychać, ale jednak chyłkiem bieглиśmy w stronę budynków. Samolot znalazł bezpieczne schronienie w hangarze.

Było gorąco i parno. Kowalski z trudem dodzwonił się do kwatery dowództwa „najemniczych” kadr. Byłem w Stanleyville. Tu miałem zostać i tu miałem być żołnierzem i dowódcą. Kowalski nazajutrz miał odlecieć do Uwiry.

Przed budynek lotniska z niejaką fantazją zajechał wojskowy jeep z zamontowanym karabinem maszynowym. Pół godziny najbardziej zakurzoną drogą świata, przez rogatki do centrum, klakson, ostry skręt w lewo, elegancka aleja, brama i już...

Plamisty, spadochroniarski mundur. Stojący przy bramie wartownik zasalutował Kowalskiemu. W podwórzu Kowalski zeskoczył z jeepa i zniknął w jakichś drzwiach. Zostawszy sam — rozglądałem się ciekawie. Szofer jeepa, który też zniknął, po chwili zawołał mnie i wskazał ręką drzwi. Wszedłem do biura. Za biurkiem siedział belgijski dowódca „najemniczej” kadry w

Kongo, pułkownik Lamouline. Zameldowałem się. Gruby pułkownik, usłyszawszy, że jestem Polakiem i oficerem uśmiechnął się i powiedział: „Dobrze się składa. Pański rodak, kapitan Topór-Staszak odchodzi na urlop. Zastąpi go pan na stanowisku dowódcy 12 batalionu katangijskiego. Ośmiuset pięćdziesięciu Katangijczyków i dwunastu białych ochotników”. Jak się już od Kowalskiego dowiedziałem, europejscy żołnierze nazywali się między sobą ochotnikami. Słowo „najemnik” nie brzmi dobrze, a zresztą w stosunku do większości z nas nie odpowiada prawdzie.

Przestraszyłem się odpowiedzialności... Być dowódcą jednego z trzech batalionów obrony Stanleyville, dowodzić starymi wygami, weteranami z najprzeróżniejszych wojen, oraz kilkoma setkami Katangijczyków — to nie było zadanie łatwe dla kogoś, kto stawiał swoje pierwsze kroki na ścieżce wojennej przygody. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nie te trudności będą najcięższe do pokonania. Już niedługo miałem możliwość stwierdzić, że najtrudniej będzie zastąpić Topora. Kapitan Topór to druga z kolei polska legenda kongijskiej wojny.

Pocieszał mnie mundur, pistolet przy pasie i oficerskie gwiazdki na naramiennikach. W lustrze, w przeznaczonym dla mnie pokoju, studiowałem marsowe miny. W głębi ducha czułem jednak niepokój. Jak zdam ten najtrudniejszy egzamin — egzamin dowódcy?

1. Dziś: Kisangani.

2. Dziś: Górny Zair.

MULELE MAJ¹

„Mulele maj! Muleleee maaaj!!!” Ryk setek gardeł nie dał się zagłuszyć nawet ogniem broni maszynowej. Splątane chaszcze zdziczałej roślinności na „Kilometrze czwartym”² wypływały z siebie setki rozwrzeszczanych postaci ledwie widocznych w bezksiężycową noc. Fale oszalałych Murzynów szły, biegły, padały, podrywały się znowu... Rycząc i strzelając na oślep, niebezpiecznie się zbliżały. Zamontowany na jeepie karabin maszynowy drgał w moich rękach krótkimi seriami. Pot zalewał mi twarz i tylko niemal nadludzkim wysiłkiem woli tłumilem ogarniającą mnie panikę. Bałem się tego straszego tłumu, który wrzeszcząc szedł na mnie, prawie niewidoczny, dziki, oszalały, podniecony własnym krzykiem, nieludzki...

Rozsądek kazał mi panować nad sobą. Serie krótkie, sprawne, przemyślane. Nie zagrażać lufy! Oszczędzać amunicję! Z rozwagą! Skutecznie! A strach zaciskał mi palec na języku spustowym; wydłużał serie. Łapałem się na tym, że strzelam na oślep, że nie wybieram celu; grzała się lufa. I znów rozsądek przezwyciężał strach. Z zimną krwią. Celnie. Skutecznie. A z chaszczy wyłaziły nowe tłumy pędzone dźwiękiem tam-tamów. Dwunastu Katangijczyków w rowie koło jeepa. Zbili się w grupkę, leżeli jak najbliżej rozszczekanego karabinu maszynowego, którego jazgot dodawał im odwagi,

chronił przed paniką... Strzelali również. Ich pistolety maszynowe pluły długimi seriami. Nie byli zdolni do myślenia, panikowali. Ich ogień był nieskuteczny, ale sprawiał wrażenie, że jest nas więcej. Gdy musiałem wymienić rozpaloną lufę, gdy koniec taśmy przerywał ogień karabinu maszynowego na kilka czy kilkanaście sekund, wrzask nieprzyjaciół zbliżał się. I znów naciskałem na język spustowy. I znów przyduszałem rozpędzoną falę do ziemi. Kończyła się osiemnasta taśma podana mi przez czarnego szofera, który dwie godziny temu wyrwał mnie z łóżka krzycząc: „Lieutenant³, KILOMETR CZWARTY ZAATAKOWANY!”. Nieubrany, w szortach tylko, wybiegłem z willi, w której kwaterowałem. Szofer już wrzucał na jeepa blaszane pudła amunicji... Z dała słychać było strzelaninę, która zbliżała się szybko gdy gnaliśmy asfaltową szosą w kierunku zagrożonej placówki. Osiemnasta taśma kończyła się... Madou, mój szofer, po omacku doczepiał dziewiętnastą. Nie szło mu to sprawnie, gdyż każde oddanie serii wyrывało mu koniec taśmy z ręki. Zdąży podczepić czy nie? Bo jeśli nie, to kilka sekund straconych na zataśmowanie może się skończyć tragicznie... Zdążył. Szarpnięta z nowego pudła dziewiętnasta taśma dobiegła do zamka. Krótkie serie.

„Mulele maj, Mulele maaaj!” — coraz bliżej moich oczu jadowity świst kul, coraz bliżej przelatują robaczki świętojańskie pocisków świetlnych. Czarna fala nadchodzi, zaraz nas zaleje. Jakiś Katangijczyk rzucił granat ręczny: huk — i w blasku wybuchu sylwetki wroga tuż, tuż. Seria długa. Szofer sam już strzela z ręcznej broni. Pół taśmy... Wróg już blisko... Już muszę zataczać lufą większy łuk. Taśma kończy się... Śmierć???

Fala załamała się o kilkanaście metrów przed nami. Dwa

następne granaty dokończyły dzieła. Szybko zakładam dwudziestą taśmę, gorączkowo wprowadzam nabój do lufy. Ale już tam-tamy warczą inaczej.



Prowizorycznie opancerzony jeep. Na drzwiach koniec napisu: „Czerwone diabły”

— Madou — pytam. — Co to znaczy?

— Koniec! — uśmiecha się szofer. — Wzywają do odwrotu.

Rozejrzałem się. W jeepie była już tylko jedna taśma amunicji. Atak wroga załamał się w porę!

Siedząc później na brzegu łóżka, zaciskałem zęby z bólu. W gorączce bitwy nie czułem, że wyrzucane z karabinu maszynowego rozgrzane łuski padały mi na gołe uda. Teraz czerwone i pokryte bąblami piekły mnie straszliwie. Kłąłem w okropny sposób. W trzech językach...

Moja pierwsza bitwa skończyła się moim zwycięstwem jako żołnierza. Ale była dowodem mojej klęski jako dowódcy.

Z dwunastu podkomendnych „białych ochotników” ani jeden nie wziął udziału w walce. „Moje wojsko” piło w mieście... Kompletne lekceważenie moich rozkazów...

Gdy kapitan Topór przedstawił mnie jako swojego następcę, zarówno czarny, katangijski batalion jak i biali podoficerowie przyjęli mnie niechętnie.

Czarni kochali Topora, który dowodził nimi już w Katandze przeciwko „błękitnym hełmom” Organizacji Narodów Zjednoczonych. Byli razem, gdy szwedzkie oddziały masakrowały ich wioski⁴. Byli razem, gdy Katangę obiegła wieść o zestrzeleniu samolotu, którym leciał znienawidzony przez nich Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny ONZ. Topór był sprawiedliwy, odważny i... brutalny. Dbał o swe wojsko jak matka i karał jak ojciec. Był jedynym oficerem w Kongo, który bił po pysku nie wywołując buntu. Od dawna był ich *M'kuu*, czyli plemiennym szefem, któremu służyli wiernie jak psy. Bez szemrania. Odpłacał im tę wierność. Żaden batalion nie mógł poszczycić się dowódcą, który by tak troskliwie dbał o swych żołnierzy, tak rozumiał ich potrzeby. Łamany język francuski Topora, jego tubalny głos wywoływały pełną szacunku ciszę w katangijskich szeregach. Kto choć raz przekonał się jak niezdyscyplinowani i hałaśliwi są Katangijczycy, ten zrozumie co chcę przez to powiedzieć. Topór był wysokim, atletycznie zbudowanym, silnym mężczyzną. Kulawy od postrzału w Katandze w 1961 roku, podpierał się laską. Gdy odszedł z dowództwa 12 batalionu, Katangijczycy rozpaczali. „Czerwone Diabły”⁵ kochały swego dowódcę. Niełatwo było zastąpić Topora!

Niełatwo było również zastąpić go jako dowódcę dwunastu białych podoficerów i żołnierzy. Dziwna to była ekipa:

sześciu Włochów, dwóch Francuzów, dwóch Belgów, jeden Niemiec i jeden Duńczyk. Włochom przewodził sprytny chorąży Valcamonica. Valcamonica był ambitny. Wiedząc o bliskim odejściu Topora myślał, że Lamouline wyznaczy go na dowódcę i odpowiednio awansuje. Miałem więc wroga. Nie miałem czym imponować tym starym wyjadaczom znanych i nieznanych wojen. Ni doświadczeniem, ni siłą fizyczną. Wiedziałem, że gdybym dyscyplinarnie wyrzucił Valcamonica lub ukarał któregoś z innych, to zginąłbym od kuli w plecy w pierwszej bitwie. Francuzi nie lubili Włochów, ale nie mieli powodu lubić mnie, a będąc w mniejszości woleli z Włochami nie zadzierać. Z Belgów — jeden, stary wyga, miał odejść za dwa tygodnie, a drugi, młokos, nie liczył się wcale. Niemiec patrzył na mnie bokiem, w oczy okazywał pruską dyscyplinę, a za plecami zapewniał Valcamonica, że go popiera. Tylko Duńczyk jakoś mi sprzyjał. To on mnie ostrzegał. Zwłaszcza przed Alfredo Cossi.

Alfredo Cossi był człowiekiem strasznym. Strasznym na pewno. Czy człowiekiem? Bywało, że miałem wątpliwości. Brzydki, ciężki, niezgrabny. Utykał na jedną nogę, co uparcie nasuwało skojarzenie z poruszaniem się goryla. Wrażenie to zwiększone było przez zaiste małą długość potwornie silnych ramion. Alfredo był analfabetą. W języku francuskim porozumiewał się przy pomocy kilku wyrazów. Uporczywa plotka głosiła, że dawniej był płatnym mordercą mafii. Że uciekając przed mafią, której przez wrodzoną tępotę wyrządził jakąś szkodę (zabił nie tego człowieka co trzeba), schronił się w Afryce Południowej. Ponieważ umiał tylko zabijać, więc gdy trafiła się okazja — znalazł się w Kongo. Przywykły do posłuszeństwa dla *mafiosi* — upatrzył sobie szefa w Valcamonica. W



*Charakterystyczny grób murzyński z butami
nieboszczyka. Po lewej Valcamonica.*

spelunkach Stanleyville Valcamonica miał prestiż. Nawet najgorsze zabijaki bały się, by nie poszczuł na nich Alfredo Cossi.

Nie spałem, gdy pod dom zajeżdżały wozy wiozące z miasta moich wojowników. Już wiedzieli o stoczonej na „kilometrze czwartym” bitwie. Nie chciałem ich widzieć. Wściekły na własną głupotę chłodziłem wentylatorem poparzone uda. O świcie wziąłem jeepa, dwóch katangijskich żołnierzy i udałem się na „kilometr czwarty”. W blasku wschodzącego słońca miejsce straciło grozę ubiegłej nocy, mimo ilości trupów zalegających okolicę. Półnaczy, obwieszeni amuletami, leżeli jak okiem sięgnąć. Sowiecka broń walała się na przedpolu. Oszo-

łomieni haszyszem przez czarowników, otumanieni zabobonem i uzbrojeni przez dalekie, złowrogie mocarstwo, szli na śmierć pędzeni warkotem tam-tamów, ogłupieni własnym wrzaskiem, który jeszcze brzmiał mi w uszach: „Mulele maaaj!” Biedne, ciemne ofiary czerwonego imperializmu leżały teraz cicho, w przerażających pozach, w jakich zastała ich śmierć. Śmierć, którą zadał im belgijski karabin maszynowy w moich rękach. Wróciłem do willi i jednym haustem wypilem szklankę whisky.

Stacja benzynowa Esso. Obłożony workami z piachem budynek. Na dachu dwa karabiny maszynowe. W oszklonych niegdyś oknach budynku ani jednej szyby. Dwie pouszkadzane kulami pompy benzynowe. Dwóch katangijskich żołnierzy czuwa na dachu, reszta leży pokotem w cieniu budynku i kilku pobliskich drzew, odsypiając ostatnią noc. Bo w nocy nie spali. Stanowili „kilometr szósty”, ostatnią placówkę otoczonego rebelią miasta... Dalej już *no man's land* i wróg. Za stacją benzynową asfaltową szosę zarastała powoli roślinność. Rebelianci nie mieli pojazdów...

Pięćdziesiąt metrów dalej, od asfaltowej szosy odchodziła w lewo boczna, bita, na poły zarośnięta droga wiodąca do Kisaua — dużej plantacji kawy. Tą właśnie drogą miał ruszyć oddział wojska pod moim dowództwem. Rano otrzymałem rozkaz operacyjny, dostałem amunicję dla Katangijczyków i ruszyliśmy w sile jednej kompanii. Trzecia kompania mojego batalionu po ostatnich stratach liczyła już tylko dwie trzecie pierwotnego stanu: 200 ludzi. Towarzyszyło mi siedmiu Europejczyków. Valcamonica nie było. Był Alfredo Cossi.

Na „kilometrze szóstym” zostawiliśmy samochody. Kaza-



Jedyny sposób na wynoszenie rannych z dżungli

łem poruszać się tyralierą po obu stronach szosy. Rowami — gdzie były. Poza szosą, gdzie roślinność na to pozwalała. Tak szliśmy z początku w słońcu i kurzu, a później w zgniłej wilgoci, gdy przekroczyliśmy miejsce, gdzie zaczynała się dżungla. Naszym zadaniem było oszacowanie sił przeciwnika, a jeśli się da, to zajęcie i obsadzenie załogą budynków plantacji w Kisaua. Pierwszy raz byłem w prawdziwej dżungli. Rozglądałem się ciekawie i chłonałem każdy odgłos. Potężne drzewa splecione lianami, bujna, równikowa roślinność. Krzyki małych powtarzane nie kończącym się echem przez tysiące papug. Szum skrzydeł dziwnych ptaków o ogromnych dziobach, zwanych *calaos*...

Szedłem lewym rowem. Przede mną po lewej i prawej

stronie drogi, z palcem na cynglu, posuwał się katangijski oddział zwiadowczy. Prowadziło go dwóch francuskich podoficerów, każdy po swej stronie. Następnie szedłem ja i moich dwóch Belgów. Naprzeciwko, po prawej stronie, na mojej wysokości, posuwali się trzej Włosi. Między nimi kula-wy małpolud: Alfredo.

Nagle huk wybuchów, jazgot broni maszynowej. Charakterystyczny klekot diegtiariowa⁸, sowieckiego karabinu maszynowego. Równie charakterystycznie brzmiały szalejące długimi seriami karabinki szturmowe kałasznikowa⁹. Trafiliśmy na przeciwnika, który górował nad nami liczbą, uzbrojeniem i terenem. Niewidoczny dla nas, raził ogniem z porośniętego dżunglą pagórka. Dysponował co najmniej kilkoma moździerzami średniego kalibru. Miał nawet broń przeciwpancerną: o pobliskie drzewa rozwalily się z hukiem dwa pociski bazooki. Moi ludzie padli plackiem w rowie, który chronił ich przynajmniej od ognia bezpośredniego. Jednakże przed 60-milimetrowymi pociskami sowieckich moździerzy broniła nas tylko nieumiejętność przeciwnika...

Przyczołgał się do mnie francuski podoficer Jean Larue po rozkazy. Kazałem mu, by wraz z jednym z moich Belgów cofnął się rowem, a znalazłszy się poza widocznością wroga zabrał z sobą całą katangijską straż tylną, czyli około osiemdziesięciu żołnierzy, i starał się obejść przeciwnika z lewej strony, przedzierając się przez dżunglę. Jako niedoświadczony dowódca obawiałem się reakcji Francuza na mój plan. Skinął głową z aprobatą, kiwnął na starszego z mych Belgów i ruszył czołgając się do tyłu. Po krótkim czasie na niewidocznych tyłach mego oddziału zapanował ruch: straż tylna wsiąknęła w dżunglę... Odetchnąłem.

W pełnym słońcu, dręczeni przez owady i upał, leżeliśmy nie wychylając głowy. Aby obejść wroga bokiem sierżant Larue musiał przejść dżunglą około półtora kilometra. Wiedziałem z doświadczenia innych, że w zależności od gęstości dżungli, trzeba na to w najlepszym wypadku około czterech godzin. Wróg strzelał coraz rzadziej. Najwyraźniej, ucieszony brakiem widocznej reakcji z naszej strony, uważał nas za „uziemiomych”, co w gwarze wojskowej oznaczało przyduszonych ogniem do ziemi i niezdolnych do akcji. Wróg czekał na noc i wzywał posiłki. Słyszałem tam-tamy powtarzane przez dżunglę w nieskończoność¹⁰. Czas dłużył się. Niepokoilem się czy Larue sobie poradzi. Zdolny podoficer. Świadczyło o tym wysokie francuskie odznaczenie wojskowe, zdobyte przez niego w Wietnamie. Ale wiedziałem, że jeśli przeciwnik wykryje go w dżungli przedwcześnie, to całą grupę sierżanta Larue czeka niechybna śmierć.

Od czasu do czasu ktoś z nas wychylał łeb znad rowu. Odpowiedzią był jazgot broni maszynowej przeciwnika i chmura kurzu na drodze podrywana pociskami diegtiariowa. Piekło słońce. Niepokój i nuda. I tak płynął czas...

Przypomniałem sobie, że w wewnętrznej kieszeni bluzy mam płaską, metalową butelkę whisky. Oparty o rów pociągnąłem łyk. Ciepłe, ale dobre. Podniosłem buteleczkę ponownie do ust, rzucając jednocześnie spojrzenie na przeciwną stronę szosy. Moją uwagę przykuł czyjś wbity we mnie wzrok. To Alfredo nie spuszczał oczu z... butelki, którą trzymałem w ręce. Jego twarz, zwykle pozbawiona wyrazu, tym razem wyrażała graniczące z cierpieniem gniew.

Nie wiem co mi wówczas strzeliło do głowy. Zerwałem się nagle i przebiegłem na drugą stronę szosy. Za moimi piętami

podreptał szlaczek wyrywany w szosie przez karabin maszynowy. Zwaliłem się w rowie obok Alfredo ku zdumieniu jego i pozostałych dwóch Włochów. Pociągnąłem jeszcze mały łyk z buteleczki i podałem ją Alfredo. Wypróżnił ją trzema potężnymi haustami. Czknął i uśmiechnął się. Uśmiech ten był prawie... ludzki.

Późną nocą zajechałem jeepem pod „Makutano”, największy kabaret-dancing Stanleyville. Byłem szczęśliwy. Pierwsza dowodzona przeze mnie operacja powiodła się. Gdy Larue obszedł przeciwnika — zaatakowaliśmy z dwóch stron. Zdobyliśmy mnóstwo broni i amunicji. Zajęcie plantacji nie nastęczało już trudności. Zostawiwszy połowę mojego oddziału w Kisaua pod dowództwem Larue, wróciłem do Stanleyville zmęczony, ale zadowolony... teraz przepychałem się przez tłumną klientelę kabaretu, która widząc oficerskie naszywki rozstępowała się z szacunkiem. Tak dobrnąłem do bufetu.

— Whisky! — krzyknąłem władczym głosem do drobnego Greka, właściciela lokalu, który „urzędował” za ladą.

— Niestety zabrakło — odpowiedział.

I wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Wyciągnięta zza moich pleców potężna łapa uniosła Greka w górę unosząc go nieledwie.

— Dla mojego dowódcy musi się znaleźć — powiedział złym głosem Alfredo, rzucając Grekiem o półkę z napojami.

Zgięty w pół ze strachu i bijący pokłony wystraszony właściciel wyciągnął butelkę spod lady. Wypiliśmy. Alfredo zaczynał spłacać zaciągnięty na zakurzonej drodze dług. Tak to zostałem prawdziwym dowódcą, którego decyzji nie

kwestionował już nikt. Alfredo dbał o to...

-
1. Mulele — to czerwony generał, przywódca rebelii w Prowincji Wschodniej. *Maj* — to woda. Czarownicy wmówili Murzynom, że gdy idąc do ataku krzycząc będą „Mulele-Woda”, to kule wroga rozplyną się. Oszołomieni haszyszem Murzyni nie zauważali nawet, że obok nich padają koledzy...
 2. W Stanleyville utarł się zwyczaj, by poszczególne placówki rozmieszczone wzdłuż dróg nazywać według kamieni drogowych. Dawało to precyzję z dokładnością do stu metrów. Na przykład „kilometr 12,7”.
 3. Porucznik.
 4. Wśród wszystkich narodów służących w Katandze pod sztandarami ONZ — Szwedzi wyróżniali się okrucieństwem. Czyżby wojna rozbudziła w tych urodzonych pacyfistach krwiożercze instynkty Wikingów?
 5. Dowodzony przeze mnie 12 batalion katangijski był znany jako „Diabes Rouges” (Czerwone Diabły). Żołnierze nosili czerwone berety i czerwone chusty na szyjach. (Por. zdjęcia)
 6. Kpt. Topór miał wrogów na wysokich stanowiskach w Stanleyville, toteż ogólnie było wiadomo, że po powrocie z urlopu obejmie dowództwo „gdzieś dalej”.
 7. Dowódca wszystkich kadr europejskich zgrupowanych w tak zwanym 6 batalionie kadrowym. Batalion ten wydzielał grupy kilkunastoosobowe z jednym lub kilkoma oficerami jako kadry do batalionów i mniejszych, niezależnych oddziałów katangijskich. Lamouline był rodzajem szefa personelu. Dopiero jego następca, słynny Francuz Bob Denard, zdobył sobie sławę jako dowódca.
 8. Diegtariow-Deszeka 38, ciężki karabin maszynowy na podwoziu, kaliber 12,7 mm. „Deszeka” oznacza Diegtariowa-Szpagina Kulomiot.
 9. Doskonały sowiecki karabinek szturmowy. Kaliber 7,62. Magazynek 30 nabojów. Celny do 400 metrów. Solidny i prosty w obsłudze.
 10. Prawdziwy tam-tam jest środkiem porozumiewania się w dżungli w sposób przypominający telegraf. Wydrążony pień drzewa jednego tylko gatunku, obciążony z obu stron małpią skórą, wydaje dźwięk o takiej częstotliwości, że nie tłumi go listowie dżungli. W dżungli nie słychać strzału karabinowego z odległości kilometra, a istnieją wielkie tam-tamy plemienne, których głos rozchodzi się w promieniu kilku, a nawet kilkunastu kilometrów.

DOLARY ZIELENIA SIĘ W DŻUNGLI

Dowództwo brygady mieściło się w centrum miasta, przy szerokiej alei ocienionej dwoma rzędami drzew. Gdy wychodziłem z odprawy, było późne popołudnie. Po wyjściu z klimatyzowanego pomieszczenia sali odpraw na zalany słońcem dziedziniec rozpiąłem bluzę. Po przejściu dziedzińca poczułem pierwsze krople potu spływające mi po plecach. Dzień był wyjątkowo duszny nawet jak na klimat Stanleyville. Szedłem szybkim krokiem w stronę służbowego jeepa, marząc o chłodzącym wietrze, gdy będę pędził jak zwykle z niedozwoloną szybkością przez miasto. Był to jeden z cennych przywilejów funkcji: krótki sygnał klaksonem i na mój widok policja zatrzymywała ruch, salutując grzecznie. Jeepa zostawiłem w cieniu pod drzewami. Gdy podszedłem, jakaś postać wyskoczyła zza krzaków. Szybko wyciągnąłem pistolet i uskokczyłem w bok: zamachy zdarzały się często.

Poczułem się nieco śmieszny, gdy poznałem tęgawą sylwetkę Takariosa. Takarios był rzecznikiem kolonii greckiej w Stanleyville. Cały tutejszy handel spoczywał w rękach Greków. Dorabiali się szybko, gdyż dla handlu narażali życie. Docierali z wojskowymi patrolami do najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo, wysuniętych placówek i osad. Ponosili

ryzyko sprowadzając towar nieraz pod ostrzałem. Często ginęli. Ale zbijali majątki. Takarios był ich szefem. Pożyczał pieniądze, układał się z władzami, dawał łapówki...

W chwilę później siedziałem w greckiej restauracji, w osobnym gabinecie na zapleczu, przy suto zastawionym stole. Takarios czegoś potrzebował. A że czasem wojsko potrzebowało greckich kupców, więc warto było posłuchać mego rozmówcy. Czyżby mu chodziło o przyłączenie się kilku kupców greckich z ich ciężarówkami do najbliższego wojskowego transportu zaopatrzeniowego?



Kolumna zaopatrzeniowa

Kto widział przemarsz Armii Czerwonej pod koniec drugiej wojny światowej, ten nigdy nie zapomni sowieckiego wandalizmu. Czego Sowietarz nie mógł ukraść, to niszczył.

Sowieccy żołnierze wyrzucali przez okna radia i gramofony, bagnetami ciął portrety, wyrywali struny z fortepianów, kolbą rozbijali umywalki i muszle klozetowe, strzelali do luster i kandelabrow, niszczyli biblioteki, tłukli meble i rwali na strzępy kotary. Każdy dom przez nich zamieszkały, choćby przez kilka dni — wymagał gruntownego remontu. Nie mówiąc już o brudzie i smrodzie jaki po sobie zostawiali. Wiadomo: jak się potłukło klozetowe muszle... Dlaczego tak strasznie niszczyli? Czyżby pchała ich do tego zazdrość, że ktoś mógł żyć w warunkach, jakie oni, obywatele „przodującego kraju” widywali tylko w kinie? Czy może winna była propaganda wmawiająca im bezustannie, że poza Sowietami panuje straszliwy wyzysk i wobec tego każde przyzwoite mieszkanie jawiło się jako siedlisko wyzysku? A może jest to naturą sowieckiego człowieka napędzonego wódką, jak silnik samochodu napędzany jest benzyną? Nie wiem. Ale barbarzyństwo sowieckie pamiętam...

Murzyni wandalami nie są! Murzyn, ani ten „dziki”, z dżungli, ani ten „cywilizowany” z miasta — niczego świadomie nie niszczy. Na terenach odbitych rebelii znajdowałem domy, wille i warsztaty. Niejedna willa była w opłakanym stanie, lecz nie było to spowodowane świadomym wandalizmem. Murzyńska rodzina zajmwszy pobełgijską willę nie umiała po prostu korzystać z urządzeń i wygod. Zresztą najczęściej brak było elektryczności i gazu. „Rewolucjoniści” nie umieli włączyć elektrowni i generatorów... Więc w willi rozpalano ognisko pośrodku salonu na bezcennym nieraz parkiecie. Dym gryzł w oczy? Robiono dziurę w suficie i dachu. Później deszcze robiły swoje...

Sam widziałem okopcone ściany, spaloną podłogę,

zacieki... Ale ku mojemu zdumieniu nieprzydatny do niczego, z braku prądu, sprzęt radiowy stał na swoim miejscu. Nawet płyty nie były potłuczone. Wspaniała zastawa z cienkiej porcelany, cała. Opuszczając to miejsce „dzicy” Murzyni niczego nie zniszczyli świadomie, niczego nie rozwalili.

Uważajmy więc, gdy mówimy o narodach cywilizowanych.

Takie myśli chodziły mi po głowie, gdy po kilkudniowych bojach zwiedzałem tak zwane „nowe lotnisko”. Właściwie było to lotnisko dopiero w budowie. Zaczęto je budować krótko przed wybuchem rebelii, za kredyty uzyskane od różnych państw, głównie zachodnioeuropejskich. Przez użycie manewru oskrzydającego udało mi się zmusić rebeliantów do wycofania się w głąb dżungli. Chodziłem teraz od hangaru do hangaru i podziwiałem: czego tam nie było! Nierozpakowane skrzynie z komputerami, kompletnie wyposażone warsztaty, urządzenia radarowe, maszyny do pisania, teleksy, silniki i generatory elektryczne, kilometry kabli. Potężne zbiorniki paliwa: benzyna i ropa, których brak Stanleyville tak silnie odczuwało, że nawet w wojsku racjonowano je. Buldożery, koparki, traktory... Majątek! Wszystko w dobrym stanie, nic nie zniszczone. Tysiące części zamiennych w oryginalnych opakowaniach. Wystawiłem strażę...

Ksiądz M. był człowiekiem niezwykłym. Czterdziestoparoletni zakonnik, misjonarz belgijski, o ogromnej odwadze osobistej, miał nie tylko duszę pełną poświęcenia i chrześcijańskiej żarliwości, ale i głowę pełną wszelakich mądrości, a na ustach życzliwy światu i ludziom uśmiech. Ksiądz M. znał murzyńskie dialekty, zwyczaje i zabobony. Zaprzyjaźniłem się z nim

wielce. Przysługi, jakie mi oddawał swoją znajomością terenu, były nieocenione. To on właśnie dowiedział się, że w dżungli, kilkanaście kilometrów od naszej najbardziej wysuniętej placówki, tkwi spora grupa rodzin murzyńskich zbiegłych w swoim czasie ze Stanleyville. Teraz, nie przyzwyczajeni do życia w dżungli, narażeni na głód, chorujący z braku soli, pragnęliby wrócić. Próbowali nawet, lecz zostali ostrzelani przez oddział rebeliancki tkwiący obozem między nimi a upragnionym miastem. Czerwoni, wycofując się ze Stanleyville, zagarnęli ze sobą sporą część ludności. Strachem i terrorem przetrzymywali teraz tę ludność w dżungli. Wykorzystywali ją do robót prawie niewolniczych, do wszelkiego rodzaju posług. W ten sposób sami koncentrowali się na napadach — zdobywanie żywności pozostawiając cywilom, którym zabierali wszystko pod groźbą użycia broni. Dodatkową zaletą dla nich była obecność kobiet...

Naszym naczelnym zadaniem pacyfikacyjnym było staranie się o to, by ludność cywilna wróciła do swoich domów i zajęć. Jeśli według Mao Tse-tunga rewolucjoniści mają być wśród ludności cywilnej „jak ryby w wodzie”, to należało nasze „czerwone rybki” pozbawić tej wody i wydostać z ich szponów plemiona i rodziny, które chciały wrócić do normalnego życia.

Dawno już czekałem na podobną okazję. Miałem dosyć sztabu, konferencji, użerania się z logistyką. Postanowiłem więc przeprowadzić atak na obóz rebeliancki. Nie było ani łatwo zdobyć pozwolenie: nie była to rola dowódcy batalionu. Ale w tym czasie gruby Lamouline odszedł i jego funkcję objął Bob Denerd. Ten, sam będąc zawadiaką, rozumiał dobrze potrzebę zanurzenia się w walce, w przygodzie, w ryzyku.

Już trzeci dzień w dżungli. Mój oddział — czterech Europejczyków i sześćdziesięciu Katangijczyków — grzął coraz bardziej w skłębionej roślinności. Pierwsze kilometry przebyliśmy gładko ścieżką wydeptaną przez słonie. Ale ścieżka skręcała i trzeba było z niej zrezygnować. Młody Murzyn, katechumen księdza M., prowadził nas. To on przedarł się do Stanleyville i przyniósł księdzu wiadomość o losach ludności cywilnej, w tym swojej rodziny. W dżungli. Czterech Katangijczyków szło przodem, gęsiego. Pierwszy wyrąbywał maczetą ścieżkę. Powietrze było przesyczone wilgocią. Każdy kilometr — to kilka godzin przedzierania się. Trzeci już dzień chylił się ku końcowi. Na równiku noc zapadała szybko, niemal nagle. Trzeba myśleć o odpoczynku.

W nocy obudził mnie katangijski sierżant. Mimo, że według naszego przewodnika do obozu rebeliantów było jeszcze daleko, dzień drogi, to Katangijczycy poculi dym. Trzeba przyznać, że Murzyni mają świetny węch. Więc choć żaden z nas, Europejczyków, nic nie czuł, zarządziłem alarm. Zaczęliśmy skradać się dżunglą, przedzierając się przez roślinność. O wyrąbywaniu drogi maczetą nie było mowy: hałas ostrzegłby przeciwnika. Nasz przewodnik tłumaczył mi, że to na pewno nie jest obóz, do którego nas prowadził. Ale sprawdzić trzeba. Po godzinie uciążliwego przedzierania się — polana. Na polanie dwanaście bambusowych chat. Wygaszone ognisko. Straży nie widać. W jednej z chat słaby blask łuczywa. Zgaśł. Dżungla jazgocze krzykiem małp. Jakiś krótki ryk drapieżnika. Obudzone ptactwo protestuje. Wydzieliłem z oddziału dwanaście trzyosobowych grup. Po jednej na chatę. Latarka w ręce. Na rozkaz — skok. Biegiem przez polankę. Sam biegnę też. Kopnięcie w bambusową przegrodę, jestem w chacie. Ręce do góry

— krzyczę. Latarka, błysk po twarzach. Zachwiałem się z wrażenia. W chacie były cztery osoby. Osoby? Nie. Raczej zjawy z koszmarnych snów. Zwlekały się z posłań wydając ledwie artykułowane dźwięki. Twarze bez nosów, oczy bez powiek przesłaniane ręką bez palców. Zwierzęce przerażenie na nieludzkich twarzach. Cofnąłem się. Czułem, że jeżą mi się włosy. Potworne postaci zwlekły się z posłań i bełkocząc niezrozumiale szły ku mnie mimo skierowanej w ich stronę lufy pistoletu maszynowego. Na Boga! Toż to trędowaci! Oprzytomniałem, zrobiło mi się wstyd własnego strachu. Widziałem jak z innych chat wieje moje wojsko. Trafiłem na obóz trędowatych. Rebelia w Stanleyville rozwalila leprozoria i szpitale. Trędowaci uciekli w las. Tam, odganiani od ludzi strzałami, umierali samotnie, z głodu i wyczerpania. Potworny los.

Wycofałem się z obozu trędowatych. Reszta nocy upłynęła spokojnie.

Czterystu ludzi wydostało się z dżungli. Kobiety i dzieci stanowiły ogromną większość grupy, którą młody uczeń księdza M. przyprowadził do miasta, gdy udało mi się rozbić rebeliancki oddział. Dzieci były tak wycieńczone, że kilkoro z nich zmarło w szpitalu. Jean Bernard, jeden z moich żołnierzy został ewakuowany do Europy, gdzie umarł podczas operacji, gdy próbowano mu zeszyć poszarpane wnętrzności. Seria z kałasznikowa to niemiła rzecz.

O Bernardzie myślałem patrząc na stos pieniędzy leżących na suto zastawionym stole, między resztkami jedzenia.

— Mało dwadzieścia? — pyta Takarios. — Damy trzydzieści!

Trzecia paczka zawierająca sto studolarowych banknotów

pojawiała się na stole.

Zebrałem pieniądze i wcisnąłem je Grekowi za rozchylony kołnierz przepoconej koszuli. Popatrzył na mnie zdziwiony. Naciągnąłem czapkę i wyszedłem bez słowa, odpinając ostentacyjnie pochwę pistoletu. Takarios musiał być wściekły, a wściekły Grek może być niebezpieczny. Ale dotarłem do jeepa bez przygód. Trzydzieści tysięcy dolarów za to, by katangijskie straże niezbyt gorliwie pilnowały hangarów „nowego lotniska”. Łatwe i bezpieczne. Wystarczyło przy świadkach wydać rozkaz pilnowania, ale nie przypilnować jego wykonania. Znając Katangijczyków można było mieć pewność, że nie będą pilnować tylko spać, i to nie na posterunku, ale gdzieś w mieście, z babami.

Trzydzieści tysięcy dolarów mi przepadło. Mam nowego wroga. Wzmocniłem straże i wydałem rozkaz ich kontroli przez podoficerów europejskich. Tej samej nocy ktoś próbował wejść na teren lotniska. Krótka seria z pistoletu maszynowego była ostateczną perswazją. Próba nie powtórzyła się więcej.

A jednak czasem, gdy brak mi pieniędzy, to staje mi przed oczami zawalony resztkami jedzenia stół i trzysta zielonych banknotów.

BOMBKI BEZ CHOINKI I FAJERWERKI W SYLWESTROWĄ NOC

Cytrze zaplanowana ofensywa czerwonych załamała się. Po czterogodzinnej walce niedobitki rebeliantów wycofały się w nieładzie zostawiając za sobą zabitych i rannych. Ranni czołgali się w dżunglę, by tam znaleźć schronienie przed nami. Umierali z upływu krwi, bez ratunku i pomocy. Biedne, ogłupiałe ofiary propagandy swych przywódców, którzy im opowiadali brednie o naszym rzekomym okrucieństwie. Zdobyliśmy masę broni. Właściwie, po tej nocy sylwestrowej nasz przeciwnik już nigdy na moim odcinku frontu nie odzyskał sił i sprawności. Bo wszystko zaczęło się w Sylwestra 1965.

Właściwie już na Boże Narodzenie posypał się nam na głowę grad pocisków z sowieckich moździerzy 60 mm. I to w momencie, gdy ojciec M., nasz przyjaciel i duszpasterz, mówił nam o pokoju między ludźmi. Księdzu M. zrobiłem dziękawanturę za to, że przyjechał na naszą placówkę na rowery! Taka nieostrożność! 25 kilometrów drogą, na której prawie codziennie zdarzały się zasadzki.

— Czyś ty zwariował ? Nie mogłeś zażądać przez radio eskorty? Któż to widział tak się narażać?

— Nie boję się niczego — odrzekł beczelnie księżulo. —

Bo mam to... i wskazał ręką na wiszący u pasa drewniany krzyż. — A jeśli to by nie pomogło — dodał po chwili — to jeszcze mam to! Uchylił poły białego habitu ukazując naszym zdumionym oczom ogromnego kolta magnum.

— A was, łajdaki, nie mogłem przecież w Wigilię bez religijnej pociechy zostawić! — zakończył tyradę. — I gadaj tu z takim.

Że nam w samą noc wigilijną „walczący ateizm” sowiecki pociski na łeb sypał — to normalne. Wiele szkody nie było, bo strzelcy z nich kiepscy, a obserwatorzy woleli się „nie wychylać”. Za to wyginęło sporo szympansów w dżungli. Potem jakoś ucichło. Myśleliśmy, że koniec. Toteż w sylwestrową noc pozwoliłem się wszystkim wolnym od służby zebrać w sali placówki i uczcić Nowy Rok „jadłem i napojem”. Oczywiście zadbawszy przedtem o stan pogotowia tych, których ślepy los w mojej postaci wyznaczył na służbę...

W ciągu wieczora moje towarzystwo zdążyło sobie tu nieźle podgazować i dawaj mnie prosić, bym im pozwolił o północy urządzić fajerwerk. Faktycznie mieliśmy w naszym wyposażeniu trochę pocisków świetlnych do moździerza, takich co potem opadają na spadochronie i blaskiem magnezji oświetlają okolicę. Było też sporo amunicji świetlnej do broni ręcznej i maszynowej. Były też różnokolorowe rakiety sygnalizacyjne i odpowiednia rakielnica w moim posiadaniu. Błogosławiona moja słabość! Po kilku głębszych — wstyd przyznać — pozwoliłem.

Huknęło, strzeliło, posypały się kolorowe paciorki serii z karabinów maszynowych. Pękały kolorowe rakiety. A nad wszystkim zawisły jaskrawe lampiony magnezjowych pocisków moździerza!!! 14 lipca w Paryżu to szczeniak! Karnawał

w Rio to frajer! Cieszyły się dusze nasze. Ale króciutko. Bo nagle jak nie gruchnie, jak nie zacznie świstać. Rozległy się dzikie ryki: „Mulele maj...!!!”

Wytrzeźwiliśmy w jednej chwili. Przedpole oświetlone sylwestrowym fajerwerkiem aż roilo się od atakujących. Chytrze podeszli nas w nocy licząc, że sylwestrowe libacje uspią naszą czujność. I mogło się to skończyć dla nas tragicznie. Wstyd mi przyznać, ale takiej ewentualności nie wziąłem pod uwagę. Czego chytrusy nie przewidzieli, to naszego fajerwerku! Zobaczyliśmy ich niechcący, ale za to kompletnie. Myśleli, że zostali wykryci i zaatakowali nas przed czasem. Zaskoczenie było po naszej stronie. O rany, jaki wycisk dostali w tę sylwestrową noc. Opatrzność czuwa nad pijakami. A może to modlitwy księdza M.?

Nowy Rok zaczął się dla nas pomyślnie. Nie dla wszystkich. Musiałem ukarać francuskiego sierżanta nazwiskiem Alain Fabregon. Ten młody żołnierz chciał nam zaimponować odwagą i na otwartej przestrzeni, w pełnym oświetleniu, odwrócił się tyłem, ściągnął spodnie i pokazał wrogowi... odwrotną stronę medalu! Za ten wyczyn ukarałem go zakazem brania udziału w akcjach przez tydzień. Alain zginął znacznie później w zasadzce. Poległ spełniając z poświęceniem swój żołnierski obowiązek, bez wygłupów i na trzeźwo.

Bezsprzecznym zwycięzcą owej pamiętnej bitwy był nasz dostarczyciel „jadła i napojów” — starszy sierżant Konopka. Konopka, stary wyga z Legii Cudzoziemskiej, dostał się do mojego oddziału kilka miesięcy wcześniej. Zrobiłem go podoficerem zaopatrzeniowym. Byłem chyba w natchnieniu. Konopka był genialnym kombinatorem. Dawał i brał łapówki. Umiał znaleźć „rzeczy, których nigdzie nie ma”. W kraju, w

którym nawet kartofle były sprowadzane drogą lotniczą, w pełnej dżungli afrykańskiej jedliśmy w noc sylwestrową... ostrygi i popijaliśmy szampanem. A później... fajerwerk. Błogosławiony fajerwerk!

Zasługi sierżanta Konopki nie ograniczały się oczywiście do spraw żołądkowych. Dzięki temu „mistrzowi kombinacji” mój oddział był najlepiej zaopatrzony w całym Kongo. Konopka potrafił znaleźć wszystko. Nietypową amunicję do starych rickersów, części do samochodów, benzynę, lekarstwa i tysiące różnych innych rzeczy potrzebnych do prowadzenia wojny w znośnych warunkach. Konopka wyszedł z Konga z życiem, cały i zdrowy. A także z dużą forszą. Straciliśmy go z oczu. Ale ten mistrz prywatnej inicjatywy nie zginął na pewno. Wybierał się do Stanów. Pewnie jest milionerem.

1. W Kongo ziemniaki — ze zrozumiałych przyczyn — były droższe od pomarańczy. Popularne oszustwo polegało na tym, że w worku z kartoflami tylko wierzchnią warstwę stanowiły rzeczywiście ziemniaki, a reszta, to były... pomarańcze. Trzeba było kontrolować każdy worek!

RYBAK Z ROŻNA

Ksiądz M. biegł zdyszany pod górę do mojej placówki podtrzymując oburącz poły białego habitu. Widać było po jego twarzy, że musiało zajść coś niezwykłego. Obserwowałem go zaniepokojony. Znałem bowiem tego niezwykłego misjonarza i wiedziałem, że niewiele jest rzeczy w Afryce, które byłyby zdolne wyprowadzić go z równowagi. Toteż wyszedłem mu naprzeciw. Mrugnął na mnie, że nie chce mówić przy ludziach i wbiegł niemal do naszego baru-kantyny, gdzie głosem stanowczym zażądał whisky. Zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. Nie tym, że wypił duszkiem, bo za kołnierz nie wylewał, ale tym, że wypił przed południem, czego jak wiadomo dżentelmeni nie czynią, a ksiądz M. był niewątpliwie dżentelmenem. Wytarłszy usta kraciatą chustką wielkości obrusa na sześć osób, zaciągnął mnie w kąt.

— Słuchaj, kondotierze — zaczął zadyszany szeptem (zawsze nazywał mnie kondotierem). — Słuchaj kondotierze, to niesłychane. Pojawili się ludzie krokodyle! — oznajmił mi ze zgrozą. — A ja się uczyłem, że ludzi krokodyli już od lat dwudziestych w Kongo nie ma! — Wyrażnie był poruszony.

A zaczęło się wszystko rankiem, gdy zajęchały ciężarówki do wioski rybackiej u podnóża wzgórza, na którym mieściła się moja placówka. Ciężarówki miały zawieźć do Stanleyville,

pod eskortą wojskową... ryby z nocnego połowu. Była to sprawa niezmiernie ważna: miasto głodowało. Rybacy osadzeni przeze mnie na nowo zdobytych i spacyfikowanych terenach u podnóża placówki w Wanie Rukula nad rzeką Lualaba¹ potrafili złowić do trzech ton ryb w ciągu jednej nocy. Stanowiło to poważny wkład w wyżywienie ludności odciętego od świata Stanleyville. A tym razem nic, ani jednej ryby.

Wyglądało to na jakąś dziwną znowę, żaden z rybaków nie miał ryb. W nocy nie wypłynęli na połów. Dlaczego? Ich wymówki były różne, jakby mieli coś do ukrycia: „Piroga mi popękała” — mówił jeden. „Żona zachorowała” — twierdził drugi. Trzeci, symulując atak kaszlu, wykrztusił, że jest chory. I tak wszyscy.

Byłem szczerze zmartwiony i zupełnie zdezorientowany. Rybacy mieli przecież pod moją opieką dobrze i zawdzięczali mi wiele. Należeli do elity pod względem zarobków. Dbałem o stan ich zdrowia i o naukę ich dzieci. O wygodę i bezpieczeństwo. Nie było to bezinteresowne: ich praca była — jak już wspomniałem — ważna dla wyżywienia Stanleyville. Toteż, gdy po wielu bojach zdobyłem placówkę w Wanie Rukulu, główny wysiłek skierowałem na zasiedlenie plemionami rybackimi oswobodzonego przeze mnie, bardzo rybnego odcinka rzeki Lualaba. A nie było to rzeczą łatwą, rybacy uciekli w dżunglę — jak zresztą większość ludności — i bali się wrócić na swoje tereny straszeni propagandą czerwonych o rzekomo czekającej ich z naszej strony zemście za rzeź białych w Stanleyville. Przerzucani przez rebeliantów jako siła robocza z dala od tradycyjnych miejsc połowów, pozbawieni przywództwa², tułali się po dżungli miotani strachem i głodem. Marli często i gęsto z głodu i chorób. Zwłaszcza dzieci!

Dopisało mi wówczas szczęście. Podczas którejś z drobnych operacji pacyfikacyjnych moi żołnierze znaleźli w dżungli starego, wycieńczonego do ostatnich granic Murzyna. Gdy ochłonął ze strachu, udało się z niego wydobyć przez tłumacza, że jest szefem rybackiego plemienia M'Wabu, które przed wybuchem rebelii żyło nad jednym z dopływów rzeki Kongo. Plemię to rozpieczęło się gdy czerwoni pojмали szefa. Szef był więziony jako zakładnik w głębi dżungli i z trudem udało mu się zbiec³. Błąkał się już od dłuższego czasu, kryjąc się zarówno przed rebeliantami, jak i przed naszym wojskiem. Gdyśmy go znaleźli, był bliski śmierci.

Przy jego to pomocy wyciągnięto całe plemię M'Wabu z lasu: gdy stary kacyk odżył i przekonał się, że nie taki diabeł straszny, że nikogo nie mordujemy i że na oswobodzonych terenach ludzie żyją normalnie i bezpiecznie, to zgodził się bez trudu wezwać swych współplemieńców do wyjścia z ukrycia. Przez wiele dni tam-tamy nadawały wezwanie starego szefa. Głosiły, że jest zdrow, że gwarantuje swoim bezpieczeństwo i dobrobyt. Przez dwa następne tygodnie rozproszone rodziny M'Wabu wychodziły z dżungli. Nocami, ostrożnie, jak zaszczute zwierzęta, dołączali do swego szefa. W miarę jak wychodzili, urządzałem ich w opuszczonej wsi u podnóża placówki. Nasza bliskość chroniła ich od zemsty rebeliantów, którzy karali śmiercią za próby wyłączenia się spod ich panowania. Plemię M'Wabu długo okazywało mi wdzięczność. Stary szef mianował mnie czymś w rodzaju honorowego szefa plemienia, podarował mi dziewczynę i nazywał mnie swym ojcem. To ostatnie oczywiście było tylko symboliczne... na całe szczęście!

Nic więc dziwnego, że nagły pseudo-strajk rybaków

M'Wabu był dla mnie zaskoczeniem. Czułem, że dzieje się coś niedobrego. Wiedziałem, że nie są ze mną szczerzy, że coś knują. Czyżby rebelianci zdołali ich zastraszyć? W rzeczy samej wyglądali na wystraszonych: zbijali się w grupki, rozmawiali szeptem. W jednej z chałup słysząc było cichy ale przejmujący płacz kobiecy. Niczego konkretnego nie mogłem się dowiedzieć. Stary szef zniknął i nikt nie mógł, czy też nie chciał, mi powiedzieć co się z nim stało. Zbyt dużo jednak włożyłem pracy w zorganizowanie połowów, zbyt dużo głodnych czekało na ryby, bym dał za wygraną. Jak zwykle w takich wypadkach posłałem po księdza M.

Niezastąpiony ksiądz M.! Znaczący nie tylko murzyńskich zwyczajów ale i murzyńskiej duszy. Tutejsze zabobony, czary i tabu nie miały dla niego tajemnic. Był wprost nieocenionym pomocnikiem we wszystkich sprawach dotyczących stosunków z tubylcami. I teraz stał przede mną zdyszany i bezradny. Jego niebieskie oczy krótkowidza wyrażały zza okularów bezgraniczne zdumienie.

— To niesłychane, kondotierze — mówił. — Prędzej bym się tu spodziewał białych niedźwiedzi, niż ludzi krokodyli!

Drugie whisky (przed południem!!!) uspokoiło go nieco.

— Ludzie krokodyle — zaczął mówić już spokojniejszym głosem — są to małe plemiona ludożercze. Wędrują one wzdłuż rzek. Rzadko liczą więcej niż sto osób, wliczając w to małe dzieci. Gdy natrafią na rybacką wieś, to czają się w chaszczach po przeciwnej stronie rzeki. Czekają do nocy. Wiesz przecież, kondotierze, jak wygląda połów ryb...

Rzeczywiście wiedziałem. Wielokrotnie obserwowałem moich M'Wabu. Malowniczy widok! Wypływa na rzekę dwadzieścia, trzydzieści piróg, a w każdej dwóch mężczyzn. Obaj

stoją. Jeden, z tyłu, długą tyczką bambusową napędza pirogę, drugi z przodu, z pochodnią w lewej ręce i z oszczepem w prawej łowi ryby... W tej rzece jest tak dużo ryb, że całe ich chmary ściągają do świateł pochodni. Rybak nabija je na oszczep i wrzuca do łodzi, jak chłop siano widłami. Ryby od pięciu do dziesięciu kilo. W kwadrans piroga jest pełna... Trzeba dobić do brzegu, gdzie kobiety opróżnią ją błyskawicznie. Nowy rejs, nowy połów. Dziesiątki pochodni na szeroko rozlanych wodach rzeki. Światło odbija się w falach. Księżyc, palmy na brzegu. Sielanka!

— Ludzie krokodyle płyną pod wodą — ciągnął dalej ksiądz M. — Po dwóch, po trzech, z rurką bambusową w ustach pozwalającą oddychać. Podpływają pod pirogę najbardziej oddaloną od innych, najbliższą przeciwległego brzegu i przewracają ją. Piroga, to przecież tylko wydrążony pień drzewa. Topią rybaków, po czym wyciągają ich na brzeg. Po wypatroszeniu... kilkadziesiąt kilo mięsa. Całe plemię ma co jeść. Na drugi dzień suną dalej, do innej osady rybackiej. A zabobonni rybacy wierzą w nieczyste siły i całymi dniami boją się wypływać na połowy⁵.

— Belgijska administracja Konga walczyła z tą plagą od początku czasów kolonialnych — mówił dalej ksiądz M., wyraźnie przejęty. — I jak mnie uczono, w latach dwudziestych już „ludzi krokodyli” w Kongo nie było.

Jak cienka jest politura cywilizacji!!! W latach sześćdziesiątych wystarczył krótki moment, by dziesięciolecia pracy cywilizacyjnej poszły w zapomnienie i stare zwyczaje odżyły.

W Afryce ludożerstwo istnieje ciągle... Czasami jest to ludożerstwo rytualne. Zjada się wątrobę pokonanego wroga, by przywłaszczyć sobie jego męstwo. Ale ludożerstwo proste,

żywnościowe istnieje również. No cóż, łatwiej czasami upolować człowieka niż antylopę... Dwa lata przed opisywanymi wypadkami na północny wschód od Stanleyville spadł w dżunglę samolot. Leciało nim, prócz załogi, dwunastu włoskich techników. W dżungli, odcięty od reszty armii, głodował kongijski batalion piechoty. Po załodze samolotu i włoskich technikach zostały poogryzane kości. Światowe środki masowego przekazu przemilczały ten fakt. Mówić o ludożerstwie — to być posądzonym o rasizm. Zwłaszcza gdy się popiera prawo do samostanowienia „n a r o d ó w”.

Gardło mi się kurczyło z obrzydzenia i siłą powstrzymywałem przemożną chęć „wyjazdu do Rygi”. Na polanie — po prawej stronie rzeki Lualaba — pobojuwisko! Leżą trupy nagich mężczyzn i kobiet. Zgniły zaduch przyprowadza o mdłości. W towarzystwie starego szefa plemienia M'Wabu oglądamy to, co w przeddzień było obozowiskiem „ludzi krokodyli”. Wygasłe ognisko, nad nim, na dwóch krzyżakach, drąg służący za rożen, a wokół niedojedzone szczątki ludzkie. W trawie obcięte głowy. Głowy ludzi, których znałem: dwóch rybaków z plemienia M'Wabu.

Po rozmowie z księdzem M. wysłałem kompanię katangijskich żołnierzy z rozkazem wybicia ludożerców. Nie było to sprawiedliwe. Czyż można karać kogoś za postępowanie zgodne z jego zwyczajami? Ale stałem przed koniecznością zapewnienia moim rybakom spokojnych połowów, od których zależało wyżywienie miasta. „Ludzie krokodyle” wyginęli od katangijskich kul. Stary szef rybackiego plemienia przekonał się naocznie, że to nie złe duchy nocy czyhały na jego podwładnych.

Wieczorem, wśród płaczu kobiet i dzieci, przy ponurym dźwięku tam-tamów wioska Wanie Rukula zrobiła pogrzeb dwóch głów.

W nocy znów dziesiątki pochodni błyszcząły na majestatycznej rzece. Odwieczna Afryka...

-
1. Rzeka Kongo, począwszy od źródeł aż do Stanleyville (Kisangani), nazywa się Lualaba.
 2. Czerwoni systematycznie więzili szefów plemion zapewniając sobie tym czasem uległość ludności.
 3. Lualaba na wysokości Wanie Rukulu ma prawie kilometr szerokości.
 4. Rybacy nie zdają sobie sprawy, że są ofiarami ludożerców. Posądzają, że przyczyną znikania niektórych z nich są demony wodne.

MCHAWI MUKUNDU I TRZECH LEGIONISTÓW

Beningo siedział strapiiony nad nie dopitym piwem. Niski, czarniawy, o atletycznej budowie, ten młody Włoch z Sardynii nie był człowiekiem skomplikowanym. Jego znajomość francuskiego ograniczała się do żargonu wojskowego i ogromnego zapasu potwornych przekleństw. To było wszystko, co wyniósł z wieloletniej służby we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Tak naprawdę, to wyniósł również szeroką bliznę na piersiach i wysokie odznaczenie za odwagę. Był doskonałym żołnierzem: odważny, lojalny, lubiący wojnę wraz z ryzykiem jakie niosła. Nie znał innego zawodu, innego życia. Choć niski, był silny, proporcjonalnie zbudowany i miał w sposobie poruszania się coś z drapieżnika. Smągła cera i przymrużone oczy nadawały mu swoistego uroku, który psuła ze szczeniem przylizana i tłusta fryzura włoskiego lowelasa.

Na froncie był spokój. Dowództwo brygady szykowało się do ofensywy w kierunku na Bafwasende. Ja powoli ale skutecznie pacyfikowałem okolice Wanie Rukula, wprowadzałem administrację cywilną i porządek. Akcje wojskowe ograniczyły się do rozsyłania patroli i pilnowania bezpieczeństwa komunikacji. Dla moich wojaków były to prawie wakacje. Wolni od służby, po wyczyszczeniu broni po raz setny, zajmowali się czym mogli — najczęściej kobietami. Jedyłą przerwę w mono-

tonii stanowił udział w konwojach do Stanleyville.

Zajmowało się wojsko czym mogło. Beningo siedział zaś nad butelką piwa. Gdyby był Słowianinem, można by go posądzić o chandrę. Beningo był jednak Włochem. A Włoch chandry nie miewa. Zaniepokoiłem się:

— Beningo, co ci dolega? — spytałem po godzinie.

— Mam dosyć na to życie — powiedział, używając swoistej składni. Patrzył nadal ponuro w nie dopitą butelkę. Nagle ożywił się:

— Zrób coś porucznik — puść na wycieczkę!

Wycieczkami nazywał Beningo „luźne patrole”, jak w „Potopie”. W naszej gwarze oznaczało to marsze przez dżunglę trochę na chybił-trafił, w kierunku, w którym można się było spodziewać zgrupowań przeciwnika. Czasem daremna męka, czasem duże ryzyko. Służyło to celom pacyfikacyjnym, gdyż wróg nigdzie nie mógł czuć się bezpiecznie. Na jednym z takich luźnych patroli natknąłem się na goryla, który dzikim rykiem i biciem się w potężne piersi usiłował nas wypłoszyć ze swej polanki. Udało mu się to nad podziw i musiał być bardzo dumny. Kazałem się wycofać: gdzie są goryle — tam nie ma ludzi, a więc dalsze przetrząsanie dżungli w tej okolicy było bezcelowe. Innym razem szedłem na przodzie obserwując dwóch Katangijczyków wyrąbujących przed nami przejście w gęstwinie splecionych lian. Nagle widzę jak jeden chwytą drugiego za rękę i potężnym ciosem maczety obcina mu przedramię. Sekunda zdumienia i... dławiący gardło strach: w odrąbaną, skrwawioną rękę tkwiła strzała. Po kolorze pióra poznałem, że zatruta¹. Katangijczyk dzięki błyskawicznej reakcji ocalił swemu towarzyszowi życie — czyniąc go kaleką.

Beningo patrzył na mnie wzrokiem żebrzącego psa. Waha-

łem się jeszcze. Nie lubiłem narażać ludzi, a w okolicy był spokój. Z drugiej strony wojsko rozpuszczało mi się, a patrol po drugiej stronie rzeki mógł się przydać: donoszono o jakiejś bandzie idącej na pomoc dobrze już rozbitej przez nas rebelii.

— Weź czwarty pluton i idź zobaczyć co się dzieje w tym kierunku! — machnąłem ręką na południowy zachód. — Dwa-dzieścia cztery godziny i ani minuty więcej. Wymarsz za godzinę.

Beningo rozjaśnił twarz w drapieżnym uśmiechu, zerwał się z krzesła, strącając ze stołu butelkę.

— Ciebie kocham, porucznik! — wykrztusił zdumiewające oświadczyń. Ale nie wychodził. Wiedziałem dobrze czego chce, ale udawałem, że nie wiem.

— Porucznik, a dasz Billa i Joe, co? Dasz? — Beningo już nie prosił, ale błagał.

— Dobrze — powiedziałem. — Ale jeśli tak, to Joe będzie dowodził! Przyślij go do mnie.

— OK, porucznik. — Beningo puścił się kłusem w kierunku budynków.

Beningo był świetnym żołnierzem, ale kiepskim dowódcą. Co prawda instynkt prowadził go czasem lepiej niż innych kompas, ale nie miał za grosz rozwagi — idąc za uciekającym przeciwnikiem tracił pamięć o świecie, jak rasowy myśliwski pies. Bałem mu się powierzyć dowództwo. Ale jednocześnie nie chciałem go upokorzyć ciągłym pomijaniem w zadaniach dowódczych. Na całe szczęście był Joe.

Joe był Polakiem, nazywał się Józef Swara. Był sierżantem w Legii Cudzoziemskiej. Przystojny blondyn, rodem spod Krakowa. Uciekł na Zachód, gdy mu ojca w Polsce „rozkułaczono” na śmierć. Starego Swarę zabili pod płótem młodzi

ideowcy z ZMP, którzy nieśli wsi postęp i sprawiedliwość. Stary nie był wyrozumiały — młodzież chciała się zabawić z córeczką. Zatłukli starego łopatami. „Szło nowe” — jak pisał pewien literat.

Józka Swarę wraz z siostrą przygarnęła dalsza rodzina. Jako „syn kułaka i wroga ludu” nie miał dużo szans. Więc zwał z Polski przez Czechy z pewnym facetem z NSZ.

Józef, którego w Legii przezwano Joe, bo ponoć był podobny do jakiegoś aktora w dawno zapomnianym westernie widzianym gdzieś na przepustce w Sidi-Bel-Abez, miał dużo szczęścia aż do chwili, gdy zawisł na drutach kolczastych przeszyty serią z kałasznikowa. I nie poznałbym Józka, gdyby wtedy nie wyniósł go spod ognia jego żołnierz — Beningo. Od tej pory Beningo uznał Józka za swoją własność. Stali się nierozłączni.

Nieco później obu ocalił życie świeżo przybyły do Legii młody Francuz — Bill. Bill nazywał się naprawdę Jacques Treil i pochodził z Paryża. Do Legii przybył w samą porę, by ocalić drużynę Józka Swary. Typowy paryski ulicznik, dowcipny i pełen werwy, był strasznie „łasy na baby”. Będąc na placówce pod dowództwem Józka „urwał się” do oddalonego o 12 kilometrów miasteczka by skorzystać z płatnej miłości udzielanej tam szczerze we właściwej instytucji zwanej BMC². Gdyby go złapano, groziło mu rozstrzelanie za dezercję... Ale Bill nie takie by poniósł ryzyko, gdy go przyparła potrzeba. Wracając do swego oddziału usłyszał podejrzone odgłosy. Podczołgał się i spostrzegł, że jego kolegów otacza spory oddział wroga, który szykuje się do ataku z zaskoczenia. Bill kilkoma celnymi rzutami granatów wyrębał sobie drogę do oddziału, a oddziałowi drogę odwrotu. Zdobył *medaille militaire*, a o jego kilkugo-

dzinnej dezercji na „pilną potrzebę” wiedział tylko Józek. Odtąd nie rozłączyli się nigdy. Włoch, Polak i Francuz. Moich „trzech muszkietarów” z Legii. Beningo, nieprzytomnie wprost odważny i wierny w przyjaźni, Francuz pełen sprytu, inwencji i pomysłów. No i Józek. Józek był urodzonym dowódcą. Rozważny i odważny. Cieszył się autorytetem i budził zaufanie żołnierzy. Uzupełniali się świetnie i stanowili we trzech moją prywatną *task force*. We trzech? Wiadomo przecież, że w *Trzech muszkietarach* występuje ich czterech. W tym wypadku czwartym członkiem zespołu był Simba³. Simba nie był legionistą. Był to po prostu żółty tubylczy pies, który przed paroma miesiącami zapałał sympatią do Józka i postanowił, że ten właśnie wysoki blondyn będzie odtąd jego panem. We wszystkich operacjach, w których brał udział Swara, było widać żółtą, ruchliwą postać Simby. Na patrolach szedł obok nogi Józka. Wybiegał czasem do przodu, lecz po chwili, zaniepokojony, wracał do swego pana i liznąwszy go w rękę w przeprosiny za króciutką „zdradę”, szedł krok w krok. Aż go znów poniósł temperament...

Patrzyłem z lekką zazdrością, jak patrol Swary wchodził w dżunglę z drugiej strony rzeki. Jeszcze chwila i ostatni żołnierz czwartego plutonu katangijskiej kompanii zniknął w gąszczu. Moje obowiązki, o ileż bardziej nudne, trzymały mnie na miejscu.

W dwie godziny później uwagę moją zwrócił przeraźliwy skowyt. Do mojego biura wpadł Simba. Pies wyglądał strasznie: miał pianę na pysku, był zziębnięty i cały tył ciała ociekał mu krwią. Skomlał i kręcił się w kółko skowycząc. Chwyciłem go za obrozę i przytrzymałem. Miał uciętą, a raczej urwaną ogon i broczył krwią. Zawołałem sanitariusza. Dezynfekcja, bandaż i

Simba napiwszy się wody dawał mi znać swym zachowaniem, że mam z nim iść. Co się stało z moim patrolem? Co się stało z Józkiem Swarą, któremu Simba jak zwykle towarzyszył? Jeszcze zanim zająłem się psem, włączyłem syrenę alarmową i w ślad za patrolem wysłałem silny oddział pod dowództwem mego zastępcy. Z pewnych powodów nie mogłem odejść na krok od polowej radiostacji... Simba widząc, że mnie nie namówi, spojrzał z wyrzutem i pobiegł za oddziałem. Dogonił go i przez lornetkę widziałem jak wysforował się na czoło. Żółta plama z białą chorągiewką bandaża...

Mój zastępca wrócił wkrótce ze swoim oddziałem. Bez psa. Z jego raportu wynikało, że dwa kilometry od placówki spotkał żołnierza wysłanego przez sierżanta Swarę. Józek donosił, że kontynuuje patrol. Domyślił się, że Simba mnie „zawiadomił” i że zrobię alarm. Więc wysłał gońca z raportem. Donosił mi, że dzięki Simbie uniknęli poważnego niebezpieczeństwa. Tam, gdzie dróżka zwężała się w ledwie widoczny ślad ścieżki wydeptanej przez słonie, pies wybiegł na czoło oddziału. Nagle huk, wybuch, dym, skowyt psa i żółta błyskawica przebiegła wzdłuż patrolu. Pies skowycząc uciekał do domu w obłędnym przerażeniu. Doświadczeni żołnierze patrolu zapadli w gęszcz z bronią gotową do strzału. W dżungli cichł powoli jazgot małp i papug spowodowany wybuchem. Chmara ptactwa poderwana do lotu opadła powoli na gałęzie drzew. Dżunglę zaległa cisza nasasycona wilgocią. Swara z ostrożnością zbadał sytuację...

Okazało się, że Simba wpadł po prostu na skaczącą minę. Miny te — to mordercza broń. Gdy ktoś nieostrożnie zawadzi o czujnik zapalnika, to specjalny ładunek wyrzuca minę na wysokość od metra do półtora. Mina rozrywając się na tej

wysokości, razi odłamkami w brzuch i piersi. I to nie tylko tego, który ją potrafił, ale wszystkich w promieniu kilkunastu metrów. Simbie strumień odłamków uciął ogon, zawsze z dumą noszony w górze jak sztandar. Mina wybuchła przed nim. Ostrzeżony patrol rozbroił pole minowe i ruszył dalej. Simbę posadzono brzydko o tchórzostwo i dezercję z pola walki.



Włoski szofer autora i Simba

Czas już bym czytelnikowi wyjaśnił tytuł rozdziału. Trzech legionistów już przedstawiłem. A Mchawi Mukundu to w języku swahili znaczy „czerwony czarownik”. Pod tym przezwiskiem znany był jeden z najgorliwszych podżegaczy rebelii. Potężne znał „czary” Mchawi Mukundu. Rzucił do walki największe plemiona zamroczone haszyszem, którego dym odu-
rzał wojowników tańczących w rytm tam-tamów wokół ogni-

ska. Mchawi potrafił rozniecić nienawiść. A jednocześnie był znany jako uzdrowiciel, co zwiększało jego wpływy. Był dla mnie przeciwnikiem o wiele poważniejszym niż samozwańczy „pułkownicy” i „generałowie” rebelii. Zwłaszcza, że używani przez niego dzicy nie zdawali sobie nawet sprawy o co walczą i za co giną. Mchawi Mukundu był złym duchem dżungli. Byłem przekonany, że jego celem jest pozbycie się białych, tak żeby lekarze i misjonarze nie robili mu konkurencji. Z tych powodów większość czarowników opowiadała się za rebelią. Co do „czerwonego czarownika” myliłem się jednak. Jego motywacje były inne.

Patrol wrócił nazajutrz, prowadząc ze sobą jeńców. Pierwszy pojawił się Simba, który gdzieś po drodze zgubił bandaż. Próbował dzielnie wymachiwać kikutem ogona.

Raport sierżanta Swara, jak zwykle, precyzyjny: patrol strat nie poniósł żadnych. (O psim ogonie nie wspomina się w wojskowych raportach). Już po kilku godzinach marszu schwytali jakiegoś Murzyna, który, jak się okazało uciekł od rebeliantów i starał się wrócić do swojej wioski na terenach wyswobodzonych. Swara dowiedział się od niego o małym obozie rebeliantów, w którym czerwoni przechowywali jakieś skrzynie. Zaintrygowany Swara postanowił sprawdzić wiadomość. Prowadzony przez owego uciekiniera dotarł do świetnie ukrytego w dżungli obozu i stwierdziwszy, że z załogą poradzi sobie bez trudu, zaatakował obóz z trzech stron naraz. Czwartą stronę ograniczała niewielka, ale błotnista rzeczka. Atakować z tej strony było trudno, więc Swara zostawił za rzeczką obsługę lekkiego karabinu maszynowego. Potrzask podziałął sprawnie. Pluton dowodzony przez Józka liczył trzydziestu ludzi. Dodać

należy naszych trzech legionistów i Simbę. W obozie było ponad stu rebeliantów, ale zaskoczeni stawili niewielki opór. Kilku zginęło, kilku było rannych. Sześćdziesięciu siedziało pod strażą na moim dziedzińcu tocząc wokół przerażonym wzrokiem. Opodal, osobno, katangijscy żołnierze pilnowali jakiegoś dzikusa. Twarz miał pomalowaną w biało-czarne pasy, tułów czerwony. Ramiona miał owinięte czymś, co z bliska okazało się węzową skórą. Tajemnicze skrzynie, o których mówił Józkowi ów napotkany uciekinier, zawierały amunicję i sowieckie konserwy. Patrol, prócz tego, zdobył sporo nowoczesnej sowieckiej i chińskiej broni maszynowej.

Gdy przeglądałem zdobycz, nagle na dziedzińcu powstało zamieszanie. To ów malowany cudak próbował ucieczki. Schwytany i przyciśnięty do ziemi szarpał się rozpaczliwie. Podeszedłem bliżej. Obezwładniony, patrzył na mnie wzrokiem, w którym strach i wściekłość walczyły o lepsze. Murzyni tak się na ogół nie zachowują. Gdy są w takiej sytuacji, zwycięża fatalizm. Stają się ośpiali i potulni. Zaintrygował mnie mój dziwny jeniec. Był nagi, za wyjątkiem skóranej przepaski na biodrach, na szyi wisiały amulety: zęby małpie, wysuszone głowy jaszczurek i jakiś woreczek z węzowej skóry. Kazałem sobie ten woreczek dać. Jeniec dostał szału. Bronił się tak, że trzech Katangijczyków z trudem dało sobie z nim radę. Zajrzałem do woreczka. Były w nim cztery złote obrączki i jakiś dokument. Oniemiałem ze zdumienia. Był to dyplom czeskiego uniwersytetu w Pradze. Wydział medyczny. Kazałem jeńcowi zmyć twarz. Fotografia się zgadzała. Mój „dzikus” skończył medycynę w Pradze...

Z przesłuchania świadków dowiedziałem się rychło, że

mam do czynienia z samym Mchawi Mukundu, „czerwonym czarownikiem”. Znacznie później dowiedziałem się, że młody Masutu, bo tak nazywał się naprawdę, rzeczywiście skończył studia jako stypendysta w Czechosłowacji. A że dobrze się zapowiadał albo spisywał — wysłano go do Leningradu i tam przygotowano do roli jaką miał odegrać w Kongo. Było to w latach pięćdziesiątych. Nikt jeszcze nie mówił o niepodległości belgijskiej kolonii. Sowietci na zapas kształcili agenta, który, choć lekarz, nie wahał się wysyłać swych rodaków na pewną śmierć. Obiecano mu stanowisko w rządzie po zwycięskiej rewolucji. Miał rangę generała w armii rewolucyjnej. Wysłany do stolicy został stracony w lutym 1966 roku.

A legioniści? Beningo wrócił na rodzinną Sardinie. Kupił największą chałupę we wsi, ożenił się i ma sześcioro dzieci. Popija słodkie, lokalne białe wino i jest bardzo szanowany. Kilka razy w miesiącu znika na cały dzień. Złośliwi mówią, że jeździ do miasta „za potrzebą”. Ba, na Sardynii za uwodzenie porządnych kobiet można dostać nożem w plecy.

Bill, czyli Jacques Treil, wrócił do Paryża, kupił knajpę, którą „przegospodarował” z kolegami w ciągu kilku miesięcy. Wyjechał do Brazylii.

Józek Swara nie mógł ścierpieć Europy. Wyjechał jako kucharz do wielkiego hotelu w Arabii Saudyjskiej. Później znalazł się na Gwadelupie. Jego siostra, mieszkająca w Paryżu, mówiła mi niedawno, że Józek zamierza wrócić. Może go zobaczę.

1. Zatrute strzały były dwójakiego rodzaju. Z zielonymi piórami papugi, zatrutowane były „jadem trupim”, czyli gangrenotwórczymi bakteriami ze zgniłego mięsa. Tych strzał Murzyni bali się potwornie. Używano ich głównie w wojnach plemiennych. Stąd spora ilość

kalek po lepiej lub gorzej przeprowadzonych amputacjach. Dla nas, dzięki penicylinie — te strzały były niegroźne. Strzały o piórach żółtych zaprawione były alkaloidem pochodzenia roślinnego zbliżonym do kurrary. Powodowały śmierć przez paraliż mięśni gładkich (zatrzymanie funkcji serca).

2. BMC, czyli *Bordel Militarie de Campagne*, a w polskim tłumaczeniu dosłownym „Wojskowy Burdel Polowy”. Francuska instytucja „charytatywna” o starych tradycjach. Zniesiona w latach pięćdziesiątych.
3. *Simba*: w języku swahili — lew. Tak sami siebie nazywali rebelianci. Tak nazwał Swara swego psa, gdy ten zrabował mu porcję doskonałego pasztetu i gęsiej wątróbki.

HANYS

Hans Wyciorek miał paszport Niemieckiej Republiki Federalnej. Małego Hansa wyrzucono wraz z matką z domu na Śląsku. Nie wzięły władze pod uwagę, że matka do małego synka mówiła nie po niemiecku, lecz najczystszą gwarą śląską, którą rodzina przechowała na przekór germanizacji. Co się nie udało hakacie¹, co się nie udało Prusakom, a później hitlerowcom — w pełni powiodło się władzom Polski Ludowej: Wyciorkowa i jej syn stali się Niemcami.

Hans, albo raczej Hanys, jak go nazywała matka, wyrósł w zagłębiu Ruhry. Był to chłopak milczący, nieskory do zwierzeń. Za wcześnie dojrzały? Piętno wojny wyciśnięte na osobowości dziecka? Pamięć o tym, jak na jego oczach Sowietci gwałcili matkę? A może o tym jak ukochana babcia-piastunka konała w transporcie w bydlęcym wagonie, w którym brutalna milicja stłoczyła wywożone na Zachód rodziny? Może to, że w szkole rówieśnicy kpili z jego języka, z akcentu?

Póki żyła Wyciorkowa, Hanys uczył się dobrze. Był dość zdolny, ambitny i nie rozpraszały jego uwagi zabawy z rówieśnikami. Ci szybko przestali się nim interesować, gdyż przyjaćiół nie szukał, a tych co próbowali z niego drwić lub mu dokuczać poskromił szybko pięścią.

Gdy umarła matka, Hanys przerwał naukę — jakby uczył się tylko dla matki — i ruszył w świat. Imał się wszelkich prac.

Silny i pojętny, łatwo znajdował krótkotrwałe zajęcia. Rzucał je, jechał dalej. Nie zagrzewał nigdzie miejsca. Poznał w ten sposób całą zachodnią Europę.

Późną nocą, przy ognisku w wąwozie gór otaczających kotlinę rzeki Ruzizi, zostało nas dwóch: Robert, kapral z Legii Cudzoziemskiej, i ja. Dowodziłem oddziałem rozpoznawczym. Robert obsługiwał krótkofalówkę. Czekaliśmy na przybycie przewodników. Oprócz straży — wojsko spało. Robert, dość gadatliwy Belg, opowiadał mi swoje przygody. Syn bogatego fabrykanta, dwa lata studiów prawniczych na uniwersytecie w Louvain. Gdy był na trzecim roku, dowiedział się, że w czasie wojny jego ojciec kolaborował z Niemcami. Robert rzucił studia, dom i zapisał się do Legii Cudzoziemskiej. Wraz z 1 pułkiem spadochroniarzy Legii brał udział w wojnie w Indochinach. Również wojna w Algierii go nie ominęła. Awansował szybko, lecz równie szybko degradowano go za niesubordynację. Minuta po minucie, papieros za papierosem snuł Robert swą długą opowieść o żołnierzach tułaczach spod znaku „Legia patria nostra”².

Marsylia rok 1963. Robert opuścił Legię. Zdemobilizowany, szukał zajęcia w porcie. Zamieszkał w robotniczym hoteliku. Oszczędności miał niewiele, musiał się spieszyć. Włócząc się po portowej dzielnicy, któregoś wieczoru zauważył osaczonego przez Arabów młodego człowieka, dosłownie przypartego do muru: oparty plecami o hangar portowy bronił się ciosami pięści i kopniakami przed trzema opryszkami uzbrojonymi w noże. Robert, który przeszedł niejedno w Algierii — Arabów nie lubił. Niewiele myśląc ruszył z odsieczą. Na jego widok napastnicy pierzchnęli. Trzech na jednego, to jedyny stosunek

sił jaki uznawali. Na placu boju został Robert i słaniający się nieznajomy. Spod przyciśniętej do piersi ręki wypływała krew. Robert podbiegł bliżej i wtedy poznał ранego. Był to jego sąsiad z hotelu robotniczego, ponury typ, który kilka dni temu zwrócił na siebie uwagę wyjątkową opryskliwością i niechętnym stosunkiem do bliźnich. Spotkali się na klatce schodowej. Na wesołe pozdrowienia jowialnego Belga — tamten odpowiadał niechętnym pomrukiem. Raz go tylko Robert widział uśmiechniętego i rozmarzonego: wpatrzony w wystawę sklepu z bronią tkwił długi moment w bezruchu. Gdy oderwał się od niej — uśmiech na jego twarzy zgasł. Teraz leciał Robertowi z rąk. Krew spływała na mokry asfalt, gdzie w blasku portowych latarni olejową tęczą lśniły kałuże brudnej wody...

— Teraz łączy nas braterstwo krwi — powiedział Hanys Robertowi, gdy po kilku dniach pobytu w szpitalu przyszedł do siebie i dowiedział się, że to Robert ofiarował swą krew do transfuzji, która ocaliła mu życie... Był jeszcze słaby. Miał gorączkę. Robert odwiedzał go często. Rana i związane z nią osłabienie spowodowały pęknięcia w skorupie jaką Ślăzak zwykł odgradzać się od ludzi. Wtedy to Robert poznał koleje życia swego przyjaciela. Po wyjściu ze szpitala Hanys stał się — jak przedtem — mało mówny i nigdy już do tematu nie wrócił. Jednak kilka tygodni później Robert znalazł się w opałach, gdyż był winny sporą sumę pieniędzy marsylskim gangsterom. Hanys oddawał mu prawie całe swe zarobki i pilnował, by się jego przyjacielowi nie stała jakaś krzywda... Tak żyli pewien czas: syn bogatego Belga i syn biednej Ślăzaczki. Robert górował wykształceniem, Hanys sprytem. Robert był wytrwałym komandosem, Hanys doświadczonym włóczęgą

portowym. Uzupełniali się nawzajem: Belg jowialny i beztroski, Hanys ponury i — jak dawniej — małowówny. Stanowili niebezpieczną parę.

Gdy wybuchła rewolucja w Kongo i secesja Katangi, dawni koledzy Roberta z Legii Cudzoziemskiej nie zapomnieli o nim. Przyjeżdż — pisali — tu jest wojna, znów jesteśmy razem. Robert pokazał list Hanysowi. Ślęzak nie zastanawiał się długo. Znaleźli się w Katandze. Wkrótce było o nich głośno...

Ognisko już dogasało, gdy do naszego obozu przybyli wreszcie oczekiwani przewodnicy. Zarządziłem alarm i nakażalem wymarsz w kierunku, gdzie w blasku wschodzącego słońca wynurzały się pokryte palmami wzgórza. Powietrze, jeszcze rześkie, już nagrzewało się i drgało wyraźnie w oczekiwaniu codziennego upału.

W bitwie, jaka się rozpętała, zginął mój nocny towarzysz, były żołnierz Legii Cudzoziemskiej, dawny student prawa — Robert.

Zginął rozbijając gniazdo karabinu maszynowego, który sparaliżował oddział w odkrytym wąwozie i zadał nam poważne straty. Ten przeklęty karabin maszynowy umilkł w porę, bym mógł bezpiecznie wydostać się z miejsca, w którym chwilę potem rozerwał się granat... Robert nie dowie się nigdy, że ocalał mi życie, i że ostatnia w tych górach bitwa została wygrana dzięki niemu.

Hanys Wyciorek nie mógł sobie darować, że go tam z nami nie było. Chory na malarię — przebywał w lazarecie.

Gdy wrócił do oddziału — był jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Po pogrzebie Roberta wyjechał z Konga. Nigdy już nie wrócił. Gdyby nie owa noc przy ognisku i opowieść Roberta

nie wiedziałbym nic o tym człowieku, który mnie zaintrygował od momentu gdy przedstawił się słowami: *Je suis un Silesien, pour ainsi dire aussi un Polonais*³.

Wiele lat później dowiedziałem się, że Hanys skończył kursy pielęgniarstwa i leczy trędowatych gdzieś w Indiach.

-
1. Hakata — potoczna nazwa nacjonalistycznej organizacji pruskiej Ostmarkverein — Związek Kresów Wschodnich, założony w 1894 roku, w celu tępienia polskości i germanizowania ziem polskich w Zaborze Pruskim.
 2. „Legia naszą ojczyzną” — hasło na sztandarach Legii Cudzoziemskiej.
 3. Jestem Ślązakiem, czyli można powiedzieć — Polakiem.

SIERŻANT WIATR

Okolice Kiwu to Szwajcaria Konga: piękne, czyste jezioro wśród wulkanicznych gór. W północnej jego części odbija swą przysadzystą sylwetkę czynny, ciągle dymiący wulkan Goma. Woda, przedziwnie czysta, pozwala oglądać dno w najgłębszym miejscu, a jezioro jest bardzo głębokie. Wody Kiwu są przesycone wulkanicznym gazem, który zapobiega rozmnażaniu się wodorostów. Brak mułu i szlamu odstrasza krokodyle, a niedostatek wodorostów powoduje, że tylko nieliczne gatunki ryb zamieszkują jezioro. Do nich należy doskonała telapia — specjalność restauracji „Bodega” w Bukawu. Kiwu jest położone wyżej niż Tanganika i między jeziorami sący się leniwie rzeka Ruzizi. Okolice Kiwu mają klimat idealny: położone dość wysoko, by nie dusić się w mdłych oparach dżungli, jednocześnie korzystają ze zrównoważonego klimatu równikowego. Temperatura rzadko przekracza 35°C i rzadko schodzi poniżej 25°C. Noce stosunkowo chłodne, zapewniają zdrowy sen, a ciągle wiejący lekki wietrzyk skutecznie zwalcza plagę Afryki — komary. Zbudowane przez Belgów na pięciu półwyspach, jak na pięciu palcach ręki, położone nad jeziorem miaśto Bukawu było — w czasach kolonialnych — przede wszystkim miejscowością wypoczynkową. Korty tenisowe, pływalnie, przystań żeglarska, piękne widoki i sady, w których rosły zarówno afrykańskie, jak i europejskie drzewa owocowe...

Wierzyć się nie chciało, że gdzieś obok trwa wojna. Nikt wówczas nie przewidywał, że w kilkanaście miesięcy później miasto ulegnie całkowitemu zniszczeniu.

W ostrym łuku między dwoma półwyspami, w pięknym parku, na tarasie należącym do znakomitej restauracji „Bodega”, siedział samotnie zamyślony mężczyzna. Ubrany był w dobrze skrojony strój spadochroniarski. Jego pociągła twarz zdradzała dziwny smutek i melancholię. Gdy podszedłem do stołu, podniósł na mnie zdziwiony i jakby niechętny wzrok.

— Czy mogę się dosiąść? — spytałem po francusku. Okulary błysnęły zimno, nieprzyjaźnie.

— Proszę — burknął wskazując na miejsce naprzeciwko i zapadł w swoistą zadumę.

Wiedziałem, że zgodził się tylko dlatego, że jemu, sierżantowi, nie wypadało się sprzeciwić życzeniu oficera.

— Dziękuję — powiedziałem tym razem po polsku. Sierżant Wiatr podniósł znowu wzrok, tym razem wykazując odrobinę zainteresowania. Szybko przejechał po mnie wzrokiem.

— Porucznik Gan-Ganowicz, jak przypuszczam? — bardziej stwierdził niż spytał i zajął się resztkami telapi na swoim talerzu.

Przeklinałem swoją ciekawość. Ostrzegano mnie przecież, że Wiatr to odludek i mizantrop.

Do Bukawu przyleciałem tegoż dnia w południe, mianowany zastępcą kapitana D., dowódcy zgrupowania „Kobra”, operującego w tych okolicach. Wiedziałem, że spotkam tu swoich rodaków. Z jednym z nich siedziałem teraz na tarasie „Bodegi”. W zachodzącym słońcu iskrzyło się pod nami jezioro Kiwu.

Do „Bodegi” przyszedłem, bo wiedziałem, że zastanę tu Wiatra. Słyszałem o nim już dużo wcześniej. Mówiono mi, że to świetny żołnierz. Opowiadano, że wydostawszy się z zasadzki przedarł się przez opanowaną przez rebelię dżunglę: dwustukilometrowa wędrówka trwała miesiąc i była wyczynem niepowtarzalnym. Przeżył samotnie miesiąc w dżungli, to nawet w czasach spokojnych wydaje się niemożliwe, zwłaszcza dla Europejczyka. A Wiatr musiał unikać nie tylko węży i drapieżników, ale i ludzi... Gdy się pojawił — nie wierzono własnym oczom.

Jeszcze inny wyczyn Wiatra przyczynił się do powstania legendy. Było to przed rokiem, gdy w Bukawu dowodził jeszcze kpt. Kowalski. Chodziły wtedy słuchy, że szef płamienia Tussi, graniczącego z obwodem Kowalskiego, zamierza zdradzić i przejść na stronę rebelii. Wiatr poprosił o trzydniową przepustkę, wziął ze sobą dwóch czarnych żołnierzy ze swego plutonu, przepłynął na pontonowej łodzi jezioro Kiwu. Na trzeci dzień wrócił. Na dnie łodzi leżał związany jak baleron ów szef. Kowalski umieścił go w ładnym domu, dostarczył mu kobiet i piwa, a dom otoczył czujną strażą. Odtąd szef rządził plemieniem na odległość, przez wysłanników, a jego syn dbał o to, by plemię trzymało się z dala od rebeliantów. Obaj na tym dobrze wyszli. Gdy rebelia upadła, szef nadal został szefem, a dobry syn ministrem w prowincjonalnym rządzie. A dzięki komu? Sierżant Wiatr nigdy nie opowiedział jak udało mu się porwać szefa wielkiego plemienia ze środka wioski strzeżonej przez licznych wojowników. Tacy ludzie jak Wiatr to klęska dla dziennikarzy.

Koszary europejskiej kadry zgrupowania „Kobra” mieściły

się w budynku dawnego belgijskiego liceum. W szkole był sztab, służby zaopatrzeniowe, biura i radiostacja. W dawnym internacie męskim mieli swe pokoje „najemnicy”: żołnierze i podoficerowie. Oficerowie zajmowali kwatery w mieście, w opuszczonych przez mieszkańców willach.

Budynek dawnego internatu żeńskiego przeznaczony był na szpital wojskowy. W pokoiku, który jeszcze nie tak dawno zajmowała jakaś belgijska uczennica liceum, teraz umierał sierżant Wiatr. Często przy nim siedziałem. Wysoka gorączka zerwała łączność Romka z rzeczywistością. Piszę Romka, gdyż zdążyłem się z nim zaprzyjaźnić. W Bukawu byłem już ponad dwa miesiące. Kilka wspólnych, niebezpiecznych wycieczek utrwaliło we mnie szacunek do tego dość niezwykłego człowieka. Przyjaźń ta polegała na wzajemnym zaufaniu. Bo bliższy kontakt był z Wiatrem zupełnie niemożliwy. Ten dziwak milczał ciągle i odzywał się tylko wtedy, gdy było to rzeczywiście niezbędne.

Teraz, w gorączce, mówił dużo. Mówił jakby pragnął nadrobić stracony czas. Tak, jakby poprzednio oszczędzał słowa wierząc, iż musi ich starczyć na długie życie, a teraz umierając, chciał się pozbyć tych „oszczędności”.

Już kilka dni upłynęło jak wpadliśmy w zasadzkę, w której Roman został raniony pociskiem przeciwpancernym. Udało nam się dowieźć go żywego do szpitala. Operacja trwała trzy godziny. Roman obudził się po narkozie, ale był półprzytomny. Nie rozpoznawał ludzi i mówił tylko... po polsku. Jakby zapomniał francuskiego. Zawołano mnie jako jedyne go poza nim Polaka w Bukawu. Odtąd każdą wolną chwilę spędzałem przy łóżku rannego rodaka, a z beładnych, gorączkowych wypowiedzi udało mi się choć częściowo odtworzyć przeszłość tego

znanego w całym Kongo żołnierza.

Z jego słów wynikało, że będąc małym dzieckiem został z rodzicami wywieziony na Syberię. Tam rodzina uległa rozbićciu: ojciec poszedł do więzienia. Po pewnym czasie umarła mu matka. Dobrzy ludzie przyprowadzili go do któregoś z obozów tworzącego się wojska polskiego. Ojciec, wypuszczony z więzienia na skutek umowy Sikorski-Stalin, dziwnym trafem trafił do tego samego obozu... Ponowna rozłąka: małego Romka ewakuowano z Sowietów wraz z setkami innych polskich dzieci. Ojciec przeszedł cały szlak bojowy II Korpusu. Spotkali się ponownie w Anglii, po wojnie. Razem wrócili do Polski. W pięćdziesiątym pierwszym starego Wiatra zabrało UB. Młodego wsadzono do domu poprawczego. Tam nauczył się milczeć: każde nieostrożne słowo mogło drogo kosztować. Gdy zwiął z poprawczaka, stary Wiatr już nie żył. Zamordowano go niemal tego samego dnia, w którym umarł Stalin...

Romek uciekł do Zachodniego Berlina. Trzy lata po mnie. Pieszko przeszedł całe Niemcy Wschodnie ukrywając się w lasach. Już wtedy widocznie był obdarzony nieomylnym instynktem, którym tak zabłysnął w Kongo. Później Francja, nieszczęśliwa miłość i Legia Cudzoziemska — ten przytułek niepokornych i rozbitków.

Teraz Romek umierał w przerobionym na szpital internacie żeńskim w afrykańskim mieście Bukawu. Wspominał jedyną miłość swego życia, młodą Francuzkę imieniem Yvonne.

Gdy przyszedłem nazajutrz do szpitala — już nie żył. Dopiero gdy go wynoszono, zauważyłem na drzwiach pokoju małą etykietkę z imieniem jego ostatniej lokatorki. Młoda Belgijka, która tu niegdyś mieszkała, też miała na imię Yvonne.

-
1. Telapia — jeden z nielicznych żyjących w jeziorze Kiwu gatunków ryb. Niezwykle smaczna, przyrządzona w grejpfrutowym sosie, telapia, była specjalnością „Bodegi”.
 2. Dwa tysiące katangijskich żołnierzy i stu białych najemników stawiało tu czoła przez szereg miesięcy całej armii kongijskiej, która bezlitośnie zbombardowała miasto. Zginęło wielu moich kolegów.

O KRASICKIM NIE BAJKA

W miejscowości Uwira w pobliżu jeziora Tanganika, a właściwie w dolinie rzeki Ruzizi, ogromne plantacje trzciny cukrowej ciągnęły się kilometrami. Rzeka Ruzizi wypływa z jeziora Kiwu, by po przebiegnięciu stu dwudziestu kilometrów umrzeć w Tanganice.

W porównaniu z okolicami Kiwu jest to inny świat. Potężne jezioro Tanganika wywiera wpływ na klimat: dużo więcej wilgoci w powietrzu, dużo więcej opadów. Krajobraz dzikszyszy, bardziej afrykański. Jezioro jest potężne jak morze, pełne ryb, krokodyli i hipopotamów. Burze na Tanganice są siłą równą morskim sztormom, a może nawet dzikszysze o tyle, że towarzyszy im zwykle niespotykana gdzie indziej ilość i siła wyładowań atmosferycznych. Deszcz jest tak gęsty, że w biały dzień robi się ciemno, a rozgadana zazwyczaj fauna milknie z przerażenia.

Biorąc swój początek w jeziorze Kiwu rzeka Ruzizi w swym krótkim żywocie zmienia całkowicie charakter. Córnka Kiwu tocząc swe przejrzyste wody koło miasta Bukawu, bruka się, pleśnieje, gnije. Zaczyna swój bieg jako zdrowa, nieposzlakowana dziewczica, by skończyć w Tanganice jako trędowata, cuchnąca starucha. Jakże strasznie musi być krótkie życie tej rzeki, by nastąpiła taka metamorfoza.

Ktoś ciekawy, kto chciałby prześledzić bieg rzeki Ruzizi,

poznać przyczyny jej choroby i upadku musiałby dać się ponieść jej wodom. Zarosłe trzcinami bagna, przez które płynie, należą do najmniej gościnnych miejsc w Afryce. W bagnach tych żyją masy krokodyli, na które tutaj nie poluje nikt: ludzie unikają doliny rzeki Ruzizi. Jadowite żmije, ostre jak brzytwy liście trzciny, trzęsawiska zawsze chętne wessać nową ofiarę, pilnują by degeneracja Ruzizi odbywała się dyskretnie, bez świadków. Chmary komarów roznoszą w dolinie najstraszniejszą odmianę malarii: nieszczęśnik, któremu tę chorobę zaszczepiły komary znad przekłętej rzeki, całe życie będzie nosił jej ślad, jak rzucony przez złą wróżkę czar. Nigdzie w Kongo nie ma tak wielu ludzi ślepych, głuchych i niespełna rozumu, jak właśnie w tych okolicach.

Kotlina, którą płynie Ruzizi, ma w najwęższym miejscu zaledwie kilkanaście kilometrów i jest ze wschodu i zachodu ograniczona pasmami gór. A że w tych okolicach wiatry najczęściej wieją z zachodu — duszna kotlina jest od nich zasłonięta i nieśmiały powiew rzadko zakłóca niezdrowe opary. W pobliżu Tanganiki, czyli w końcowym biegu rzeki, dolina rozszerza się, nagle staje się bardziej przewiewna i sucha.

Tu rośnie trzcina cukrowa. Morze trzciny cukrowej — jak okiem sięgnąć. Nic, tylko falista żółtość, aż po mglisty horyzont. Potężne belgijskie Towarzystwo Afrykańskiego Cukru, w skrócie SUCRAF Co., włożyło słone pieniądze, a Murzyni z okolicznych wsi tyleż gorzkiego potu, by na terenach wyrwanych spod władzy trupiej rzeki założyć plantacje i eksportować w świat słodycz w barwnych pudełkach.

Sucraf to nie tylko żółty bezkres, jak z szalonych snów Van Gogha, to nie tylko magazyny, hangary i bogata willa dyrektora — to przede wszystkim potężna, nowoczesna cukrownia.

Szara kotłownia, w której spalano pozbawione słodkiej treści resztki trzciny, była jej sercem. Wysoki komin wyrzucał miarowo kłęby dymu, jak sygnały Indian, gdzieś, w innych czasach i na innym kontynencie.

Trzy lata trwała wojna w tych okolicach. Wojna o wolność dymu z komina. Bo czerwona rebelia robiła wszystko, co w jej mocy, by cukrownię unieruchomić, a setki robotników plantacji włączyć w swe szeregi. Władze zaś robiły wszystko, by dym z komina cukrowni dawał, na dziesiątki kilometrów wokół, świadectwo „normalności” i spokoju. W miarę upływu czasu dym z komina stawał się symbolem, urastał do stawki w tej wojnie, był ważniejszy niż życie żołnierzy, którzy go bronili, niż życie rebeliantów, którzy chcieli go stłumić. W dalekim sztabie pytano lotników przelatujących nad tą okolicą, czy widzieli dym nad plantacją Sucraf-u...

Aż wreszcie, na wiosnę roku 1966, przedstawiciel potężnego Sucrafu-u udał się do dalekiej stolicy, do samego Najważniejszego Generała. Wręczył mu w imieniu firmy spory plik zielonych „argumentów nie do odparcia”. W skutek tego dolina rzeki Ruzizi została ogłoszona Ważnym Strategicznym Obiektem. René D., dowodzący zgrupowaniem „Kobra” w Bukawu, został wprost zasypyany rozkazami. W znacznie mniejszym stopniu sypnięto ludźmi i bronią. No, ale wśród skąpych posiłków kapitan René D. dostał mnie. Nie wykazywał z tego powodu większej radości.

Kapitan D., odważny, młody francuski oficer, rzucił armię francuską, gdyż się... nudził. Armia regularna w czasie pokoju to rutyna, a René, mój późniejszy wielki przyjaciel, rutyniarzem nie był. Ogromne, atletycznie zbudowane chłopisko o

twarży greckiego boga wojny miało też duszę wojownika. Znalazł się w Kongo, gdzie od szeregu już miesięcy gryzł wędzidła narzucone mu przez sztab. Był zwolennikiem brawurowych akcji skazanym na nową rutynę. Zgrupowanie „Kobra” w rękach kapitana D. przekształciło się w doborową jednostkę. René pozbył się ciamajdów, pseudożołnierzy i tym podobnych „dekowników”. Wreszcie „niezbite argumenty” Sucraf-u przekonały kogo należy i z dowódcy zgrupowania „Kobra” zdjęto obrożę...

W trzy dni później René postawił na nogi wszystkie oddziały między Kiwu a Tanganiką. Spieszył się, jakby się bał, że ktoś tam na górze rozmyśli się, zmieni rozkazy i znów skuje wolę walki na długie miesiące... Zwłaszcza, że komin nad plantacją dymił od pewnego czasu bez poważniejszych przeszkód...

Działania wojenne zaplanowane przez kapitana D., które miały się skończyć ostateczną pacyfikacją regionu, nosiły nazwę „Operacja Znicz”, ale mogły przejść do historii jako „wojna trzech Polaków”, gdyby nie smutny fakt, że w ogóle do historii nie przeszły.

Operacja René D. polegała na jednoczesnym ruchu trzech oddziałów: jeden, pod dowództwem kapitana Topora-Staszaka, miał ruszyć znad Tanganiki, drugi — dowodzony przeze mnie, z Bukawu. Trzecim dowodzić miał porucznik Krasicki. Topora znałem ze Stanleyville: to po nim objąłem dowództwo 12 batalionu po przyjeździe do Konga. Krasickiego poznałem przed kilku zaledwie dniami w zabawnych okolicznościach.

Gdy po przybyciu do Bukawu zostałem oficjalnie mianowany zastępcą kapitana D., musiałem zapoznać się z sytuacją

zgrupowania „Kobra”. W tym celu zacząłem systematycznie odwiedzać rozsiane wokół Bukawu placówki „Kobry”. Jedną z nich dowodził „Le Comte” — Hrabia, jak go tu wszyscy nazywali.

Była dość wczesna godzina, gdy zajechałem jeepem na miejsce postoju mego arystokratycznego rodaka. Ciekaw byłem go poznać. Tyle o nim słyszałem „w sferach towarzyskich” Bukawu. Przed rewoltą był zarządcą na olbrzymich plantacjach Sapiehów¹. Cudem ocalał z rzezi, jaką zbuntowane plemiona urządziły w momencie, gdy nad Kongiem rozszalała się czerwona zaraza. Krasicki przy pierwszej sposobności przyłączył się do wojska. Zaniżył swój wiek, by go przyjęto. Administracja przytknęła oczy: oficerów brakowało. W rzeczywistości Krasicki miał wtedy już 60 lat.

Placówka dowodzona przez Krasickiego broniła wstępu do miasta ze strony wschodniej. Skrzyżowanie dróg, kilka drzew i niewielki domek. Trzy stanowiska karabinów maszynowych chronione workami z piaskiem. Opodal murzyńskie chaty w bananowym gaju.

— Gdzie porucznik? — spytałem rozchełstanego Katangijczyka wyskakując z jeepa.

— Myje się! — odpowiedział z uśmiechem, wskazując ręką w stronę kępki drzew rosnących opodal.

Poprzez zarośla wiła się w tamtym kierunku wydeptana ścieżka. Ruszyłem w gąszcz. Gdy wynurzyłem się w pobliżu zagajnika, stanąłem jak wryty. Pod jednym z drzew stał odwrócony do mnie tyłem nagi, tęgawy mężczyzna. Z podwieszanej na gałęzi drzewa ogrodowej konewki lała mu się woda na głowę i plecy za pociągnięciem sznurka, który trzymał w ręku. Dwie dorodne Murzynki uwijały się obok: jedna mydliła mu plecy, a druga szorowała ryżową szczotką. Różowa pulch-

ność jego ciała nieodparcie narzucała wyobraźni obraz ogromnego niemowlęcia. Ugryzłem się w język by nie wybuchnąć śmiechem i wycofałem się dyplomatycznie. Po kwadransie oczekiwania wynurzyła się z zarośli Murzynka niosąca ręcznik i torebkę przyborów toaletowych, za nią szedł drobnym krokiem podporucznik Krasicki w starannie wyprasowanej koszuli, w luźnych szortach, *very British*, trzymając pod pachą laseczkę. Procesję zamykała druga Murzynka z konewką na głowie.

— Krasicki — przedstawił się, gdy podszedł bliżej. Powiało od niego wodą kolońską Yardley'a.

— Gan-Ganowicz — przedstawiłem się ja z kolei patrząc z niejakim zdumieniem na człowieka, który wynurzył się z chaszczów na zagubionej, trzeciorzędowej placówce tak, jakby wyszedł z klubu brytyjskich oficerów w Indiach Kiplinga.

W Bukawu hr. Krasicki był postacią popularną. Znany był jako doskonały fotograf-amator. Wiedzano również, że napisał książkę, relację z podróży do Azji Środkowej, którą odbył pod koniec lat pięćdziesiątych.

Z trzech stron ruszyły ku centrum doliny trzy oddziały pacyfikacyjne. Z Sucraf-u szedł oddział Topora. Niezależny od zgrupowania „Kobra” brał udział w operacji nie podlegając formalnie kapitanowi D. Z Bukawu z dwiema kompaniami Katangijczyków — ruszyłem ja. Od strony Ruzizi, w terenie najcięższym, walczył najmniejszy z oddziałów pod dowództwem Krasickiego. Całością, jak już wspomniałem, dowodził D. Zadanie Krasickiego nie było trudne z punktu widzenia wojskowego: siły rebelianckie w bagnach Ruzizi były nieliczne, słabe i dezorientowane. Były to raczej niedobitki rozbitych band szukających tam schronienia. Ale za to wysiłek fizyczny,

jakiego musiał zażądać od swoich podkomendnych i siebie samego, był ogromny.

Kapitan D. pragnąc, zadać tym razem ostateczną klęskę rebelii postanowił — wbrew temu co się stosowało dotychczas — nie rozbijać przeciwnika powodując tzw. „pryskanie na boki”, lecz wręcz przeciwnie, atakując peryferie regionu spowodować koncentrację jego sił tak, by uległy rozbiciu w walnej bitwie. Na dobre. Pięć dni miały trwać nasze operacje „napędzające” przeciwnika w kocioł. Szóstego dnia nasze oddziały miały się spotkać w centrum doliny, na skrzyżowaniu dróg. Pierwszy na miejsce spotkania przybył oddział Topora, nieźle poharatany w walkach jakie stoczył na pograniczu plantacji. Drugi przybyłem ja. Po pięciu dniach dość ciężkich walk w górach otaczających dolinę Ruzizi byłem bardzo wyczerpany fizycznie. A przecież było to przed decydującą bitwą. Każdy odpoczywał jak mógł. Po południu do obozowiska dotarł kapitan D., doprowadzając trochę świeżego wojska z odwodów. Krasickiego nie było. Zaczęliśmy się niepokoić. Nie mieliśmy dobrego sprzętu radiowego, a nasze *walkie-talkie* wydawały dźwięki zbliżone do zagłuszania „Wolnej Europy”. A oddziału Krasickiego jak nie było, tak nie było!

Mój oddział był rozlokowany wzdłuż drogi, którą miał nadejść Krasicki. Kapitan D. wydał mi polecenie, bym czekał jeszcze godzinę i ruszył Krasickiemu naprzeciw z jedną kompanią moich Katangijczyków. W miarę upływu minut niepokój rósł. Czyżby oddział Krasickiego wpadł w zasadzkę. Czyżby wszyscy zginęli? W momencie, gdy wstałem, by dać rozkaz wymarszu, na szosie pojawiła się samotna sylwetka. Po paru minutach postać zbliżyła się na tyle, by ją rozpoznać: w ręku karabin szturmowy, pod pachą krótka laseczka, zbyt luźne

szorty: hrabia Krasicki.

— Co się dzieje? — zawołałem. — Gdzie oddział?

Krasicki podszedł bliżej. Z przeciwnej strony nadbiegł kapitan D.

— Panie kapitanie — rzekł Krasicki spokojnym głosem. — Mój oddział leży w rowie trzy kilometry stąd. Ludzie nie mieli już siły ująć ani kroku. Więc ich zostawiłem, a sam przyszedłem po rozkazy.

Kapitan D. spojrzał na mnie ze zdumieniem. Ja zaniemówiłem. Ten tęgawy, sześćdziesięcioletni mężczyzna był jeszcze w stanie przejść trzy kilometry od momentu, gdy jego wyborowe, tubylcze wojsko padło ze zmęczenia i gdy żaden z jego białych podoficerów nie był w stanie się ruszyć. Kapitan D. wysłał ciężarówki. Po niedługim czasie gramolili się z nich ludzie, pod którymi ugięły się kolana, i którzy padali w trawę na pół przytomni ze zmęczenia. Krasicki czuwał nad rozmieszczeniem swego oddziału na biwaku.

Walki nad rzeką Ruzizi były trudniejsze niż się tego spodziewano. Podczas przechodzenia przez bagna zamoczono *walkie-talkie*. Od tej pory byli pozbawieni łączności z nami. Drugiego dnia zginął przewodnik, jedyny człowiek znający przejścia na moczarach, od tej pory Krasicki kierował się kompasem i... instynktem. Rozbił kilka band po drodze. Gdy udało mu się wyprowadzić ludzi z mokradeł, zwycięski oddział był bez sił. Od 24 godzin nie mieli już wody do picia innej niż ta, w której człapali nieraz po kolana. A ta roiła się od widzialnego robactwa i niewidzialnych śmiercionośnych ameb. Krasicki pod groźbą rewolweru zabronił ludziom pić. Pijawki, olbrzymie afrykańskie pijawki ssły krew z wycieńczonych żołnierzy.

Było to w kilka miesięcy po opisywanych walkach. Tymczasem zdążyłem się ze Stasiem zaprzyjaźnić tą szczególną przyjaźnią towarzyszy broni, wypić bruderszaft.

W „Bodedze” było przyjemnie i chłodno. Staś wyjął z kieszeni paczkę zdjęć. Ze szklanką „Chivas Regal” w ręce przeglądałem fotografie, które Staś robił podczas swoich wypadów wojennych. Ostatnich kilkanaście zdjęć — to ilustracja gehenny jaką on i jego ludzie przeszli w mokradłach Ruzizi. Znów mnie zatkało. Z jakiej stali był ten człowiek, który w tak potwornych warunkach myślał jeszcze o robieniu zdjęć?

— Robiłem je na wypadek, gdybyśmy nie doszli, licząc na to, że ktoś znajdzie ten film i wywoła. Żebyście wiedzieli...

Niezwykły człowiek. Szlachetny, prawy i odważny. Bajki Krasickiego? Nie — to szczerza prawda, którą pamiętają wszyscy ci, którzy mieli zaszczyt być jego towarzyszami broni.

Po zakończeniu wojny Staś znalazł pracę jako leśniczy w lasach niemieckiego arystokraty, swego dobrego przyjaciela. Zginął śmiercią tragiczną w 1974 roku, wypełniając swe obowiązki. Miał wtedy 72 lata.

1. W czasie murzyńskiej rewolty, z ręki rebeliantów zginął kuzyn i szwagier Krasickiego, hrabia Bielski, wraz z żoną, z domu Sapieżanką. Krasicki cudem uszedł z życiem. W momencie opisywanych wypadków nie wiedział co się stało z jego synem. Okazało się, że wyszedł cało. Żyje do dziś w Kongo. Inny syn Krasickiego jest w Australii. Im dedykuję tę garstkę wspomnień o przyjacielu.



*Miasto Bukawu zbudowane przez Belgów
na pięciu półwyspach.*

MOJŻESZ CZOMBE, WÓDZ KATANGI

Nieszczęściem Afryki jest to, że dekolonizacja, która nastąpiła po drugiej wojnie światowej nie pozwoliła na odrodzenie się starych, przedkolonialnych struktur geopolitycznych. Wszystkie bez mała państwa dzisiejszej Afryki stanowią sztuczne twory pod względem etnograficznym; są odbiciem stosunku sił między mocarstwami kolonialnymi w chwili, gdy przy zielonych stołach Paryża czy Londynu wytyczane były granice zasięgu wpływów. Toteż nic dziwnego, że po uzyskaniu niepodległości „państwa” afrykańskie były i są rozdzielane walką bratobójczą, że plenią się w nich dyktatury. Granice tych państw przebiegają bowiem niezgodnie z zasięgiem plemiennym, językowym i kulturowym ludności. Plemiona wtłoczone przez mocarstwa kolonialne do wspólnego tworu pseudopaństwowego często żywią do siebie atawistyczną, odwieczną nienawiść. Panowanie Europejczyków zapobiegało antagonizmom. Po odzyskaniu niepodległości antagonizmy te wybuchnęły z podwójną siłą. Rządy państw, które powstały na skutek dekolonizacji, najczęściej były w rękach członków plemienia, na którego terenie leżała stolica. Zwykle bowiem broń, środki łączności i... międzynarodowe uznanie przypadało w udziale tym, którzy w swych rękach trzymali stolicę kraju, i to

bez względu na to, czy mieli poparcie reszty ludności, czy też nie. A jako że na ogół nie mieli, więc zdobywali je i utrzymują najczęściej siłą. W większości państw afrykańskich wojny „ideologiczne” nie są niczym innym, jak wojnami plemiennymi.

Określenia „dyktatura prawicowa”, czy „dyktatura lewicowa” nie mają najczęściej sensu. W zależności od tego skąd dane państwo bierze pieniądze, broń i sprowadza doradców — język oficjalny i formy zewnętrzne będą nabierały różnych odcieni, flaga państwowa będzie mniej lub więcej czerwona lub też narodowa, ale w istocie rzeczy chodzi zawsze o to samo: o zachowanie władzy przez plemię, które panuje, lub o zdobycie władzy. Afryka choruje na permanentne „wojny domowe”. Prawie we wszystkich państwach afrykańskich obserwujemy podobne zjawisko: oto centralnemu rządowi przeciwstawia się jakiś „front wyzwolenia narodowego”. Gdy się przyjrzymy bliżej, to w większości wypadków zauważymy coś, czego nie chcą dostrzec zawodowi komentatorzy: a mianowicie, że „rząd” i „front” należą po prostu do różnych i wrogich sobie plemion! Gdy przyjrzymy się nawet tak krańcowemu przypadkowi, jak walka z *apartheidem* w Afryce Południowej, to zauważymy, że murzyńskie ruchy „umiarkowane” i „ekstremalne” są emanacją różnych wspólnot etnicznych i że walka z *apartheidem* przejawia się głównie w okrutnych morderstwach popełnianych na członkach wrogiego szczepu. Liberia, państwo utworzone w 1847 roku przez niedługo przedtem wyzwolonych z niewolnictwa amerykańskich Murzynów, państwo, które miało świecić przykładem i być odpowiedzią na europejski kolonializm, znajduje się dokładnie w tym samym położeniu, co państwa powstałe na skutek dekolonizacji powojennej! W Liberii twardą ręką rządzą — również wbrew woli

większości ludności — ...potomkowie dawnych niewolników, którzy świetnie się czują w roli kasty rządzącej. Kolonizacja wyrządziła Afryce wielką krzywdę. Większą wyrządziła jej tylko raptowna i nieprzemyślana dekolonizacja napędzana po wojnie z jednej strony przez Sowietów, z drugiej przez Stany Zjednoczone. Każde z tych mocarstw oprócz interesów partykularnych widziało w szybkiej dekolonizacji interes wspólny, którym było osłabienie znaczenia państw europejskich. Potęga państw europejskich była solą w oku jednych i drugich. Dla Sowietów stanowiła przeszkodę w ekspansji, a dla amerykańskiej opinii publicznej była przyczyną dwóch wojen światowych.

Jeśli mówię, że kolonizacja wyrządziła Afryce krzywdę, to myślę o zupełnie innej krzywdzie, niż sobie to wyobraża karmiony papką propagandową czytelnik zachodniej, a tym bardziej wschodniej prasy. Kolonizacja wyrządziła krzywdę nie przez wprowadzenie „niewolnictwa” i „wyzysku”, ale przez zniszczenie struktur tradycyjnych. Nieprawdą jest, że koloniści wprowadzili „niewolnictwo”. Wręcz przeciwnie, epoka kolonialna położyła kres arabskim wyprawom po niewolników. Nieprawdą również jest „wyzysk”. Opinia światowa widzi dziś czasy kolonializmu poprzez szablon *Chaty wuja Toma*, to znaczy poprzez zlepek informacji o czasach niewolnictwa w południowych stanach, zlepek czerpany z literatury, z filmów i z telewizji... Niech ktoś spróbuje wytłumaczyć jak to się dzieje, że w wielu krajach afrykańskich i Murzyni mieli co jeść, i jeszcze europejski plantator robił fortunę, a dziś w tych samych krajach mieszkańcy głodują, choć plantatora nie ma? Jakoś nikt nie postawił sobie pytania, czy właśnie nie dlatego głodują, że zabrakło plantatorów, tak jak ludzie sowieccy zaczęli głodo-

wać, gdy zabrakło wyzyskiwaczy i kułaków. Gdyby Afrykę pozostawiono samej sobie, dziewczą i dziką, to przez całe stulecie wyżywiłaby swoje nieliczne dzieci. Ale kolonizacja spowodowała ogromny przyrost naturalny, a dekolonizacja pobudziła żądzę posiadania i władzy. Nikt uczciwy nie zaprzeczy, że Murzyni pracujący na plantacjach białych kolonizatorów mieli stopę życiową bez porównania wyższą niż ich pobratymcy, którzy pozostawali „wolni”, ale w dżungli. Nie mówiąc już nawet o sytuacji w jakiej się znaleźli mieszkańcy „wyzwolonych” republik. Czyż w najgorszych czasach kolonializmu było do wyobrażenia życie jakiego zaznali poddani Amin Dada, Sekou Toure czy Bokassy. Oczywiście można tu przytoczyć bajkę La Fontaine'a o psie i wilku, który był głodny ale wolny. Trzeba by jednak szczerze wówczas wierzyć, że obywatele „niezależnych” państw afrykańskich są naprawdę wolni. Faktem jest, że jeżeli Murzyni w epoce przedkolonialnej głodni nie byli, to tylko dlatego, że ogromna śmiertelność noworodków skutecznie przeciwstawiała się prymitywnej rozrodczości, a wojny międzyplemienne i epidemie utrzymywały tak niską gęstość zaludnienia, że w Afryce mijały całe wieki bez najmniejszych zmian ekologicznych.

Ten stan rzeczy zmienił się radykalnie w epoce kolonialnej: stojący na straży kolonialnego ładu europejski żołnierz zapobiegał plemiennym wojnom z równą skutecznością, jak europejskie szczepionki zapobiegały epidemiom. Plantacje potrafiły wyżywić „z hektara” bez porównania więcej pracowników, niż dżungla prymitywnych myśliwych. *Everybody was happy*. Murzynom nie marły dzieci i nie burczały im puste żołądki, nie zagrażał najazd sąsiedniego plemienia i mucha tse-tse. Plantator zacierał ręce: rosła mu siła robocza i bogactwo. A mit

boskiej niemal potęgi białego człowieka gwarantował spójność i trwałość struktur ekonomiczno-społecznych.

Jednocześnie jednak wzrastał poziom wykształcenia Murzynów. Nie mówiąc o lokalnych szkołach zawodowych, wielu z nich, choć był to znikomy procent ogółu, uczęszczało na europejskie uniwersytety. Z drugiej strony ludność autochtoniczna zaczynała zazdrosnym okiem patrzeć na kumulowane bogactwo białych „wyzyskiwaczy”. I jedni, i drudzy byli bardzo podatni na hasła dekolonizacji. Pierwszym chodziło o pozbycie się konkurentów do władzy, drugim o podzielenie się bogactwem białych. Pierwsi, wyszkoleni na marksizujących uniwersytetach europejskich myśleli, że mają gotową receptę na prowadzenie państwa. U drugich działało w pełni hasło wypróbowane przez bolszewików: „grabić zagrabione”. Zwołennikami pozbycia się białych byli również ci, którym administracja kolonialna i misjonarze odebrali wpływ i znaczenie: kacykowie plemienni (przynajmniej pewna ich część) oraz czarownicy (wszyscy!). Powtarzające się tu i ówdzie rzezie białych (Stanleyville) były wynikiem prymitywnej „logiki” rozbastwionego tłumu: jeśli biali wrócą kiedykolwiek, to upomną się o zagrabione, więc trzeba ich tak przerazić, by nie wrócili już nigdy.

Niewielka tylko część murzyńskich przywódców zdawała sobie sprawę, że bez białych specjalistów żaden nowo powstały afrykański kraj nie poradzi sobie w dwudziestym wieku, w momencie, gdy trzeba wyżywić ludność, której ilość wzrosła często dziesięciokrotnie w okresie poprzedzającym dekolonizację. W ostatnich czasach cały świat był wstrząśnięty obrazem głodującej ludności Sahelu. Pruderyjnie mówiło się o długotrwałej klęsce suszy, która miała być tego powodem. Hipokry-

zja środków masowego przekazu kazała zapomnieć o „przyczynie przyczyny”. Posucha powstała dlatego, iż pustynia zaczęła wkraczać w tereny dawniej zalesione. A lasy zniszczyła ludność Sahelu, by móc się wyżywić przy pomocy prymitywnego rolnictwa. Umiejętnie prowadzone i nawadniane plantacje, które stać było na inwestycje, mogły wyżywić masę ludności uprawiając intensywnie niewielki, w gruncie rzeczy, obszar wydarty dżungli. Ekstensywne, beznawozowe rolnictwo wymagało wyrębu coraz to nowych połaci lasu. Aż doprowadzono do tego, że zmienił się klimat i od lat trwająca klęska suszy przynosi tysiące ofiar. Europa przez całe wieki przechodziła klęski głodowe, tylko wtedy nie było telewizji i nie było narodów sytych, które by się losem głodujących przejmowały. A trwało to tak długo, aż mieszkańcy Europy wytworzyli nowoczesne metody produkcji rolniczej, które zabezpieczają ich przed klęską głodu (za wyjątkiem państw realnego socjalizmu, ale te są dokarmiane przez kapitalistów).

Żadne organizacje dobroczynne nie rozwiążą kwestii głodu w Afryce. Jeśli międzynarodowa pomoc dostarczy wystarczającej ilości wyżywienia głodującym obecnie, to w ciągu dwóch pokoleń ludność Sahelu wzrośnie znów o tyle, że trzeba będzie rąbać nowe lasy... W wyścigu z afrykańską rozrodczością pomoc międzynarodowych organizacji z góry skazana jest na przegraną. Zwłaszcza, gdy równocześnie z pomocą żywnościową płynie lekarska opieka nad dziećmi. Jedynym wyjściem z sytuacji byłoby nie dawać żywności, lecz dostarczać środki do jej produkcji: maszyny, pompy, systemy nawadniające. Uczyć używania nawozów i stosowania płodozmianu. I — przede wszystkim — dbać o zalesianie!

Dochodzimy tu do sedna rzeczy: potrzeby ekspertów.

Murzyni takowych nie posiadają. Sądząc po statystykach prowadzonych przez francuskie uniwersytety, ci Afrykanie, którzy przyjeżdżają do Europy na studia, w dziewięćdziesięciu procentach chcą dorwać się do władzy: kończą szkoły nauk politycznych, instytuty dziennikarskie, studiują socjologię i ewentualnie filozofię — pod warunkiem, że jest marksistowska. Na akademiach rolniczych nie ma ich wcale, w szkołach technicznych — niewielu. I choć pewna ich ilość studiuje medycynę, to można sądzić, że po studiach nie zamierzają oni wrócić do siebie, gdyż specjalizację z medycyny tropikalnej robi proporcjonalnie najmniejsza ilość afrykańskich studentów. Tak jest dziś. A jeszcze gorzej było w okresie dekolonizacji.

Czombe rozumiał ten problem. Wiedział, iż bez ekspertów pozaafrykańskich nie obejdzie się ani przemysł, ani wojsko, ani rząd, ani sądownictwo. Murzyni nie posiadali kultury technicznej, której przecież nie nabywa się w ciągu jednego pokolenia. Mój kierowca w Kongo zawsze pamiętał o benzynie, bo wiedział, że bez niej nie pojedzie. O zmianie oleju w silniku musiałem pamiętać ja. Bez zmiany — samochód jedzie. Jak długo? — to już przekracza zdolność przewidywania. Włoski przedsiębiorca, specjalista od budowy dróg, mostów, tuneli i tym podobnej infrastruktury drogowej budował w Kongo drogi jeszcze przed wybuchem rebelii. Posprowadzał do Konga gigantyczne maszyny do karczowania drzew w dżungli. By dać wyobrażenie o ogromie tych buldożerów powiem, że kierowca siedział niemal na wysokości pierwszego piętra, a rozrusznikiem potwornego diesla był benzynowy silnik z chevroleta. Aby nie płacić włoskim robotnikom przejazdu do Konga i wysokich premii za niewygody i oddalenie,

ów przedsiębiorca postanowił wyszkolić tubylców. Wysłał więc całą ekipę do Włoch na przeszkolenie. Murzyni uczyli się świetnie, z Włoch płynęły same pochwały. Po skończonym stażu wrócili do Konga i zaczęli pracować. W dwa miesiące później trzeba było jednak sprowadzić Włochów. Murzyni zapomnieli czego się nauczyli. A właściwie nie. Teorii nie zapomnieli, tylko wrócili do zwykłej afrykańskiej nonszalancji, która każe zapomnieć o wszystkim, co nie jest doraźne. W wojsku nie można było wydać instrukcji typu: „Pojedziesz tam a tam. Jeśli zastaniesz daną osobę, to ją zawieziesz tam a tam. Jeśli jej nie znajdziesz, to wrócisz, po drodze zabierając sprzęt z magazynu”. Można było być pewnym, że żołnierz wszystko pomyli. Trzeba było wydawać jedno zlecenie na raz.

Toteż Czombe starał się, by za każdym Murzynem na stanowisku stał biały doradca. Komunistów wystrzegał się z wiadomych przyczyn. A jednocześnie nie chciał, by któreś z państw uzyskało poprzez doradców zbyt duży wpływ w Kongu. Toteż Czombe wprowadzał konkurencję: Francuzi zajmowali się komunikacją. Włosi drogami. Spadochroniarzy szkolili mu izraelscy instruktorzy, a amerykańskie konsorcjum wraz z Belgami sprawowało nadzór nad przemysłem. Wojsko było dowodzone przez czarnych oficerów, ale za nimi staliśmy my. Czombe myślał, że tą drogą uda mu się wprowadzić Kongo bezboleśnie w cywilizację... Robił co mógł w tym kierunku.

Nie trwało to długo. Gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła się walka o władzę. Tchórzliwego prezydenta Kasawubu przekonano łatwo, że obcy mu plemiennie Czombe chce objąć jego stanowisko. Gdy Czombe pojechał z oficjalną wizytą do Europy, Kasawubu ogłosił go zdrajcą i mianował premierem głównodowodzącego armii kongijskiej, generała Mobutu.

Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. To przysłowie znają i Murzyni... Katangijscy żandarmi, którzy od lat niemal sami prowadzili wojnę z czerwoną rewolucją, którzy ponieśli ogromne straty, teraz stawali się zbędni. Ba, stawali się niebezpieczni. Gdyby przebywający na uchodźstwie w Hiszpanii Czombe chciał ponownie sięgnąć po władzę mógł liczyć na ich poparcie. Przestano im płacić żołd, dostarczać żywności i amunicji. Rozmyślnie wysyłano ich na bezkresne, z góry skazane na klęskę operacje wojenne, byle dalej od miast, byle dalej od możliwości zaopatrzenia. Doprowadziło to do buntu katangijskich batalionów. Moje „Czerwone Diabły” zbuntowały się pierwsze. Bunt ten spotkał się z moim całkowitym zrozumieniem.

Gdy na rozkaz Boba Denarda opuściłem dowództwo 12 batalionu postarałem się, by moim byłym podwładnym zostawić jak najwięcej żywności i amunicji. Moja sytuacja w Kongo stawała się niebezpieczna. W każdej chwili mogłem być oskarżony o zdradę. Wszyscy znali moją sympatię dla Czombego i moją lojalność wobec podwładnych mi żołnierzy. Wycofano z terenu walk zarówno mnie, jak i wszystkich podwładnych białych najemników. 12 batalion katangijski został rozrzucony na ogromnym, zdobytym w krwawych walkach terytorium. Odchodziłem od mych żołnierzy z goryczą i pełen złych przeczuć co do ich dalszych losów. Losów Murzynów, którzy „zrobili swoje”, tak jak „zrobili swoje” Polacy w drugiej wojnie światowej.

Denard wystawił mnie na daleką placówkę w Bukawu, nad jeziorem Kiwu, mianując mnie zastępcą dowódcy tamtejszych oddziałów. Była to fikcja. Miałem dać o sobie zapomnieć do zbliżającego się momentu, gdy koniec rocznego kontraktu

pozwole mi na opuszczenie Konga i powrót do Europy. Ze mną „zesłano” do Bukawu mego zastępcę. Georges pozostał nad Kiwu po moim wyjeździe do Europy. Przeżyłem kilka miesięcy walk i sporo przygód w okolicach pamiętających jeszcze czasy słynnego zagońcyka Kowalskiego. Tu poznałem niezapomnianego Stasia Krasickiego. W pobliskich plantacjach trzciny cukrowej wojował inny mój znajomy, już wtedy major: Topór-Staszak. Ani piętno miasta, ani przyrody, ani obecność przyjaciół nie potrafiły osłodzić mi uczucia, że oto kończy się bezpowrotnie pewien, jakże bujny, okres w moim życiu.

Po powrocie do Europy bardzo szybko dowiedziałem się, że Czumbe nie zrezygnował, że zamierza odzyskać władzę w Kongo. Byłem jego zwolennikiem. Nie tyle może jego, ile jego koncepcji politycznych. Bałem się zakusów dyktatorskich Mobutu i nie myliłem się: generał-premier wkrótce obalił prezydenta, zajął jego stanowisko i obwołał się zbawcą ojczyzny. Czumbe miał pieniądze, kontakty polityczne i atuty wojskowe. Znając jego nieufność wobec mocarstw pomyślałem sobie, że gdyby Polacy pomogli mu odzyskać władzę, to później polscy inżynierowie, polscy lekarze mogliby przy nim odegrać znaczną rolę i, co to dużo mówić, znaleźć teren popisu i teren zarobków. Postanowiłem się z nim zobaczyć.

Mieszkał w Madrycie. Na żądanie rządu hiszpańskiego jego miejsce pobytu było otoczone tajemnicą. Franco z jednej strony bał się zamachu na byłego premiera skazanego zaocznie na śmierć przez Mobutu, a z drugiej strony nie chciał, by dziennikarze robili za dużo sensacji. Musiałem zabawić się w detektywa. Nie znając hiszpańskiego i nie mając żadnych znajomych w Madrycie miałem przed sobą zadanie niełatwe. Wie-

działem, że, siłą rzeczy, muszą u niego bywać łącznicy z Katangi. Zacząłem więc bywać w eleganckich lokalach i śledzić Murzynów. Nie wszystkich oczywiście, lecz tych, którzy mówili po francusku. Eliminowało to zarówno amerykańskich turystów, jak i licznych czarnych z hiszpańskiej Angoli. Po tygodniu odkryłem willę strzeżoną dyskretnie przez policję. Do skrzynki w bramie wrzuciłem list z prośbą o spotkanie, licząc, że Czombe pamięta moje nazwisko. Na drugi dzień przysłał po mnie szofera. Przedstawiłem mu propozycję, że zwerbuję 150 żołnierzy polskiego pochodzenia, co dawało mu gwarancję, że ludzie ci będą lojalni, ponieważ nie reprezentują niczyich interesów. Powiedziałem, że znajdę mu fachowców, ekspertów przemysłowych, wojskowych i służby zdrowia. Pod jednym warunkiem: kontrakty ich będą bezterminowe, z prawem pracy i pozostania w Kongo tak długo, jak zechcą. Czombe powiedział, że się zastanowi i że w ciągu dwóch tygodni da mi odpowiedź. Był wyraźnie zainteresowany.

Poleciałem do Londynu, by przedstawić projekt generałowi Andersowi i zasięgnąć jego opinii. Chciałem mieć pewność, że mnie nie zdezawuuje. Bądź co bądź był dla mnie najwyższym autorytetem. To on wręczył mi dyplom oficerski. Generał dał mi wolną rękę. Więcej nie chciałem. Pomocy nie mógł mi przecież udzielić... Wróciłem do Paryża.

Czombe zatelefonował do mnie w umówionym terminie. Podał mi datę, kiedy mam się z nim spotkać w Madrycie. Zacząłem wierzyć, że mi się uda. Byłem zdenerwowany, ale dumny. Nie każdemu jest dane wpłynąć na historię, choćby to miała być tylko historia Konga. Zwłaszcza, że miałem podstawy by sądzić, iż otworzę nową erę w dziejach emigracji polskiej, zwłaszcza politycznej...

Niestety nie przewidziałem, iż przeciw Czombemu knuje się spisek mający skończyć się jego śmiercią w algierskim więzieniu. Śmiercią w podejrzanych okolicznościach.

Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że Amerykanie stawiali na Mobutu, że Francuzi i Belgowie odpisali Czombego na straty. Ale był on nadal niebezpieczny dla reżimu Mobutu. By odciąć go od możliwości rekrutacji we Francji, nie zawahało się przed prowokacją. Jakiś Amerykanin podający się za byłego pułkownika US Air Force (lotnictwo wojskowe USA) i znany francuski poszukiwacz przygód, niejaki Thierry de Bonnay, zaczęli werbować ochotników powołując się na rzekome upoważnienie Czombego. Osiemnastu zwerbowanych ochotników umieszczono na odludnej farmie w górach centralnej Francji, w pobliżu wsi Aubenas. Tam przebywali dłuższy czas pod pretekstem treningu. 17 września 1966 farmę otoczyła policja i... dziennikarze. Cała francuska prasa pisała z oburzeniem o bezczelności Czombego, który „śmiał w sercu Francji ćwiczyć przyszłych francuskich aktorów zamachu stanu”. Wiem z zupełnie pewnych źródeł, że Czombe o niczym nie wiedział i że cała sprawa była prowokacją. Francuską? Amerykańską? Nie wiem. Może była to inicjatywa Mobutu. Może CIA. Nie dowiemy się już chyba nigdy. Czombe postanowił przeczekać burzę, jaka się wówczas rozpętała. W międzyczasie jednak rozwijał aktywność na terenie Konga, a zwłaszcza Katangi. Nie dawał za wygraną. Ja jednak zorientowałem się, że nie mogę na niego stawiać. Zbyt potężnych miał wrogów. W tej sytuacji nie chciałem narażać rodaków, którzy by mi zaufali. Zerwałem z nim kontakt.

Rozeszły się pogłoski, że Czombe chce się przenieść na

Baleary. Zgłosił się do niego osobnik należący do francuskiego świata przestępczego, zamieszany w różne polityczno-kryminalne afery, niejaki Bodenan. Zaproponował mu obejrzenie pięknej posiadłości na tych wyspach, rzekomo wystawionej na sprzedaż. Czombe wsiadł do wynajętego sześćoosobowego samolotu. Towarzyszył mu, oprócz Bodenana, ojciec jednego z moich późniejszych towarzyszy broni w Jemenie, belgijski przemysłowiec Hambursin. W trakcie przelotu Bodenan wyjął pistolet i zmusił pilota do lądowania w Algierze. Czombe znalazł się w ten sposób w algierskim więzieniu i tam umarł w nie wyjaśnionych okolicznościach. Był niewygodnym „gościem” dla algierskiego reżymu: z jednej strony Mobutu naciskał o wydanie mu byłego premiera, a z drugiej oburzona Hiszpania domagała się oswobodzenia porwanego z hiszpańskiego samolotu uchodźcy, posiadającego w Hiszpanii azyl polityczny.

Bunt katangijskich oddziałów w Kongo, a nieco później i białych „najemników”, skończył się oblężeniem Bukawu, gdzie przez trzy miesiące cała armia kongijska nie mogła ich pokonać. Daremnie jednak oczekiwali odsieczy. Biali zostali internowani w sąsiedniej Rwandzie, Katangijczycy w części wymordowani, a w części rozbrojeni i repatriowani.

Jemen

JEMEN, GDZIE TO JEST?

Paryż był ponury. Siąpił zimny deszcz. Na bulwarze Montmartre błoto zmieszane z topniejącym śniegiem chlapało pod butami spieszonych przechodniów. Była czwarta po południu, a już ściemniało się i samochody miały zapalone światła. Babina sprzedająca gorące kasztany zacierała zmarznięte dłonie nad płomieniem, w którym syczały krople deszczu. Ponury dzień. Luty 1967. Po wielkich szybach tarasu kawiarni „Le Brebant” ściekały strużki brudnej wody. Tylko neony kina „Rex” ożywiały z daleka perspektywę bulwaru. Siedziałem podniecony i zdenerwowany. Za pół godziny miał tu być Martin. Z obawy by nie przyjść za późno — przyszedłem dużo za wcześnie. Niech to będzie dowodem jak bardzo mi na tym spotkaniu zależało.

Już prawie rok minął gdy wróciłem z Konga do Europy. W Kongo pokochałem przyrodę i broń. Ciężko było wrócić pomiędzy zwykłych zjadaczy chleba, do których żywiłem podświadomie pewną pogardę i głębokie lekceważenie dla ich codziennych, ludzkich problemów. „Lepiej przeżyć jeden dzień jak lew, niż całe życie jak zając” — myślałem. I nie chciałem się zgodzić na pożegnanie z bronią. Od kilku miesięcy rosła we mnie tęsknota. Tęsknota do słońca, do wojny, do przygody. Do życia, które poznałem w Kongo. Bałem się powrotu do cywila. Życie cywilne jawiło mi się jako potworny kołowro-

tek powielanych dni, powielanych w takt rytmu: łóżko, metro, praca, metro, łóżko... i tak w kółko, aż po horyzont kiepskiej emerytury. Błagałem boga wojny o jeszcze jedną przygodę. Bóg wojny był łaskawy, a Martin był jego wysłannikiem.

Major Martin, bohater francuskich walk w Wietnamie i Algierii, był dowódcą grupy doradców wojskowych w Jemenie. Przyjechał do Paryża między innymi po to, by uzupełnić stan grupy. Mój Boże! Kongo skończyło się sławetną bitwą w Bukawu. Setki byłych „najemników” znalazły się w Europie. Po straceniu zarobionych pieniędzy snuli się po wielkich miastach w poszukiwaniu nowego „kontraktu”. W Brukseli i Paryżu zbierali się w wiadomych sobie knajpach i żyli — jak ja — nadzieją. Jedyną wówczas aktywną grupą „najemników” była grupa Martina w Jemenie. Krążyły o niej pełne zazdrości legendy. Bo grupa liczyła tylko dwudziestu pięciu fachowców dobranych na zasadzie ekskluzywnego klubu. Gdy ktoś odchodził — członkowie grupy rzucali nazwisko „bezrobotnego” kolegi. Kolegi godnego mitu grupy. Moje nazwisko wciśnęli Martinowi: kapitan D. — mój krótkotrwały dowódca z końcowego okresu pobytu w Kongo — i Georges, mój dawny zastępca z czasów, gdy dowodziłem batalionem „Czerwonych Diabłów” w Stanleyville. I Martin wyznaczył mi spotkanie. Było to wyróżnienie nie lada. Gdybyż moi towarzysze z paryskich knajp o tym wiedzieli!

A jeśli Martinowi się nie spodobam? Nie! Musi mnie przyjąć! Nie chciałem nawet o tym myśleć, że wyjdę z tej knajpy tylko po to, by zanurzyć się w codzienność. Gdy w czerwcu 1965 jechałem do Konga, nie wiedziałem o sobie nic: Czy nadaję się do wojska? Czy dam sobie radę? Dopiero tam, w Afryce poznałem wartość życia. Życia, którym pęczniała równikowa

dżungla, życia, które codziennie ocierało się o śmierć. Nigdy szklanka whisky nie smakowała mi bardziej niż wówczas, gdy się nią rozkoszowałem po wyjściu ze śmiertelnego zagrożenia. Ta rozkosz życia na pograniczu śmierci była jak narkotyk. Bo rozkoszą był i sprawnie funkcjonujący organizm i wyostrzony instynkt. Instynkt walki i instynkt samozachowawczy. Śmierci nie bałem się wcale, lub znacznie mniej niż koszmaru powielanych dni cywilnego życia. Byłem trzy razy ranny, a raz miałem świadomość, że umieram. Ginęło nas wielu: prawie jedna czwarta stanu rocznie. Dużo więcej niż w drugiej wojnie światowej, więcej niż w partyzantkach europejskich, niż w Wietnamie. Ale żądza życia obdarzała nas — tych którzy przeżyli — swoistą euforią, pijanym szczęściem wojowników „Wielkiej Przygody”.

Drzwi „Brebanta” otworzyły się. Weszło dwóch mężczyzn. Jednego z nich znałem dobrze: był to mój stary znajomy z Konga, porucznik Bruni, drugim musiał być według wszelkiego prawdopodobieństwa major Martin. Gdy tak szli przez knajpę — opaleni, pewni siebie, o charakterystycznych niemal kocich ruchach — knajpiani bywalcy rozstępowali się przed nimi. Poderwałem się z krzesła na powitanie. Martin mocno uściśnął mi dłoń. Patrzył mi w oczy z uśmiechem. Był to szczupły, świetnie zbudowany pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwych włosach i przedziwnie młodych niebieskich oczach.

Opuściłem taras „Brebanta” z wiosną w duszy i z biletem lotniczym w kieszeni. Nazajutrz miałem się zgłosić do ambasady Arabii Saudyjskiej po wizę. Poprzez szarą mżawkę paryskiego zmierzchu mnie błyszczało już tropikalne słońce. Wylewające się z metra tłumy wracających z pracy paryżan przesta-

ły istnieć. Miałem znów randkę z przygodą. Za horyzontem czekała na mnie broń.

Jemen. Któż słyszał o tym kraju? A przecież nie jest on nam zupełnie obcy, choć pod innymi nazwami, jak na przykład znane z Biblii królestwo Saby. Tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa po obu stronach Morza Czerwonego rozwijała się wspańska cywilizacja. Legendarne to królestwo, potężne i bogate, obejmowało obszar obu dzisiejszych Jemenów i nadbrzeżną część współczesnej Etiopii. Bilkis, królowa Saby, olśniła króla Salomona nie tylko urodą, ale również wysoką kulturą i bogactwem swej świąty. W bagażach Bilkis przybyły na dwór Salomona tkaniny, perfumy i korzenie z Indii, z Afryki i wysp Oceanu Indyjskiego. Sabejskie statki docierały na Jawę, Sumatrę, do Syjamu i Chin. Przywoziły towary nieznane na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Bogactwo Saby rosło wzbudzając zachwyt podróżnych. Zafascynowani pałacami inkrustowanymi złotem i kością słoniową, haftowanymi strojami zdobnymi w strusie pióra, oszołomieni mirrą i kadzidłem kupcy greccy i rzymscy nazywali ówczesny Jemen Arabią Szczęśliwą: *Arabia Felix*. I rzeczywiście — w porównaniu z północną, pustynną częścią Arabii, Jemen wydawał się rajem. Królestwo Saby zawdzięczało również swój dobrobyt kolosalnej zaporze wodnej, przy której leżała jego starożytna stolica Marib. Zapora ta, cud starożytnego świata, miała sześćset metrów długości i sześćdziesiąt metrów szerokości u podstawy. Zachowane do dziś ruiny świadczą o wysokim poziomie technicznym: dający się odczytać kształt zapory, niemalże nowoczesny w swym zarysie, świadczy o niezwykłości sabejskiej cywilizacji.

Okres upadku królestwa Saby pokrywa się z początkiem

naszej ery. Gdy zapora zawaliła się, nikt nie potrafił jej odbudować. „Tam gdzie kwitły ogrody nastała pustynia, na której nie dojrzewało nic prócz trujących jagód” — wyczytać można w Koranie. W tym czasie wzrasta potęga sąsiednich hymiariotów. Misjonarze monoteizmu — Żydzi i chrześcijanie — przebiegają Jemen pogański. Monarchowie nawróceni toczą wojny religijne: legendarny Dhu Novas, zwolennik judaizmu, wymordował wiele tysięcy chrześcijan. Sam popełnił samobójstwo, zwyciężony przez przybyłych na odsiecz chrześcijanom etiopskich Koptów.

Nieco później — fascynacja pobliską Mekką. Mahometanizm rozpoczął swą zawrotną karierę. Do Jemenu przedostaje się islam i język koranu — arabski. Wielka schizma islamu, rozłam między prawowiernymi sunnitami a szyitami, zwolennikami zięcia Mahometa — Alego, znalazł i tu swój wyraz. Jemen dostaje się na kilka stuleci pod wpływ szyickiej Persji. W IX wieku powstaje w Iraku nowa sekta szyicka: zeidyzm. Jemeńczycy zmęczeni bałaganem udają się do Mezopotamii, by oddać tron jemeński jednemu z potomków Alego, a więc potomkowi Mahometa. El Hadżi¹ Yahia ibn Hussein zakłada jedną z najtrwalszych dynastii świata. Imamowie Jemenu, jako bezpośredni potomkowie Proroka, cieszą się ogromnym prestiżem. Potrafią oprzeć się inwazjom armii Saladyna, Etiopii i Portugalii. Jedynie Sulejmanowi Wspaniałemu sztuka się udaje. Turcy zajmują Jemen w XVI wieku.

Legendarny imam Kassam wygania ich sto lat później. Turcy otomańscy pojawiają się znów w 1840 roku, ale nie mogą opanować kraju. Tylko stare forty strzegące niektórych przełęczy górskich pozostały jako świadectwo okupacji. Jemen zachował niepodległość, choć stracił niektóre swe prowincje:

Asir na korzyść Arabii Saudyjskiej w 1834 i Aden² oraz Hadramut, które w 1839 przechodzą pod władzę Wielkiej Brytanii. Poematy-legendy przenoszą z pokolenia w pokolenie chwałę walk przeciw Turkom, zwycięskie wojny imama Jahii, który wyswobodził swą stolicę San'a³ w 1905 roku. Jahia został zamordowany w 1948. Następcą został jego syn Ahmed „Miecz Islamu”. Jak sławny ojciec tak i on utrzymywał Jemen z dala od wszelkich wpływów obcych. Tym szczęśliwym, acz niezmiernie zacofanym, krajem miała później wstrząsnąć rewolucja importowana z nasserowskiego Egiptu...

Jakżeż zmienne koleje losu... W starożytności Jemen był zwany Arabią Szczęśliwą, gdyż w przeciwieństwie do spalonej słońcem pustynnej ojczyzny Proroka — góry jemeńskie nie były pozbawione wody, a co za tym idzie — zieloności. Arabscy beduini, koczownicy i włóczędzy, traktowani byli przez zamożnych i osiadłych Jemeńczyków trochę jak Cyganie przez włościan. Ale Prorok dał swym wybrańcom ropę i los odmienił się całkowicie. Beduini arabscy stali się jednym z najzamożniejszych narodów świata, a Jemeńczycy ze swym prymitywnym rolnictwem pozostali na poziomie średniowiecza. Po śmierci „Miecza Islamu” imamem został jego syn, El Badr.

Ta swoista sielanka trwała do roku 1962, gdy pod wpływem sowietów egipski dyktator Nasser, w drodze do urzeczywistnienia swych panarabskich snów, postanowił zbliżyć się do źródeł ropy, których Egiptowi Allah poskąpił, obdarowując go jednocześnie nadmiarem gąb do wyżywienia. Zacofany Jemen, bez armii i policji, był łatwym łupem dla prosowieckiego dyktatora. Gdy imam El Badr udał się z 1962 na pielgrzymkę do Mekki, kapitan Abdallah-el-Saal zawładnął pałacem i stolicą, ogłosił republikę i... wezwał na pomoc Egipt. Nasser

„pomocy” nie poskąpił. Trzydzieści tysięcy żołnierzy egipskich przerzucono do Jemenu wraz z czołgami i artylerią.

Przekazawszy władzę swemu bratankowi emirowi Mohammedowi ben Husseinowi, imam znalazł schronienie w Arabii Saudyjskiej. Emir Mohammed stanął na czele wiernych plemion. Jemeńczycy rozpoczęli nierówną walkę przeciw Egipcjanom, których liczba wzrosła wkrótce do osiemdziesięciu tysięcy. Opanowane zostały przez nich szlaki komunikacyjne i wszystkie większe osiedla. Ale całe plemiona jemeńskie trzymały się w niedostępnych górach i Egipcjanie ponosili ciężkie straty. Sytuacja była wówczas prawie taka sama jak niedawno w Afganistanie. Teren podobny — i ludzie, i religia. Uzbrojeni w starożytne, czasem jeszcze tureckie strzelby i dżambie⁴. Jemeńczycy musieliby ulec, gdyby nie pomoc zagrożonej od południa Arabii Saudyjskiej.

Jednakże już wkrótce okazało się, że nowoczesna broń i sprzęt nie będą mogły być wykorzystane bez odpowiedniego wyszkolenia i kadr. I tu sprawę przesądzili francuscy dziennikarze, którzy pierwsi, jako korespondenci, odważyli się „zajrzeć” na stronę rojalistyczną. Szybko zorientowali się, że lojaliści⁵ nie poradzą sobie nigdy z przeciwnikiem, jeśli nie będą mieli ludzi znających nowoczesne metody prowadzenia wojny. Dziennikarze ci jednocześnie wiedzieli, że w Europie nie brak specjalistów szukających pracy po zakończeniu walk w Katan-dze. Reporter paryskiego tygodnika *Paris match* Jacques Le Bailly podsunął Jemeńczykom myśl, by zaangażowali słynnego już wówczas Boba Denarda wraz z jego grupą. Był rok 1963. Epopeja europejskich „doradców-najemników” rozpoczęła się szkoleniem partyzantów malakhi⁶ w górach pogranicza Jemenu i Arabii Saudyjskiej. Wkrótce Sallal wyznaczył wysokie

ceny na ich głowy.

Cóż jednak wskórać mogło trzydziestu ludzi? Egipcjanie mieli w rękach stolicę i panowali nad krajem. Pływały miesiące i lata, a szeregi armii *dżimuri*⁷ powiększały się o wyszkoloną w duchu marksistowskim młodzież miejską zadowoloną z upadku struktur społecznych ograniczających jej ambicje. I przypuszczalnie udałoby się Nasserowi stworzyć przyczółek rewolucji na Półwyspie Arabskim i zagrozić prozachodnim królestwom bogatym w ropę naftową. Ale w 1967 roku Nasser, związany z Syrią i wpłątany w konflikt z Izraelem, wycofuje swoje wojska z Jemenu.

Armia *dżimuri* dziedziczy po Egipcjanach całe nowoczesne uzbrojenie: czołgi i samoloty, artylerię i rakiety. Kilka tysięcy sowieckich doradców przybywa do Jemenu, by służyć radą i czynną pomocą. W ciągnącej się od pięciu lat wojnie następuje przełom: siły stają się równe. Po stronie *dżimuri* jest przewaga sprzętu i specjalistów. Samoloty Mig-21, czołgi T-34 i baterie „katiusz” obsługiwane są przez sowieckich żołnierzy. Po stronie *malakhi* — sympatia większości społeczeństwa i mająca podłoże religijne motywacja walki. Stare tureckie strzelby już dawno zostały zastąpione przez zdobyte lub kupione od przeciwnika sowieckie karabinki szturmowe kałasznikowa.

W tym stanie rzeczy księżę Mohammed ben Hussein, bratanek imama i naczelny dowódca, postanawia przejść do ofensywy. Ale o tym później. Gdy przybyłem do Jemenu, właśnie rozpoczęła się ewakuacja egipskiego korpusu ekspedycyjnego. Europejskimi doradcami Jemeńczyków dowodził po sławnym Denardzie i równie głośnym pułkowniku Faulques — mój nowy znajomy, major Martin.

1. Hadżdż — pielgrzymka do Mekki. Każdy muzułmanin powinien przynajmniej raz w życiu wziąć w niej udział i zyskać zaszczytny tytuł *hadżi*, noszony później z dumą przed nazwiskiem.
2. Aden — dawna kolonia brytyjska, nazywa się dziś „Republiką Ludową Jemenu Południowego”. Jest zdecydowanie promoskiewska i w ciągłym konflikcie z Jemenem Północnym, czyli właściwym, historycznym Jemenem.
3. Sanaah, Sana'a i San'a to trzy różne transkrypcje arabskiej pisowni nazwy stolicy Jemenu.
4. Dżambia — zakrzywiony kindżał o ozdobnej rękojeści i pochwie. Symbol wolnego człowieka i jego godności. Młody Jemeńczyk za pierwsze własne grosze kupuje pochwę do *dżambii* i rękojeść ozdabia na miarę swych możliwości złotem i drogimi kamieniami — gdy jest bogaty, a srebrem i miedzią — gdy biedny. Najstarszy syn dziedziczy *dżambię* po ojcu jako widomy znak władzy nad całą rodziną.
5. Lojalni wobec prawowitego imama. Imam Jemenu był nie tylko przewodnikiem duchowym, lecz również dziedzicznym królem. Lojaliści zwani byli także przez dziennikarzy rojalistami zob. przyp.
6. *Malakhi* — rojaliści, zwolennicy króla. Od słowa *Malekh* — król.
7. *Dżimuri* — republikanie. Od *dżiamahirija* — republika. Tak nazywali się pronasserowscy i prosowieccy przeciwnicy imama.



Młody Jemeńczyk z dżambią

DŻIDDA, WROTA ISLAMU

Byłem szczęśliwy. Leżałem nagi w półmroku pokoju, którego ściany ziały żarem zebrany w ciągu dnia, gdy temperatura w słońcu wynosiła bez mała 50 stopni Celsjusza. Wiedziałem, że zasnę dopiero po północy, gdy napłynie fala chłodu z pobliskiej pustyni. Co kwadrans wstawałem, by ochłodzić się pod prysznicem, a później znów leżałem parując w ciepłym powietrzu leniwie mielonym przez wielkie skrzydła wentylatora zawieszonego pod sufitem. Niemniej byłem szczęśliwy: na odległość ręki znów leżał karabin, a z sąsiedniego pokoju dochodził mnie szmer szyfrowanej rozmowy radiowej. To Marco Tossi utrzymywał łączność z koczującą na pograniczu Jemenu grupą. Myślałem o nich. Wielu z nich znałem z Konga. Innych miałem poznać wkrótce... Towarzysze broni. Wyświechtane określenie. O żołnierskiej przyjaźni pisano wiele, aczkolwiek jest to uczucie wymykające się opisom. Mieści się w nim jakaś domieszka dumy z przynależności do elity, a jednocześnie domieszka lekceważenia w stosunku do zwykłych zjadaczy chleba. Nie darmo legionści Piłsudskiego śpiewali z pogardą: „Nie chcemy już od was uznania, ni waszych serc, ni waszych łez...”

Cztery dni temu siedziałem w knajpie przy bulwarze Montmartre i czekałem na Martina, patrząc na ciekące po szybach brudne strużki topniejącego śniegu. Wizyta w amba-

sadzie saudyjskiej, lotnisko, samolot *Middle East Airlines*. Jedna doba spędzona w Bejrucie. Tu już była wiosna. I znowu samolot. Parę godzin lotu. Morze Śródziemne. Morze Czerwone. Duże miasto portowe Dżidda. Przeraźliwa biel rozedrgana w żarze oślepiającego słońca, otoczona żółtawym bezmiarem pustyni. Lotnisko. Po wyjściu z klimatyzowanego samolotu uderzenie upału. Skojarzenie: płonący dom w czasie warszawskiego powstania i ja, dwunastoletni, otoczony zewsząd ogniem. Żar, który zapiera dech. Lotnisko w Dżidda — otwarte drzwi w hucie żelaza. Trzysta metrów rozgrzanym autobusem do odprawy celnej. Sumiennie przetrząśnięty bagaż. Celnicy szukają tylko dwóch towarów: alkoholu i pornografii. Pod to ostatnie pojęcie podciągają każde czasopismo zawierające choćby jedno zdjęcie nagiej kobiety. Ba, nawet kobiety w kostiumie kąpielowym. Przy jednym z pasażerów znaleziono kieszonkową flaszkę whisky. Celnik wylał zawartość do zlewu, a butelkę rozbił. Amerykańskiemu pasażerowi wstemplowano do paszportu odnośną uwagę: na drugi raz wsadzą po prostu do pierwszego samolotu opuszczającego Arabię. Gdyby był tubylcem, poszedłby do więzienia. Znaleziony w innym bagażu *Playboy* wędruje do specjalnej maszyny i ulega bezlitosnemu zmieleniu. Właściciel otrzymuje odpowiedni stempel: miecz Demoklesa. Ja nie miałem przy sobie nic zakazanego — byłem ostrzeżony. Ale nie kontrolowano mnie. Widocznie świstek z ambasady saudyjskiej w Paryżu zapewnił mi jakieś przywileje.

Przy wyjściu czekał na mnie Marco Tossi z chevroletem, którego klimatyzacja pracowała na maksimum. Pojechaliśmy do rezydencjalnej części miasta, gdzie naprzeciw meczetu Salah Kh'bar mieściła się willa przeznaczona na naszą bazę

zaplecwową. Tu rządził Tossi. Robił zakupy dla zgrupowania, przesyłał pocztę, załatwiał sprawy administracyjne i bankowe. Mieszkali tutaj członkowie grupy przejeżdżający przez Dżiddę — urlopy, powroty, no i uzupełnienia stanu. Takim uzupełnieniem byłem teraz ja. Miałem pozostać w Dżidda kilka dni w oczekiwaniu na transport na pogranicze Jemenu. Postanowiłem zwiedzić miasto i zacząć poznawać świat arabski. Do dyspozycji miałem drugiego chevroleta, ale lubiłem włóczyć się pieszo, mimo upału.

Był to okres „Wielkiego Hadżdżu”, kiedy to ruch na lotnisku w Dżidda osiąga szczyty znane tylko największym lotniskom amerykańskim, a w porcie tysiące pielgrzymów opuszczają czarterowane statki pod wszystkimi banderami świata. Setki tysięcy ludzi ciągną do odległej o trzydzieści kilometrów Mekki. Afrykańscy Murzyni, ciemnoskórzy muzułmanie z Indii, Mongołowie, mieszkańcy wysp Pacyfiku. Przeważającą biel odzienia urozmaica pstrokatość turbanów i nakryć głowy. Ogromny, złożony tylko z mężczyzn tłum ciągnie do Mekki, zmieniając asfaltową szosę w żywy strumień ludzki. Rozstawione wzdłuż szosy stoły ofiarują pielgrzymom bezpłatnie skromny posiłek i chłodną wodę. To kupcy miasta Dżidda wykonują tradycyjny gest gościnności wobec pielgrzymów.

Ale nie tylko w okresie hadżu Dżidda oddycha islamem. W Arabii Saudyjskiej prawo Koranu jest prawem państwowym. Odbija się to nie tylko na surowym zakazie spożywania alkoholu. Za kradzież grozi obcięcie ręki. Brzmi to okrutnie, ale skutki są nadzwyczajne. Na wielkim targowisku w Dżidda w nieprawdopodobnym ścisku i zgietku nie ma zupełnie złodziei. Gdy Marco Tossi zgubił tam dobrze wypchany portfel, to pobiegło za nim kilku Arabów i sprowadziło go na miejsce,

gdzie zguba leżała. Otaczała go w przyzwoitej odległości grupa gapiów. Nikt nie ośmielił się podejść do portfela, by przypadkiem go nie posądzono...

W kilka miesięcy później jadąc do Europy odwiedziłem z kolegami to targowisko, by kupić kilka pamiątek po śmiesznie niskich cenach — biżuterię, zegarki, ozdobne kindżały. Mali arabscy chłopcy pomagali nam, za grosze odnosząc nasze zakupy do samochodu. Tam po prostu wypróżniali koszyki na siedzenia. Mieniło się złoto i biżuteria. Samochód stał otwarty w cichej uliczce. Nic nie zginęło!

Również wymiana pieniędzy odbywa się w sposób przdziwny. Banki się tym nie zajmują. Za to w mieście są stragany „handlarzy pieniędzy”. Zdumiewający widok. Stragan zawalony banknotami wszystkich krajów świata. W blaszanych pudełeczkach — bilon. Nad stołem przeciągnięte sznury, na których powiewają na wietrze pliki banknotów przyćmiewane klamrami do suszenia bielizny. Handlarz odpoczywa w cieniu z dala od straganu. Klient musi go poszukać. „Proszę dwieście dolarów, tysiąc franków szwajcarskich i pięć tysięcy francuskich...” Kupiec szybko oblicza na drewnianym liczydłe lub na japońskiej maszynie do liczenia. Wymienia sumę w arabskich rialach i szybkimi ruchami kładzie przed klientem „kupione” pieniądze. On też nie boi się napadu, choć ulica pusta.

Lubiłem włączyć się po mieście wieczorami, po zachodzie słońca. W dzień koło południa, ruch w mieście zamierał i tylko pływalnie wielkich hoteli cieszyły się niezmiennym powodzeniem. Kąpałem się raz samotnie w Morzu Czerwonym, dziwiąc się, że na ogromnych plażach nie ma żywego ducha. Zrozumiałem szybko. Nagrzana woda morska nie przyniosła mi

żadnej ochłody, a wysychając błyskawicznie pozostawiała na skórze nieprzyjemny, piekący osad soli. W dodatku, jak się później dowiedziałem od tubylców, wody przybrzeżne Arabii są często odwiedzane przez rekiny... W pływalniach — tłum cudzoziemców. Arabów mało, a ci, których się widzi, są na ogół spoza Arabii Saudyjskiej.

Miasto budzi się po zmierzchu. Rozliczne sklepy otwierają swe podwoje, a strategicznie rozstawione kioski z sokami owocowymi i wspaniałymi *milk shakes* pozwalają poruszać się bez obawy, że umrze się z pragnienia. Alkoholu oczywiście nie uświadczysz nigdzie, a bezalkoholowe piwo holenderskie ma smak mydła. Wielki *suk*, czyli wspomniane już wcześniej główne targowisko miasta, warte jest zwiedzenia. Typowy wschodni bazar. Olśniewa bogactwo towarów rozłożonych na wielu hektarach placów i ulic starego miasta. Przewija się tu barwny tłum — tubylcy, pielgrzymi, marynarze z sąsiedniego portu, węszący za okazją. A okazji nie brak. Ceny niskie, zwłaszcza na wyroby przemysłowe. Importerzy nie płacą cła, toteż zegarki, radia a nawet samochody są tańsze niż w kraju producenta, niż w strefach wolnych od cła międzynarodowych portów lotniczych czy morskich.

A *suk* lśni biżuterią, złotem. Mienia się drogie materiały, jedwabne brokaty, haftowane złotem stroje, dywany. Któż potrafi opisać różnorodność tkanin z całego świata — z Turcji, Kaszmiru, Afganistanu, Maroka, Mongolii, a nawet z Tybetu.

Dywan dla Araba — to rzecz ważna. Na dywanach się śpi i je. Dywanami zdobi się ściany. Na dywanach się modli. Nawet tu, na *suku*, na pierwsze dźwięki wołania muezzina z pobliskiego minaretu staje handel, przerywa się w pół słowa dobijanie interesu i wszyscy muzułmanie klęczą twarzami w stronę

Mekki. Patrzę na zegarek. Jest za osiemnaście siódma. Jeszcze wtedy nie rozumiałem dlaczego u Arabów urzędy otwierane są o przedziwnych, niepełnych godzinach, że modlitwy i wszystkie ważne akty życia społecznego mają miejsce na przykład za osiemnaście któraś, trzynaście po którejś lub podobnie. Dowiedziałem się znacznie później: dla Arabów godzina wschodu słońca to godzina zerowa (dwunasta); godzina pierwsza — to godzina po wschodzie słońca. I tak dalej. A ponieważ Prorok nakazał odmawiać modlitwy w pewnych odstępach czasu licząc od wschodu słońca, więc prawowierni Arabowie nastawiają zegarki w momencie wschodu słońca. Wystarczy niewielka wydma na horyzoncie, by słońce wyszło zza niej pięć minut później — nie ma więc chyba dwóch Arabów, którzy mieliby identyczny czas na swych wspaniałych, szwajcarskich lub japońskich chronometrach. Czas „państwowy”, czas radia i telewizji, wyznacza również odpowiedni duchowny na podstawie własnych obserwacji...

Tłum mrowiący się na *suku* składa się wyłącznie z mężczyzn przeważnie w białych *dżellabach*. Czarno odziane kobiety przemykają się jakby ukradkiem. Choć los ich jest bez porównania lepszy od losu czarnych kobiet w Afryce, jednakże nie mogą one brać udziału w życiu publicznym. W czarnych strojach, o zasłoniętych twarzach, ze wzrokiem spuszczonego ku ziemi, nie rozglądając się na prawo ni lewo, starają się zniknąć z oczu jak najszybciej. Mężczyźni też udają, że nie widzą gdy któraś przemyka w zasięgu spojrzenia. Widuje się je niezmiernie rzadko. Fotografowanie wzbronione.

Arabowie są na ogół niscy i — co tu mówić — chuderlawi. Jednakże obszerne, białe *dżellaby* kryją skutecznie mizerne ciała, a twarze brodatych zbójców Ali Baby nasuwają nieodparcie

na myśl *Lawrence of Arabia*. Na rękach drogie pierścienie, za pasem nieraz bogato zdobione kindżały. Beduini arabscy mają niewątpliwie swoisty, dziki wdzięk. Składa się nań wiele czynników: ich orle nosy, ciemna karnacja wysuszonej słońcem skóry, rysy rzeźbione piaskiem pustyni i — dość często — zaskakująco niebieskie oczy. Oprócz tego duża godność w ruchach i zachowaniu. I tu następuje skojarzenie ze słynnym Lawrence'em: homoseksualizm. Dziwny naprawdę to widok, gdy na ulicy idzie, trzymając się za małe paluszki i zaglądając sobie czule w oczy, dwóch brodatych zbójów z kindżałami za pasem. A tutaj widok to wcale nierzadki. Ten arabski homoseksualizm, który od dawna przyciągał tu angielskich dżentelmenów, jest uwarunkowany historycznie i społecznie. Dawniej, gdy Allah nie nauczył jeszcze niewiernych kupowania u Arabów ropy, Beduini utrzymywali się z przewozu towarów między Azją a światem zachodnim. Karawany były w drodze miesiącami, a nieraz latami. Nie było w nich kobiet i dzieci. Żony i potomstwo zostawały w osadach, jako zbędne utrudnienie w koczowniczym, ciężkim życiu. Nic więc dziwnego, że Beduini zaczęli oddawać sobie koleżeńskie usługi seksualne. Młodzi chłopcy od tego zaczynali czeladnicze życie. I tak zostało po dziś dzień, choć ciężarówka Forda już prawie wyparły wielbłądy, a karawany, mając krótszy zasięg i środek transportu znacznie szybszy, rzadko są w drodze ponad dwa tygodnie. Uświęcony wiekami zwyczaj przetrwał i nie gorszy tu nikogo: *Honni soit qui mal y pense*¹.

Niebo nad pustynią skrzyło się mnóstwem gwiazd. Trzecia nad ranem. Temperatura spadła do 16 stopni Celsjusza, co w porównaniu z piekielnym żarem zalewającym pustynię z ciągu

dnia — było prawie przymrozkiem. Byłem w Wadi Szejsz. Powietrze na pustyni jest tak przejrzyste i suche, że atmosfera nie zasłania nieba. Gwiazdy są niezwykle jasne i widzi się ich bez porównania więcej. Świecą mocno i wcale nie „mrugają”. Widać tu już gwiazdozbiory Południa. Obce to niebo dla Europejczyka. Ale jakież piękne! Niebo Proroka...

Wczoraj samolot pasażerski przywiózł mnie z Dżidda do Nadż'ran, ogromnej oazy na południu Arabii. Na lotnisku czekał na mnie mój stary przyjaciel, Georges². Przywiózł mnie jeepem do wąwozu, w którego grotach kwaterowała grupa. Przez pięć lat gościli tu europejscy doradcy wojskowi w służbie imama Jemenu, a właściwie jego bratanka, księcia Mohameda ben Husseina, który w zastępstwie stryja dowodził całością sił *malakhi*.

Gdy przybyłem do wąwozu — wstrząs. Na stosie polewanym obficie ropą napędową palono zwłoki dwóch brytyjskich obserwatorów, którzy zginęli od kul sowieckiego Miga. Palono ich zwłoki, by odesłać prochy rodzinie. Transport z miejsca śmierci do „wąwozu najemników” trwał zbyt długo i stan trupów nie pozwalał na przesłanie ich do Wielkiej Brytanii.

Trupi zapach zatruł mi na zawsze wspomnienia z pierwszego dnia pobytu. Sam wąwóz urządzony był możliwie komfortowo. Dieslowski generator elektryczny zapewniał prąd, a co za tym idzie chłodne napoje w lodówce. Strumyk — *wadi*³, uchwycony w rynnę przed wsiąknięciem w piach, dawał nie tylko wodę do picia, ale wypełniał zmyślnie ocementowany skalny załom, tworząc miniaturowy basen pływacki.

Wejścia do grot przysłonięte siatką kamuflażową i groźne sylwetki karabinów maszynowych przypominały jednak, że to nie obóz wczasowy. Byłem znów żołnierzem. Paryż i jego mgły

zniknęły z mojej pamięci. Liczyło się tylko jutro. W głębi groty spał mój najlepszy druh — Georges. Noc wymiotła z Wadi Szejsz trupi jad. Powietrze znów było czyste.

Nie mogłem spać: byłem zbyt szczęśliwy.

-
1. „Hańba temu, kto źle o tym myśli” — dewiza angielskiego Orderu Podwiązki.
 2. Georges, mój serdeczny przyjaciel, zginął w Jemenie dwa lata później. Dzielny żołnierz, niezłomny antykomunista i wspaniały człowiek.
 3. *Wadi* — zasadniczo koryto rzeki, wąwóz; (*El wed* — rzeka); na dnie *wadi* płynie woda i wsiąka błyskawicznie w piach pustyni. Jedynie w czasie padających raz na parę lat deszczów wąwóz wypełnia się wodą i rzeka wpływa w głąb pustyni. Pustynia wówczas zielenieje, a miotane wiatrem „róże jerychońskie” zapuszczają korzenie i kwitną przez parę dni. Potem wszystko wysycha i tylko w głębi *wadi* sączy się z gór cieniutka struga wody.



Emir Mohammed ben Hussein, następca tronu, bratanek imama i głównodowodzący rojalistów.

TROGLODYCI I BEDUINI

Jeep był pomalowany na kolor ochronny, kolor piasku pustyni. Z trudem i trzęsąc okropnie jechał wzdłuż „wąwozu najemników” Wadi Szejsz. Po dwudziestu minutach kaleczenia opon na zawalających wąwóz kamieniach wydostał się na pustynię. Georges dodał gazu. Do Nadżran mieliśmy prawie godzinę drogi przez całkowite pustkowienie. Po kilkuset metrach zniknęły ostatnie ślady wysuszonej do cna roślinności. Żółty, mialki piach odbijał promienie słońca. Powietrze drżało od gorąca. Za jeepem unosiły się tumany kurzu. Codzienne wycieczki do Nadżran były naszą jedyną rozrywką. W Wadi Szejsz dnie upływały na szkoleniu własnym i Jemeńczyków. Wypełniały czas także kąpiele w basenie, lektura i słuchanie radia. No i wieczne czyszczenie broni, gdy wiał wiatr od pustyni i niósł chmury piasku zmielonego na mąkę milionami lat erozji. Piach był tak mialki, że wciskał się wszędzie. Tylko zegarki w pełni wodoszczelne zdawały egzamin na pustyni. Najszczelniejsze pokrowce nie chroniły broni. Najszczelniejsze okulary nie chroniły oczu.

Georges prowadził szybko; był to jedyny sposób, by nie ugrzęznąć. Gorący pęd powietrza suszył mi wargi. W zębach zgrzytał piach. Piach smagał mi twarz tysiącami drobnych ukłuć. Piach osiadał w kącikach załzawionych oczu chronionych motocyklowymi okularami.

Po pewnym czasie odetchnąłem z ulgą. Samochód wydo-
stał się na asfaltowy odcinek drogi. Jeszcze kilka wydm zasła-
niało nam widok. Za nimi rozciągał się Nadżran. Miasto-oaza.
Jedyna wyspa zieloności w promieniu setek kilometrów. Małe
domki ulepione z *czafru*, czyli ze zmieszanej z wielbłądzim łaj-
nem gliny, ciągnęły się wzdłuż kilku osi: szlaków karawan
wiodących przez pustynię.

W miarę zbliżania się do centrum coraz więcej roślinności:
w centrum była woda. Niewielki stawek i kilka studni. Ale sta-
wek nie wysychał nigdy, zasilany podziemną rzeką, w którą łą-
czyły się wsiąkające w pustynię strumyki górskie. Nadżran le-
żał w dolinie. Tu podziemne zasoby wody były najbliżej po-
wierzchni: wystarczyło pokopać. W stawku poiono wielbłądy.
Ze studni ciągnięto wodę do picia. Dwa wielbłądy krążyły w
kółko po wydeptanej latami ścieżce poruszając skrzypiący i ję-
czący kierat. Prymitywny mechanizm zanurzał skórzane wia-
dra w stawku, czerpał zeń wodę i wlewał ją do kanałów iryga-
cyjnych, których sieć pokrywała oazę. Woda płynęła kanałami i
wsiąkała w piach: w promieniu kilkuset metrów rosły palmy i
zieleńiły się ogrody. Coraz bledsze i bardziej zakurzone — im
dalej od źródła. Potem już tylko pustynia...

W centrum duży, ruchliwy plac. Sklepiki i „knajpy”, w któ-
rych można było dostać Coca-Colę, bezalkoholowe piwo o
smaku mydła i herbatę w nigdy nie mytych, maleńkich filiżan-
kach, które przez lata używania nabrały koloru podawanego w
nich *cza’aju*. *Cza’aj*, czyli gorąca, słodka herbata — to napój na-
rodowy Arabów. To nie tylko zresztą napój, ale również sym-
bol pokoju, przyjaźni i gościnności, równoznacznik *kalumetu*,
indiańskiej fajki pokoju.

Przy wschodniej części placu — mały meczet wskazywał

drogę do raju wysmukłym minaretem. Po prawej dziesiątki wielbłądów odpoczywały w mizernym cieniu palm, przeżuwając suche i kolczaste badyle, którymi je raczono. Z beduińskich namiotów rozbitych opodal ciągnął zapach kadzidła, *cza'aju* i gotowanej baraniny. W kilku małych ogniskach płonął suszony wielbłądzi nawóz. Jękliwe dźwięki arabskiej muzyki płynęły z tranzystorowych odbiorników i kasetowych magnetofonów zagłuszane porykiwaniem wielbłądów. Jedynie gdy z minaretu rozlegał się płaczliwy głos muezzina, cichły tranzystory i gwar targowiska. Tłum na klęczkach bił pokłony w stronę Mekki i tylko wielbłądy nie przerywały swych świętokradczych ryków.

Po lewej stronie placu kilkadziesiąt barwnie pomalowanych i ozdobionych potężnych ciężarówek Forda zajmowało teren przeznaczony na karawany zmotoryzowane, które wypierają stopniowo wielbłądzą tradycję pustyni.

Środek placu — to *suk*, czyli targowisko. W Nadżran jest ono mniej barwne, niż *suk* w bogatym mieście portowym Dżidda. Ale leżący na pograniczu z Jemenem Nadżran miał na targowisku stragany z bronią. Stragany — to za wiele powiedziane. Arabowie handlują w kucki na płachtach i dywanach rozpostartych na gołej ziemi. Konserwy ze wszystkich krajów świata, herbata i zioła, kadzidła i tkaniny. Prymusy spirytusowe, baterijki do lamp i tranzystorów, zegarki i biżuteria. Pieniądze: bogaty „bankier” wymienia saudyjskie riale na złote gwineje z głową brytyjskiego króla Jerzego V i na talary austriackie z popiersiem Marii Teresy, specjalnie dla Beduinów tłoczone w Bejrucie na wiedeńskiej licencji. Talary Marii Teresy to obiegowy pieniądź Beduinów. Od Zatoki Arabskiej po Morze Czerwone, od Adenu po Synaj — srebrne talary są najchę-



...piłem z nimi herbatę

niej, prócz oczywiście brytyjskich gwinei, przyjmowane przez wszystkich.

Dwanaście gwinei — kałasznikow. Sześć — porządny kolt 45M1A1. Za talara sześć sztuk amunicji do kolta, dziesięć do kałasznikowa. Przed handlarzem, na rozesłanej płachcie, dwanaście pistoletów: wspomniany kolt, niemieckie parabelum, belgijski piętnastrostrzałowy GP 9 mm, hiszpańskie astry, sowieckie tokarewy i nagany. Piramidki usypane z nabojów. Rusznica turecka z 1880 roku, austriacki mannlicher. Trzy granaty obronne: dwa z rączką, z Wehrmachtu. Jeden jajowaty — brytyjski.

Georges pyta o cenę parabellum:

— *Ada kam fluz?* (Ile to pieniędzy?)

— *Rhamsa mia riali* (pięćset riali) — pada odpowiedź.

Georges stary bywalec, odłożył broń i kiwnął na mnie.



Dwanaście gwinei — kałasznikow

Przy straganie obok rozłożone dywany, kilka ławek. To „knajpa”. Georges zamówił herbatę. Słodki *cza’aj* rzeźwił, gasił pragnienie. Nie upłynął kwadrans, a handlarz bronią był przy nas.

— *Harba mia u rhamsain riali.* (Czterysta pięćdziesiąt.)

Georges machnął ręką, że za drogo i zrobił do mnie minę na temat: „Nie ma co rozmawiać z tym durniem”

— *Kam?* (Ile?) — zapytał handlarz.

— Dwieście — rzekł Georges.

Handlarz zrobił minę przerażoną, jakby zobaczył wariata.

— Czterysta!

— Dwieście pięćdziesiąt!

— Trzysta pięćdziesiąt!

Georges kupił parabelum za trzysta dwadzieścia pięć riali. Przepiliśmy targ herbatą. Na pistolecie wytłoczona hitlerowska gapa. Rok produkcji 1912. Gdyby mógł nam opowiedzieć swoją historię... Osiem złotych gwinei zmieniło właściciela. Handlarz dorzucił garść amunicji dla równego rachunku.

Żyliśmy w naturalnych grotach. Granica Arabii Saudyjskiej i Jemenu jest płynna, zwyczajowa raczej. Przebiega w niskich, starych górach, pełnych załomów i grot. Głębokie wąwozy, wadi, upodobniają okolicę do znanych z westernów kanionów Colorado. Groty były dla nas mieszkaniem i schronieniem. Lotnictwo egipsko-sowieckie „nawiedzało” nas od czasu do czasu. Płynność granicy stanowiła doskonały pretekst do jej naruszania, nawet gdyby komuniści potrzebowali pretekstów... Toteż nasz sprzęt, jeśli nie mieścił się w grotach — był starannie kamuflowany ochronną siatką.

Egipcjanie zaczęli wycofywać się z Jemenu. Dla nas stanowiło to okazję do przejęcia inicjatywy. Lada dzień mieliśmy się

przekraść do centrum Jemenu, w góry otaczające stolicę San'a, gdzie ciągle walczyły zachowujące wierność imamowi plemiona Hadyszydów i Beni Matar. Na razie szkoliliśmy Jemeńczyków. W używaniu broni, w czytaniu cyfr. Nasze cyfry, choć zwane arabskimi, bardzo się od arabskich różnią. A że figurują na celownikach wszelkiej broni oraz na skalach radioaparatów i w tabelach strzelniczych, więc ich znajomość jest dla żołnierzy, a zwłaszcza dla dowódców, wprost niezbędna. Jemeńczycy strzelają dobrze z broni ręcznej: ćwiczą się od dziecka. Ale broń przeciwpancerna wymaga szkolenia, choć i to pojmują łatwo. Najgorzej z bronią stromotorową. Zależność donośności od kąta podniesienia lufy, a zwłaszcza skracania ognia przez większe podniesienie — to z trudem docierało do ludzi przyzwyczajonych do strzelania ogniem bezpośrednim.

My szkoliliśmy się również. Podstawy języka arabskiego, radiokomunikacja, szyfry. No i móździerz, hotchkiss 120 mm. Ciężki móździerz produkcji francuskiej, ówczesny cud techniki. Jest nim zresztą do dzisiaj po dwudziestu niemal latach. Rewelacyjny ten móździerz miał zasięg 13 kilometrów, podczas gdy zasięg jego amerykańskiego czy sowieckiego odpowiednika nie przekraczał sześciu. Ten niezwykle zasięg był zasługą zawartej w pocisku dodatkowej rakiety napędowej, która odpalała w momencie, gdy pocisk w swym apogeum balistycznym nabierał pochylenia 45 stopni. Toteż zasięg maksymalny hotchkissa uzyskiwało się poprzez podniesienie lufy, wynikające z bardzo skomplikowanych tabel logarytmicznych. Jego celność była niezwykła, promień rażenia również. Istne cacko! Ale wymagające dobrej obsługi.

Tak płynęły dni. Szkolenie. Gra w szachy. Czyszczenie broni. Intensywne treningi w łażeniu z plecakami po górach i ska-

łach. I nocne rozmowy: wspomnienia o zapomnianych wojnach, o niezapomnianych kobietach. Prawdziwe i zmyślane przygody cudze i własne. No i filozofia życia:

— Georges, co byś wolał stracić na wojnie — męskość czy wzrok? — pyta głos w ciemności groty.

Chwila ciszy, pytanie wymaga głębszego zastanowienia.

— Z dwojga złego wolałbym już dupczyć po omacku! — brzmi stanowcza odpowiedź Georges, znanego pożeracza niewieścich serc, który cierpiał szczególne męki w jemeńskim „bezbabiu”. Bo mimo całej życzliwości do nas i całego szacunku, żaden Arab nie ścierpiałby, by jakiś niewierny *nasrani*¹ dotknął muzułmańskiej kobiety. Ostrzeżono nas, że nawet ręka imama nie wybawiłaby *nasraniego* od śmierci. Georges pocieszał się, że niektórzy rycerze krzyżowi również składali śluby czystości na czas krucjaty... Żeby nie zapomnieć jak wygląda kobieta. Wzorem amerykańskich G.I. z okresu drugiej wojny światowej — wróciliśmy do mody *pin-ups*.

Oswojone, radosne koźle zwane Comberkiem, które włóczyło się za nami wszędzie, było przedmiotem częstych żartów „góralskiego” typu.

W Nadżranie obserwujemy przygotowania do przyjazdu królewskiego księcia Chaleda, biznesmana i szarej eminencji. Chaled ma przybyć na manewry „białej armii”, beduińskiej gwardii pretoriańskiej króla Arabii Saudyjskiej. „Biała armia”, świetnie wyposażona i wyszkolona była ostoją monarchii. Służyli w niej wyłącznie Beduini z plemienia królewskiego. Na manewry byliśmy zaproszeni jako obserwatorzy i goście emira. W związku z jego przyjazdem przedłużono bieżnię lotniska i wyasfaltowano drogę do Nadżran. Na granicy „miasta” postawiono namiot z tysiąca i jednej nocy. Wielkości namiotu



W grocie na pograniczu Arabii Saudyjskiej



Okres oczekiwania i ćwiczeń



Jedna z letnich rezydencji imama

cyrkowego, wyłożony drogimi tkaninami, wymoszczony dywanami i poduszkami, mógł pomieścić dwór książęcy: dwieście osób! W przeddzień przybycia Chaleda wylądował na nowej bieżni transportowiec — przywiózł służbę i książęcego Rolls Royce'a. Połączone zderzaki i chłodnica lśniły w słońcu. Biały samochód miał siedzenia wykładane skórą lampartów i deskę rozdzielczą z mahoniowego drzewa. Lodówka, bar, telewizor. Zapalniczka ozdobiona brylantem wielkości orzecha.

Chaled przybył nazajutrz prywatnym *jetem*. Przejechał swym rollsem pięćset metrów dzielących lotnisko od namiotu. Po południu zasiadł na sutych poduchach. Manewry były niezwykle widowiskowe: po pustyni śmigały samochody i różne pojazdy pancerne wznosząc obłoki kurzu, kropiły z rakiet i dział. Beduini są mistrzami karkołomnej jazdy terenowej. Wszystkim się bardzo podobało. Nam najbardziej. A gdy emir powiedział, że już w tym tygodniu dostaniemy brakującą nam resztę sprzętu i ruszymy do Jemenu — radość nasza była całkowita.

Po skończonych „manewrach”, a właściwie po widowisku urządzonym dla uciechy potężnego księcia, emir Chaled rzucił kilka garści złotych monet oficerom „białej armii”. Następnie wsiadł do rollsa i wrócił do samolotu wzdłuż szpaleru wiwatujących ludzi. Wiwatujących tym bardziej, że intendent emira również rzucał w tłum monety, tyle że srebrne. Tęgawa sylwetka księcia zniknęła w chłodnym wnętrzu luksusowego samolotu. Za chwilę *jet* wzniósł się i zniknął w blasku zachodzącego słońca. W chwilę później wylądował transportowiec, na który ostrożnie załadowano rollsa. Służba emira upchała się jak mogła. Nam wręczono koperty: wewnątrz kolorowa fotografia księcia i czek na 500 dolarów.

Wiedzieliśmy, że nasz pobyt w Arabii kończy się, że znacznie się nareszcie „Wielka Przygoda”. Nazajutrz zaczęliśmy przygotowania, w Wadi Szejsz zawrzało...

Jemen składa się z czterech regionów geograficznych: pierwszy to Tihama, wąska dolina o parnym, niezdrowym klimacie ciągnąca się wzdłuż Morza Czerwonego, ograniczona na wschodzie górami Jemenu Średniego. Główne miasto to Al-Hudaja, jedyny port Jemenu (w czasie opisywanych wypadków rozbudowująca się sowiecka baza morska na Morzu Czerwonym). Pasma gór niskich, ciągnące się wzdłuż Tihamy, to Jemen Średni. W północnej części Jemenu Średniego klimat jest suchy. Kraj to zupełnie dziki, zamieszkały przez beduińskie plemiona rozbójnicze, pilnujące nielicznych źródeł i żyjące z haraczu, płaconego im przez karawany kursujące między Jemenem a Arabią Saudyjską. Tylko nieliczne miasta-oazy jak Sa'ada i Khamer zamieszkałe są przez ludność jemeńską.

Południowa część Jemenu Środkowego jest zupełnie inna: w szerokich dolinach klimat jest gorący, lecz złagodzony; dominuje tu zieleń. Zaludnienie większe, ludność bogatsza. Gęste wsie położone są na łagodnych stokach wzgórz. Liczne strumienie zapewniają wilgotność potrzebną do uprawy roli. Tarasy pól! Plantacje słynnej jemeńskiej kawy, której nazwa pochodzi od miasta Al Mocca. Inne miasto Jemenu Środkowego to Zebid, szczycący się letnią rezydencją imama, oraz Taiz, walczący od wieków o godność stolicy kraju z San'a, leżącą na wielkim płaskowyżu jemeńskim, oddzielony od reszty kraju pasmem wysokich gór (3.750 m). Klimat tu ostry, górski. Dnie upalne, noce zimne. Okresy deszczowe na przemian z posuchą. Ludność trudni się głównie pasterstwem. Barany i wiel-

błądy likwidują dokumentnie każdą plamkę zieleni w żółto-szarym pejzażu. Ogromna równina, ciągnąca się środkiem Jemenu na wysokości ponad dwu tysięcy metrów, wciska się kotlinami między sterczące nad jej poziomem góry. Tu traci się pojęcie wysokości. „Dóf”, na którym się żyje, gdzie się chodzi i jeździ, to dwa kilometry nad poziomem morza. A wysokie w skali bezwzględnej góry, które sterczą nad równiną, wydają się niskie. Góry, często o płaskich wierzchołkach, podmyte erozją tak, że wydają się szersze u szczytu niż u podstawy, wyrastają z równin wąwozów. Kraj dziki i piękny.

W takim to właśnie miejscu leży stolica San'a. Otoczone murem miasto na rozległej równinie. Ponoć 100 tysięcy mieszkańców. Sto minaretów. Starożytny pałac imama i nowo zbudowany Dom Jemeńskiego Ludu: siedziba rządu i partii. Nad miastem wznoszą się od wschodu góry zamieszkałe przez wierne wówczas imamowi plemiona Beni Matar (Dzieci Deszczu). Od zachodniej strony na straży stolicy sterczy wierzchołek Nogum. Fort turecki na jego płaskim szczycie panuje nad całą okolicą. Dżebel el Nogum, obsadzony przez sowiecko-jemeńskich artylerzystów, dał się nam później we znaki, jako punkt obserwacyjny o ogromnym zasięgu.

Na wschód od San'a płaskowyż opada łagodnie, niemal niepostrzeżenie. Klimat staje się bardziej suchy i gorący. Wreszcie, stopniowo, skalisty płaskowyż przechodzi w pustynię. Na niewyraźnym pograniczu tych dwóch obszarów leży święte miasto jemeńskie, starożytny Mar'ib, niegdyś stolica biblijnego królestwa Saby. Leżąca dziś w ruinie zapora wodna zbierała wodę z górskich strumieni, a przemysłne kanały pozwalały na nawodnienie całej krainy, zamieniając ją w jeden wielki ogród Arabii Szczęśliwej. Nieliczni archeolodzy, któ-

rzy tu dotarli, stwierdzili, że dzisiejszy Mar'ib to już piąte z kolei miasto zbudowane na ruinach swych poprzedników. Na wschód od Mar'ib rozciąga się wielka pustynia arabska (Dżuf el-Kebir), zwana inaczej Rub al-Chali.

W tym to kraju miałem spędzić przeszło dwa i pół roku, przemierzać go samochodem, na grzbiecie wielbłąda... A ludność? Serdeczna, gościnna, biedna i niesłychanie brudna. Brak wody rodzi złe nawyki, które nie mijają nawet tam, gdzie wody jest pod dostatkiem. Naród dumny, wolny. Ustrój i stosunki społeczne dziś już zupełnie zmienione, wówczas — pod koniec lat sześćdziesiątych — jako żywo na myśl przywodziły Polskę piastowską z opisów Grabskiego czy Jasienicy. Szejkowie rodowi, kontrolowani przez szejków królewskich — urzędników administracji imama. Imam, lub książęta z jego rodziny (emirowie) krążyli po kraju „oddając sprawiedliwość”. Każdy najbardziej nędzny Jemeńczyk, mógł się odwołać do imama lub jego przedstawiciela. A nagrody i kary były natychmiastowe: garść złota z kufra książęcego lub chłosta na placu publicznym. Władza szejków rodowych była wielka, ograniczona jedynie lennym niejako stosunkiem do imama. Ale imamowie zachowali dwa przywileje do końca monarchii: oddawanie sprawiedliwości i ściąganie podatków. Plemiona prowadziły ze sobą spory, nieraz krwawe, imam stawał się wówczas rozjemcą.

Ale wolność Jemeńczyków była zawsze wolnością ludzi zbrojnych. Od wczesnej młodości każdy Jemeńczyk jest uzbrojony. Krzywy kindżał, tak zwana *dżambia* jest symbolem zarówno stanu wolnego jak i męskości. Toteż najbiedniejszy ośmioletni pastuszek jemeński za pierwsze grosze kupuje so-



Džambia to symbol...

bie skórzaną pochwę do dżambii, którą nosi na początku pu-
stą. Następnie zbiera na ostrze, które musi być z tureckiej stali,
oraz na rękojeść, najpierw drewnianą, którą jak najszybciej wy-
mienia na rogową. Później w miarę dorabiania się zyskania
pozycji w hierarchii społecznej Jemeńczyk zdobi pochwę i rę-
kojeść *dżambii* srebrem, złotem i klejnotami.

Ale *dżambia* to tylko symbol, chociaż zdarzają się pojedynki
na dżambie. Każdy Jemeńczyk posiada broń palną. Może to
być stara turecka rusznica lub niemiecki mauzer z czasów woj-
ny światowej. Ale może to również być — szczyt szczytów w
owych czasach — sowiecki szturmowy kałasznikow. Niemniej
i tu, na tym szczycie, są równiejsi między równymi. Kałaszni-
kowy książąt bywają poślacane, o kolbach inkrustowanych ko-
ścią słoniową i drogimi kamieniami. To powszechne uzbroje-
nie obywateli stanowiło tu zawsze zaporę przeciw totalitary-
zmom. Zarówno władza królewska, jak później czerwona, nie
były wszechmocne. Przeciwwagą dla wszelkich zakusów było
zbrojne społeczeństwo. Do dziś — poza miastami w górach —
Jemeńczycy nie pozwolili się rozbroić. I dlatego zakusy rewo-
lucjonistów nie dały tu nigdy wyników. Jakby w tym kraju
sprawdziły się przewidywania ojców amerykańskiej konstytu-
cji, gwarantujące obywatelom wolność posiadania broni...

— *Excuse me, sir*, jak pan sądzi, ile może być stopni ciepła?
— spytałem uprzejmie, ocierając spocone czoło.

Pustynia falowała od rozgrzanego powietrza. Piasek parzył
przez buty, żar lał się z nieba. Korzystając z krótkiego postoju,
przelewałem gumową rurką benzynę z beczki umieszczonej na
jednej z ciężarówek naszej kolumny, do zbiornika mojego
jeepa. Na pustyni nie wolno się zatrzymywać pod groźbą

ugrzęźnięcia. Tylko stare wygi, nasi beduińscy przewodnicy, znali miejsca, gdzie twardość podłoża gwarantowała możliwość natychmiastowego ruszenia w dalszą drogę bez mozolnego wygrzebywania się z piachu. Toteż na każdym postoju uzupełnialiśmy zbiorniki po brzegi... na wszelki wypadek.

Billy, czyli sir William McLean M.P.², pułkownik Jej Królewskiej Mości królowej brytyjskiej, spojrzał na mnie, odjął od ust *dżerbę*³ z wodą i otarł usta rękawem, gestem iście arabskim.

— *Hundred to sixty* — odpowiedział uśmiechając się radośnie.

Ten olbrzym, szkocki arystokrata przebrany za Araba, był obserwatorem wydarzeń na Półwyspie Arabskim z ramienia konserwatywnego „gabinetu cieni”. Włączył się przebrany za Araba po wszystkich zakamarkach Bliskiego Wschodu gdziekolwiek się coś działo. Teraz jechał w naszej kolumnie, gdyż właśnie tu zaczęło się coś dziać. Jechaliśmy, by wziąć udział w zorganizowaniu walk w Jemenie.

„Sto do sześćdziesięciu” — zdziwiłem się w myśli — co on, do diabła, chciał przez to powiedzieć? Angielskiego humoru pułkownika baliśmy się wszyscy, mimo że to nie my od niego, ale on od nas zależał, podróżując w naszej kolumnie.

— *I beg your pardon, sir?* — wyjąkałem, wyjmując rurę ze zbiornika. W ustach miałem obrzydliwy smak benzyny: na początek przelewania musiałem „zassać”. Teraz paliło mnie gardło. Byłem wściekły. Pułkownik rozjaśnił twarz, jak zawsze gdy udało mu się zakpić z kogoś.

— To proste: jest sześćdziesiąt stopni w cieniu, ale co najmniej sto kilometrów do najbliższego cienia.

Zrobiło mi się jeszcze cieplej. Łyknałem trochę wody z *dżerby* i zapaliłem papierosa. „Nasi” Beduini odprowadzali swe

jękliwe modły kucając zwróciwszy twarze w kierunku Mekki, kiwali się rytmicznie.

Jechaliśmy kolumną ciężarówek przez Dżuf el-Ketir⁴. Kierunek południe. Za nami zostały groty w pogranicznych górach. Byliśmy w Jemenie. Ale tak naprawdę to pustynia była niczyja. Niczyja? Za właścicieli uważały się beduińskie plemiona koczownicze Daham i Zahid. Dahamowie i Zahidzi żyli z haraczu płaconego przez karawany wędrujące „ich” pustynią. A ponieważ trzymali w swych rękach nieliczne punkty Małej Pustyni, gdzie była woda — a w dodatku byli świetnie uzbrojeni — więc haracz płacili wszyscy z wyjątkiem króla Arabii Saudyjskiej jako Wodza Wiernych i imama Jemenu, jako Potomka Proroka, no i oczywiście pielgrzymów dążących do Mekki...

Jechaliśmy przez terytorium Dahamów, René, nasz szef, zarządził ostre pogotowie. Opłatę za nasz przejazd co prawda uiszczono, ale nigdy nie wiadomo. Rok później mogłem się przekonać, że taka ostrożność nie była zbyteczna. Na razie rozglądałem się ciekawie.

Przed nami pustynia aż po horyzont. Piasek różowawy, szklący się w słońcu. Już mnie nie dziwią miraż: kłamliwy splendor jezior zachęcających do chłodnej kąpieli. Z prawej, daleko na horyzoncie, pasmo niskich gór udawało deszczową chmurę na bezchmurnym niebie. Tak pędziliśmy obok siebie: cztery jeepy i dwanaście obładowanych ciężarówek. Obok siebie, a nie jedni za drugimi, by nie sypać sobie w oczy piachu, którego chmurę podnosił za sobą każdy samochód. Świst wiatru w uszach i płomień gorącego powietrza na spalonych słońcem policzkach. Nieprawdopodobne skoki samochodów po wydmach, byle dalej, byle szybciej, byle nie zwolnić, nie dać



Na pustyni

się wciągnąć w syпки uciekający na boki piasek...

Postój kończył się: już Beduini zwijali modlitewne dywanki. René dawał niecierpliwe znaki klaksonem. Po paru minutach tyraliera samochodów ruszyła znów przez pustynię. Na prawym i lewym skrzydle beduińscy przewodnicy na swych szatańskich piętnastotonowych fordach nadawali piekielne tempo karawanie. Nasze wozy, choć tak zwane terenowe, z trudem wytrzymywały konkurencję beduińskich jaskrawo pomalowanych ciężarówek.

I tak, oszołomieni, pijani wiatrem, ogłuszeni rykiem silników pędziliśmy oszalałą kawalkadą do następnego miejsca postoju. Od czasu do czasu ktoś z nas zarywał wóz w jakąś wydnię. Wówczas kolumna pędziła dalej, aż do najbliższego twardego miejsca i tam czekano na nieszczęśnika, zdanego na łopaty, blachy podkładowe i na własne tylko siły. „Sześćdziesiąt stopni w cieniu”. Niech diabli wezmą angielski humor!

Kiedy wydawało mi się, że nie mam już ani jednej całej kości, gdy twarz miałem pokrytą centymetrem piachu zmieszanego z potem i zastygłego w piekącą skorupę — nowy postój. Tym razem René zarządził nocleg. Siatka ochronna na samochody. Kamuflaż przeciwlotniczy. Tu na pustyni jeden sowiecki Mig mógł nas zlikwidować do ostatniego: kto przeżyłby atak — umarłby z pragnienia. A Migi najczęściej latały o świcie. Na razie był wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale od wściekle nagrzanego piachu bił żar. Małe ogniki benzynowych palników: gotujemy kolację. Konserwy i *cza'aj*.

Oprócz rudego pułkownika miałem w moim jeepie drugiego pasażera. Był nim inny Brytyjczyk — pisarz i dziennikarz Wilfried Thessiger. Tak jak rudy pułkownik był potężny, tak Wilfried był chuchro. Jak Billy był wesoły, Thess był ponury.

Przebrany za Beduina „zlewał się” wprost z otoczeniem. Po arabsku mówił płynnie. Całe dziesięciolecie spędził na Bliskim Wschodzie, gdzie pociągało go życie nomadów i łatwość homoseksualnych stosunków. Twierdził, że dla wygody stał się muzułmaninem. Czy to prawda? Nie wiem. Ale obyczaj muzułmanów znał dobrze. Spalona słońcem twarz nie zdradzała pochodzenia.

— Lieutenant — powiedział do mnie po kolacji Billy — Thess był tu więźniem Dahamów przez dwa miesiące. Jakby go teraz złapali — to już go nie wypuszczą. A jesteśmy na ich terytorium.

Spojrzałem na mojego „angloaraba”, jak go w myślach nazywałem. Thessiger kiwał się nad filiżanką herbaty. Zrobiło się trochę chłodniej. Nie wiadomo skąd, na środku pustyni, wzięła się mucha. Jedna, druga... Kilka much bzykało raźnie nad porzuconymi puszkami od konserw. O parę kroków szelest: w blasku zmierzchającego słońca przemknął fenek, maleńki lisek pustyni. Na miły Bóg, co to zwierzątko tu robi? Z czego żyje w tym piekle? A muchy? Co tu robią muchy, o trzysta kilometrów od najbliższego osiedla, a o czterdzieści od najbliższego źródła wody, tam hen, w górach, na horyzoncie przed nami.

Thess najwyraźniej potrzebował zachęty. A ja byłem ciekawy. Owe góry na horyzoncie i jedyna studnia na setki kilometrów wokoło — to domena Dahamów. Dziś, jutro, możemy się z nimi spotkać.

— Niech pan opowie, proszę — powiedziałem przymilnie, zapalając papierosa. Było coraz przyjemniej.

— Och, to już pięć lat temu — zaczął Thess popijając herbatę. Billy wstał, przeciągnął się i odszedł w stronę małego ogniska, przy którym słychać było głośne rozmowy i wybuchy

śmiechu. To Georges snuł swe wspomnienia...

— Wracalem przez Jemen do Adenu — Thess zapalił fajkę i ciągnął dalej — gdy dotarłem z karawaną na terytorium Dahamów. Pątnicy nie płacą haraczu. Więc myślałem, że się upiecze: nie miałem już pieniędzy... Ktoś im doniósł. Oni mają szpiegów wszędzie. Łączność radiową również. Siedzimy tak jak teraz, tylko po przeciwnej stronie gór. Nagle zza wydm wynurzają się postaci. Setka zbrojnych na wielbłądach. Na sąsiedniej wydmie dwóch zaturbanionych typów montuje karabin maszynowy. Panika. Jesteśmy otoczeni. Pielgrzymi nie mają broni. Szef karawany udał się na pertraktacje. Po chwili wrócił. Twarz wykrzywiona z wściekłości. Zdrajco! — krzyczy do mnie. — Ty nie jesteś pielgrzymem. Przez ciebie to wszystko! — Po czym rzucił krótki rozkaz. Jego ludzie związali mi ręce i wraz z mym tobołkiem zostałem wydany Dahamom. Zaciągnęli mnie w góry, gdzie żyją w głębokich grotach. Obchodzili się ze mną grzecznie. Karmili, poili. Spałem na stosie skór, w grocie, w której trzymali swe zapasy: worki z ryżem, konserwy...

Po jakimś czasie, chyba po dwóch tygodniach, dowiedziałem się, że wysłali do mej rodziny, za pośrednictwem ambasady brytyjskiej, żądanie wykupu. Wycenili mnie na dziesięć tysięcy funtów. Rodzinę mam zamożną, ale już dawno zerwałem z nią stosunki. Czy zapłacą? Czy ambasada zechce negocjować w mej sprawie? Jesteśmy przecież na terytorium Jemenu. Zacząłem myśleć o ucieczce.

Na noc wiązali mnie. Ale któregoś dnia udało mi się ukraść nóż. Czekałem tylko na sposobność: to znaczy na wiadomość, że gdzieś w pobliżu będzie jakaś karawana. Możliwie duża i uzbrojona. Podśluchiwałem rozmowy Dahamów, ich

dzieci i kobiet: ogromna jemeńska karawana kupiecka rozbiła obóz. Jutro ma ruszyć w dalszą drogę. Jemeńczycy byli po wodę u Dahamów. Z ich rozmów wywnioskowałem, że biwakują stosunkowo niedaleko. Postanowiłem uciec tej nocy.

Krótko przed wschodem słońca przeciąłem sznur, którym byłem przywiązany do ciężkiej skrzyni konserw. Ostrożnie wyszedłem z groty. Szczęście mi sprzyjało: opodal pał się osiołek. Wskoczyłem nań na oklep i truchcikiem pojechałem w domniemanym kierunku biwaku. Miałem niewiele czasu. Dahamowie, gdy się spostrzegą, urządzą pościg na wielbłądach znacznie szybszych od osła. Ale może już zdążę dołączyć się do karawany. Targał mną niepokój : a co będzie jeśli karawana wyda mnie Dahamom dla świętego spokoju? Oto wschód słońca. Daleko na płaskowyżu, u stóp gór, z których wychyńałem na otwartą przestrzeń, karawana zwija biwak.

Jeszcze grupka otaczająca szefa siedzi przy ognisku i popija *cza'aj*. Zbliżam się szybko, machając ramionami. Zauważyli mnie. Zdziwieni czekają. Zeskakuję z zadyszanego osiołka i pozdrawiam ich imieniem Allaha. Użyłem specjalnej formuły, takiej, jakiej używają pielgrzymi. Szef skłonił się nisko: gość w dom... Nalano mi herbaty, wypiliśmy. A tu wrzaski. Z gór pędzą na wielbłądach moi Dahamowie. Szef, zdumiony ich pojawieniem się, wydaje rozkazy: na wszelki wypadek. Jemeńczycy wyjmują broń. Na jednej z ciężarówek odrzucone plandeki ujawniają karabin maszynowy. Z grupy Dahamów odłącza się samotna sylwetka. Turban nasadzony na lufę karabinu: poseł... Szef karawany wskakuje na wielbłąda, kopie go w szyję i wyjeżdża naprzeciw. Rozmowy, gestykulacja. Daham pokazuje na mnie. Jemeńczyk na północ, w kierunku Mekki. Jeszcze chwila i rozjeżdżają się. Jemeński szef krzyczy do swoich: „Bitwa!

Szykować się!”... Już padają strzały, świst kul. Jemeńczycy kryją się za tobołkami na ciężarówkach. Jęk rykoszetu na blasze. Dałem nura pod ciężarówkę; nade mną rozgrzechotał się karabin maszynowy Jemeńczyków. Dwóch Dahamów ryje nosem w ziemię. Ryk rannych wielbłądów. Jęk Jemeńczyka, który nieostrożnie wychylił się. Z rany w gardle tryska krew. Znów seria. Potem cisza. I widać oddalające się, malejące sylwetki jeźdźców na wielbłądach. Dahamowie schodzą z pola walki. Jemeńczyk na ciężarówce śle im w ślad długą serię. Są już daleko, ale widać jak kopią wielbłądy po szyjach i przyspieszają. Cisza.

Thess wyjął z ust wygasłą fajkę. W międzyczasie zapadła noc. Z pustyni wiał chłód. Usłyszeliśmy kroki. Wrócił Billy i przyniósł dzbanek herbaty. Zapach *cza’aju* rozszedł się wokoło, gdy nalewał w podstawione kubki. Wypiliśmy po łyku gorącego płynu. Nowy papieros. Thess przykrył ramiona kocem. Robiło się naprawdę chłodno.

— Wśród Jemeńczyków był jeden zabity, dwóch rannych. Trzy nieruchome sylwetki Dahamów i dwa trupy wielbłądzie widniały w oddali na piasku. Karawana ruszyła. Po kilku dniach byłem w Nadż-ranie. Samolot do Ruadu i koniec przygody.

— Thess — spytałem — dlaczego oni za ciebie walczyli?

— Nie walczyli za mnie — odpowiedział Thess jakimś dziwnie miękkim głosem. Walczyli o święte prawo gościnności. Pozdrowiłem ich w imię Allaha i piłem z nimi herbatę. Byłem pod ich opieką, nie mogli mnie nie bronić.

Już zapadła pełna noc. Pozbawione śladu wilgoci pustynne powietrze było tak przejrzyste, że gwiazdy wydawały się wielokrotnie większe, jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej. Nie

mrugały wcale. Przy ich zimnym świetle można było czytać nawet w bezksiężycową noc. Zaciągnąłem zamek śpiwora. W ciemności słyszałem śmiechy dobiegające od dalszych ognisk. Georges kończył swój występ...

— Wiesz, Rafał — usłyszałem cichy głos z sąsiedniego śpiwora, w którym zaledwie można było odgadnąć sylwetkę chuderlawego Brytyjczyka — jednak trzeba być *son of a bitch*, trzeba być skurwysynem, *nasrani*, by dla uniknięcia kilku miesięcy niewoli i zapłaty kilku tysięcy funtów nadużyć tak haniebnie święte prawo gościnności.

W odległych górach zamigotało światło. To Dahamowie.

-
1. *Nasrani* — to nie żadna zniewaga skatologiczna, tylko lokalna, skrótowa forma od *nazerani*. Od nazwy biblijnego miasta Nazaret, oznacza po prostu „chrześcijanin”.
 2. M.P. — *Member of Parliament* — członek brytyjskiej Izby Gmin.
 3. *Dżerba* — rodzaj manierki z jutowej tkaniny. Wilgotna z zewnątrz od przesiąkającej przez nią wody, która parując chłodzi zawartość *dżerby*. *Dżerbami* są obwieszone samochody jadące przez pustynię.
 4. Dżuf el-Ketir. Mała Pustynia w północnej części Jemenu. Nie mylić z Dżuf el-Kebir, Pustynią Wielką we wschodniej części kraju, obejmującą całą szerokość Półwyspu Arabskiego na wschód od gór Jemeńskich.

EGIPSKIE MUMIE I SOWIECKIE CZOŁGI

Ruszyliśmy przed świtem. Szybko przejechaliśmy przez teren Dahamów. W tyle zostały skaliste, niewysokie góry i znów dookoła rozpościerała się pustynia. Wschodzące słońce odkrywało przed nami przestrzeń — zdawałoby się bezkresną. Pustynia, początkowo płaska, rozkołysała się niebawem wydmami. Znów pędziliśmy szalonym tabunem w ryku mechanicznych koni. Prowadziłem jeepa „metodą beduińską”, to znaczy kręcąc kierownicą w lewo i w prawo, nieznacznie wprawdzie, ale nieustannie. Na szosie niosło by jeepa pijanym zygzakiem, ale w sypkim piachu ruch ten nie wpływał na zmianę kierunku, lecz poszerzał tor przednich kół zapobiegając ugrzęźnięciu. Tak prowadzili wszyscy, wykonując śmieszne ruchy dziecka bawiącego się w prowadzenie samochodu.

Moich dwóch angielskich pasażerów skupiało uwagę na tym, żeby nie wypaść z pojazdu, gdy jeep skakał z wydm jak narciarz ze skoczni i gdy w tumanie kurzu i stuku torturowanych amortyzatorów stykał się znów z piaszczystym podłożem. Obok mnie zaturbaniony Thess z ustami chronionymi chustką czepiał się kurczowo metalowej poręczy, która biegła od deski rozdzielczej aż do prawych drzwi jeepa. Jego opalone i pokryte czarnymi włoskami ręce były blade z wysiłku. Pod-

skakiwał przy tym wydając z siebie rytmicznie stek arabskich przekleństw. Bill jechał z tyłu. Jemu też nie udało się ocalić ni angielskiej flegmy, ni nakazującego szacunek dostojeństwa. Potężne łapy Billa trzymały się obu ścian jeppa, a sam pułkownik, kucając pośrodku powierzchni ładunkowej, próbował amortyzować wstrząsy. Wyglądał jak jeździec galopujący na istniejącym tylko w jego wyobraźni koniu.

Pustynia zmieniała kolor i kształt. Piasek stawał się coraz bardziej pomarańczowy, a wydmy drobniejsze i gęstsze przypominały sfalowane morze. Na morzu wyspa: kilka wysokich skał wystających z rumowiska kamieni. Postój. Samochody wduszone między głązy w poszukiwaniu namiastki cienia. Konserwy, *cza'aj*. Modlitwy Beduinów. Gdy zapalałem papierosa — niezapowiedziana wizyta: nad nami z hukiem przewalały się dwa Migi. Duży łuk nad pustynią i wracają. Najwyraźniej zauważyły na pustyni świeży ślad kawalkady naszych samochodów. Błyski pod skrzydłami, jazgot rykoszetów po kamieniach. To karabiny maszynowe. Cztery smugi dymu spod każdego aparatu: osiem rakiet rozwaliło się na skałach. Są ranni. Jeden z Beduinów zabity. Jeden samochód płonie. Migi odleciały. Opatrujemy rannych, na szczęście niegroźnie. Gdyby Sowietarze nadlecieli wcześniej, złapaliby nas na pustyni. Żywy nie wyszedłby wówczas chyba nikt. Migi nie wracają. Spieszno im było na obiad, albo kończyło im się paliwo. Postanowiliśmy czekać do zmierzchu. A nuż naślą na nas swych koleżków. Spalona ciężarówka wiozła jedną z naszych długodystansowych radiostacji, którą udało nam się ocalić z pożaru. Reszta — to żywność i prywatne tobołki Beduinów. Szczęście, że nie trafili w beczkę z benzyną na ciężarówce obok.

Beduini odmawiają modlitwy nad trupem. Pogrzeb na pu-

styni. My twarzą w stronę Mekki. Trup głową w tymże kierunku. Upał ciąży nad nami, oddycha się ciężko, z wysiłkiem wchłaniając powietrze, z którym żar wlewa się strugą do płuc. W skroniach tętni krew, a w uszach jeszcze echo ryku silników na pustyni i świst wiatru. Przed oczyma dopalająca się ciężarówka czarnym słupem dymu sięga wysoko nieba, jak wskazówka dla sowieckich pilotów. Rozmieszczamy samochody jeden z dala od drugiego, wciskamy je między skały. Nakrywamy siatką ochronną. Chowamy w skałach beczki z benzyną, skrzynie z amunicją. Ukrywamy zapas wody. Na wszelki wypadek. Mając wodę i radiostację — zawsze możemy doczekać się pomocy. Pot leje się strugami. Wysilek w tym klimacie jest zbrodnią przeciwko organizmowi. Poderwał się wiatr i wiruje na pustyni zasypuje nasze ślady. Dobrze!

Ktoś woła mnie po imieniu. Na zboczach skały stoi, rozebrany do pasa Georges i w uniesionych nad głowę dłoniach trzyma ogromny głaz. Wygląda jak posąg Herkulesa. Głaz jest większy od niego, przytłaczający. Miraż, fatamorgana, udar słoneczny, czy halucynacje? Georges krzyczy, bym mu zrobił zdjęcie. Spełniłem życzenie. Zresztą fotografują go wszyscy. Po długiej chwili eleganckim ruchem Georges rzuca głazem w moją stronę. Głaz upadł na skałę i odbił się!!! Georges śmieje się z naszego zdumienia. Wśród skał, najwyraźniej wulkanicznego pochodzenia, znalazł się po prostu ogromny blok lekkiego jak gąbka pumeksu. I oczywiście postanowił z nas zakpić. W wiele lat później, już po śmierci Georges'a, w jednej z paryskich knajp pewien ówczesny współtowarzysz pokazywał zdjęcie Georges'a z głazem nad głową zdumionemu barmanowi: „Popatrz, jakiego mam silnego kolegę!” A teraz Georges stoi wśród nas roześmiany i mówi, że po prostu chciał stać w

cieniu. A że cienia nie znalazł...

Cholerny Georges. Komiliton mój z Konga i bratnia dusza. Kompan walk szlachetnych w Kongo i knajpianych awantur w Bejrucie, w Stambule, w Salisbury i w Kapsztadzie. Odważny, solidny, wesoły i bardzo inteligentny. Brak wykształcenia zastąpił ogromnym odczytaniem i ciekawością. Pamiętam, jak Georges w 1968 roku, w gęsto obsadzonej czerwoną proletariacką klientelą knajpie w skomunizowanej podparyskiej miejscowości Ivry, zawołał do kelnera:

— Dwie coca-cole! — I podnosząc głos, by go wszyscy słyszeli dorzucił: — Normalnie tego świństwa nie piję, ale teraz zamawiam, by wesprzeć amerykański wysiłek w Wietnamie!

W knajpie zaległa cisza. „Czerwoni proletariusze” zamarli ze zgrozy, a później ruszyli od stolików Georges rozpiął marynarkę, jakby szykując się do bójki. Proletów wstrzymał widok tkwiącego za pasem Georges'a pistoletu. Z bronią nie rozstawał się nigdy. Płacił grzywny, stawał przed sądem i na drugi dzień znów miał pistolet za pasem.

— Niebezpieczne czasy! — tłumaczył.

Ta jego przezorność ocaliła mnie kiedyś w Stambule. Jechaliśmy z Jemenu do Europy na urlop. Georges, René i ja. Pętałem się wzdłuż bulwaru. Georges i René siedzieli przy kieliszku na tarasie pobliskiej knajpy. Nad brzegiem Bosforu banda niby-hippisów. Brudni, długowłosi, w łachmanach. Grają na gitarach i żebrzą. Podchodzi do mnie dziewczyna. Również brudna i w łachmanach. Długie, jasne włosy skołtunione i tłuste.

— *Give me some money, please.*

Tamci grają na gitarach i obserwują nas spod oka. Dziew-

czyna ma oczy podkrążone, smutne, lecz uśmiecha się zalotnie.

— Masz parę dolarów? — pyta. — Tu za murem jest trawnik...

Dałem jej kilka dolarów. Spojrzenia „hippisów” stały się mniej natarczywe.

— Co ty tu robisz? — zapytałem.

Odpowiedziała mi, że wracają z Katmandu. Że żebrzą po drodze, by mieć na podróż, na utrzymanie. Żebrzą? Wiedziałem, że te bandy prostytutki swe dziewczyny i kradną, i że to stanowi większość ich dochodów.

— Chodź ze mną — powiedziałem.

Pieniądzy dla nich ci nie dam, ale za bilet do Europy zapłacę.

Dziewczyna, jak się później dowiedziałem — siedemnastoletnia Holenderka, spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

— Dobrze — powiedziała po chwili zastanowienia.

Grupa „hippisów” czegoś się domyśliła. Przerwali brzdąkanie w struny i ruszyli w naszą stronę. Odcinali mi drogę od bulwaru, od ruchu ulicznego. Szli zwartą grupą. Tylko jeden miał w rękach gitarę. Inni mieli noże... Dziewczyna zbladła i zaczęła płakać. Ja poczułem nagły odpływ odwagi.

— *Hi, boys* — krzyknął ktoś za plecami „hippisów”.

Odwrócili się. Za nimi stał ogromny René. A obok Georges z pistoletem w ręku uśmiechał się życzliwie. Noże znikły w kieszeniach. Hippisi spokojnieli i spuściwszy głowy ulotnili się chyłkiem. I tylko później, z bezpiecznej już odległości obrzucili dziewczynę stekiem potwornych wyzwisk. Złożyliśmy się we trzech na zakup kiecek dla zbłąkanej owieczki, na jej nocleg w hotelu i bilet lotniczy. Córka lekarza z Amsterdamu.

Gdy uciekła z domu, miała zaledwie piętnaście lat. Dwa lata poza domem dostarczyły jej materiału do obszernej — gdyby ją chciała napisać — powieści i to powieści, której byle komu nie można dać w ręce. Co ona przeżyła! Mały wycinek zasłyszany z jej ust wystarczył by, nas, stare wygi, ogarnęła groza i litość. Wynędzniała. Na ramionach ślady ukłuć. W oczach rozpacz.

Znacznie później otrzymałem od jej ojca list. Wylizła się z narkomanii. Podjęła studia. Nie zobaczyłem jej nigdy. Wątpię, by sprawiło jej przyjemność spotkanie z człowiekiem, który poznał ją wówczas, gdy była sprzedawana w Stambule...

Na tym kończę dygresję, której celem było wykazanie, że na Georges'u można było polegać w każdej okoliczności. Wracamy do Jemenu.

Słaby wiatr podrywał piasek do wirującego tańca i po paru niesłyszalnych taktach rzucał go tu, by podjąć gdzie indziej. Na pustyni, hen, aż po horyzont, wirowały, kłębiły się i osiadały tumany piachu zwiększając nasze bezpieczeństwo. Bo przed chwilą jeszcze widać było nasze ślady zmierzające w stronę skał, lecz nie było śladów prowadzących dalej: nieomylna wskazówka dla sowieckich pilotów, że jeszcze tu tkwimy, że warto skałki zmienić w wulkan ziejący ogniem. Teraz balet widmowych tancerzy zdeptał nasze ślady, piasek zbudował na nich fale i odtworzył na powrót wrażenie bezkresnego morza, z którego skały sterczały jak wyspa. Nie rozpalaliśmy ognia, czailiśmy się w skałach tak, by z lotu ptaka, czy z lotu Miga, wyspa ta uchodziła za bezludną. I dopiero nazajutrz nasza kawalkada rozhuczała się znów w pustyni i znów każde koło ryło w piachu węzowaty ślad. Trwający sześć godzin skok

i znaleźliśmy się w długim wąwozie (*wadi*) wcinającym się głęboko w pasmo gór jemeńskiego masywu. Góry rosły stromymi ścianami wzdłuż *wadi*. Jeszcze kilka kilometrów po wybojach i kamieniach i dno wąwozu stawało się coraz bardziej wilgotne. Pierwsze skrawki zieleni od czasu, gdy opuściłem oazę Nadżranu. Jeszcze kilka kilometrów i na dnie *wadi* pojawiła się rosnąca strużka wody. Trawa przeradzała się w krzaki. Z głębi wąwozu słyszymy monotonnie wybijany rytm. Za zakrętem snuje się dym. Zbliżamy się do K'hownah.

Wysokie zbocza krętego *wadi* stają się coraz bardziej strome. W niektórych miejscach woda wyłobila brzegi tak bardzo, że ogromne skały niby gigantyczne balkony zwisają nad wąwozem. Wygląda to majestatycznie i groźnie. Te zaułki wąwozu stanowią doskonałe schrony przed lotnictwem. Nadźwiękowe samoloty przelatują zbyt szybko nad szczeliną wąwozu, by stanowić rzeczywiste zagrożenie. Przez cały czas pobytu w Jemenie uważałem za szczęście, że Sowieci nie sprowadzili tutaj kilku starych powolnych bombowców z drugiej wojny światowej. Helikoptery bojowe stanowiły wtedy jeszcze amerykańskie *novum*: o tyle Jemeńczykom było łatwiej niż dziś Afganom: Migi 21 i 23 nie nadawały się zupełnie do atakowania pozycji w górach.

K'hownah leży w jednym z takich właśnie *wadi*, nad którym zwisa potężny skalny okap. Bezpiecznie tu było zupełnie. Więcej targowisko niż osada. Lepianki, szałas i budy handlarzy zaopatrujących karawany szykujące się do przebycia pustyni. Parę bud-restauracji raczących gotowaną baraniną tych, którzy zdążając w przeciwnym kierunku pustynię mieli już za sobą. Wielbłądy, osły i ciężarówki. Beduini i Jemeńczycy: biegła tędy główna arteria zaopatrzenia Jemenu. Ruch,

gwar. Porykiwanie wielbłądów. Beduini na swych dywanikach odprawiali modły. Przeciągłe melopeje mieszały się z ogólnym gwarem. Dychawiczny dieslowski silnik generatora elektrycznego krztusił się własnym dymem. W cieniu skał, dookoła ogniska, rozsiedli się Jemeńczycy.

Jemeńczyków poznałem już w Arabii Saudyjskiej, ale tam byli uchodźcami, zdanymi na łaskę gospodarzy. Rozbrojeni, nędzni, smutni. Tutaj byli u siebie: krzywe *dżambie* (kindżały) za pasem i broń palna. Trafiliśmy na *ghaat party*. *Ghaat* to namiętność Jemenu i Etiopii. Jeszcze jedno ogniwo łączące narody dawnego królestwa Saby. *Ghaat* jest tym dla Jemeńczyka, czym kawa dla Turka, czym wino dla Francuza. W Arabii — surowo zabroniony: musiało go piekielnie brakować jemeńskim zbójom. Tu go nie brakowało. W całym Jemenie można spotkać plantacje. Niskie drzewka o delikatnym listowiu stanowią w niektórych okolicach jedyną zieloność. Przez okrągły rok właściciele sadów *ghaatu* obcinają młode cienkie gałązki o bujnym listowiu i sprzedają je w wiązках za duże pieniądze. Największą przyjemnością Jemeńczyka jest usiąść z taką wiązką w zacisznym kącie i godzinami żuć liście. A jeszcze lepiej, gdy można zrobić to w licznym gronie przyjaciół. Wówczas wszyscy siedzą dookoła wysokiej sterty gałązek i obżerają te gałązki z liści. Jako, że jemeński *savoir vivre* zabrania wypluwać przeżutą zielen w towarzystwie, więc od czasu do czasu któryś z „biesiadników” wstaje, oddala się od grupy i wypluwa nagromadzoną w ustach zieloną miazgę. Dzieje się to stosunkowo rzadko. Wytrawni przeżuwacze upychają językiem zużytą zieleninę w policzku i żują dalej. Po chwili każdy wygląda jakby go bolały zęby. Jeszcze trochę i opuchlizna staje się obustronna. Dopiero, gdy rozdęte do granic możliwości



„Ghaat party”



Policzki wypchane ghaatem

policzki nie mogą już pomieścić ani krzty — Jemeńczyk z żalem opuszcza towarzystwo i po chwili wraca z lekko obwisłą twarzą, gotów do dalszej orgii. Trwa to godzinami, a jeśli towarzystwo jest zamożne — to całą noc. *Ghaat* ma właściwości podobne do kawy: usuwa zmęczenie i nie pozwala spać. I coś więcej — powoduje gadatliwość. Jemeńczycy nazywają *ghaat* „długim językiem”. I to nie dlatego, że język ma ciężką rolę — upychanie przeżutych resztek w zakamarkach policzków. Inne nazwy *Ghaatu* mówią same za siebie: „ojciec plotki” i „przyjaciel gwiazd”. Z wojskowego punktu widzenia używanie *ghaatu* było korzystne — wojownicy zaopatrzeni w *ghaat* nie spali na pozycjach. Ale był on też szkodliwy: uspokajał i odbierał agresywność. W ogóle wyznawcy Proroka są lepsi w obronie niż w ofensywie. Fatalizm islamu: gdy bronisz swej pozycji, stanie się co jest zapisane. *Incz Allah*. Czy się narażasz, czy się kryjesz — gdy ci jest pisana śmierć, nie unikniesz jej nigdy. Odwaga nic nie kosztuje, a zapewnia podziw i chwałę. Natomiast gorzej w ofensywie. Tu już nie Allah decyduje o porze i celu ataku. Toteż najlepiej nie decydować się w ogóle na atak... Tak więc religia i „ojciec plotki” profilowały wspólnie postawę jemeńskich wojowników po obu walczących stronach.

René zarządził dwudniowy postój. Czekaliśmy na przewodników, którzy mieli nas poprowadzić dalej. Przegląd samochodów po przebyciu pustyni też wydawał się wskazany, zwłaszcza że mieliśmy ruszyć teraz ścieżkami górskimi, gdzie sprawność pojazdów miała znaczenie decydujące dla całej wyprawy. Popołniając wyraźne nadużycie władzy, jako zastępca kapitana D., wydałem sobie rozkaz zbadania okolicy i zapoznania się z jemeńskimi obyczajami. Podobny rozkaz wydałem

Georges'owi. Złapaliśmy jednego z naszych tłumaczy.

— Co tu można ciekawego zobaczyć?

Tłumacz zakręcił się wśród uczestników *ghaat party*. Od grupy oderwało się dwóch zbójów. Za półtorej gwinei obiecali nam pokazać *russian tanks* i *egyptian dead soldiers*. Zgodziliśmy się. Georges w dziesięć minut utargował — dla zasady — pół gwinei. Tradycji stało się zadość i ruszyliśmy w drogę wyłudziwszy pozwolenie od René. Szliśmy ostro w górę jakąś owczą ścieżką znaną tylko naszym przewodnikom. Przeszkadzały nam karabiny szturmowe. Ale musieliśmy iść uzbrojeni ze względu na własne bezpieczeństwo w kraju ogarniętym wojną domową, gdzie trudno było ufać przygodnym znajomym.

Ścieżka pięła się stromo. Spod nóg raz po raz usuwały się kamienie, by z głośnym łoskotem, wznecając obłoki kurzu, stoczyć się na dno *wadi*. Wspinaliśmy się bez końca. Straciłem humor. Taki wysiłek!!! Ale piąłem się milcząco dalej. Wstyd zamyka usta. Nie wypadało się skarżyć. Byliśmy już tak wysoko, że K'hownah zniknął nam z oczu. Osada, nasz obóz, wielbłądy, ciężarówki — wszystko skryło się za skalnym okapem, po którym teraz wędrowaliśmy.

Przede mną migały bose stopy jednego z Jemeńczyków. Fascynowały mnie, nie mogłem od nich oderwać wzroku. Ostre kamienie, krzemienne szpikulce — ja czułem je boleśnie przez grubą skórę specjalnych, górskich butów. Jemeńczyk dreptał przede mną boso. Przeskakiwał głazy, bosymi stopami spadając na krzemienie równie ostre jak łożo fakira. I nic. Później, lecząc rannych, miałem możliwość sprawdzić, że skóra na stopach Jemeńczyka przekracza półtora centymetra grubości. I tak pięliśmy się coraz wyżej. Gdy byłem już bliski załamania

— ukazał się nam wyłom w skalnej ścianie. Zaczęliśmy schodzić do sąsiedniego *wadi*. Wąwóz był wąski, a jego dnem wiała się droga. Z lotu ptaka widać było kilka kilometrów jej przebiegu aż po zanurzony w sinym półmroku załom wąwozu, gdzie ginęła nam z oczu. Między tym dość odległym punktem a nami, w najwęższym miejscu wąwozu, droga była przerwana ogromnym zwałiskiem głazów i kamieni. Ku temu miejscu wiedli nas przewodnicy. Po chwili zanurzyliśmy się wśród skał i straciliśmy z oczu cel naszej wycieczki. Dopiero po trzech kwadransach marszu droga pojawiła się znowu, już bliska. Wyszliśmy na nią po chwili. Zakurzona, wąska, kamienista. Ruszyliśmy w kierunku kamiennego rumowiska zaobserwowanego wcześniej z góry. Rumowisko wypełniało wąwóz do kilkumetrowej wysokości. Droga nikła pod wieloma tonami kamiennego gruzu, tak jakby tu kończyła swój bieg lawina. Zaczęliśmy wspinać się na spiętrzone bloki. Spod nóg usuwały się luźne kamienie. Wciągaliśmy się nawzajem z Georges'em nie dbając o pełne źle skrywanej ironii spojrzenia naszych przewodników, którzy zgrabnie, jak górskie kozice, kilkoma umiejętnymi ruchami znaleźli się na górze. Uff, udało się. Jeszcze parę kroków...

Szczyt zwałiska, kiedyś wypukły, rozniesiony został na boki pracą czyichś rąk. Ktoś pousuwał skały i kamienie, tworząc wklęsłość. Jedna z nich znajdowała się u naszych stóp. Na dnie coś na kształt zardzewiałej rury. Kanalizacja? Tutaj? Jemeńczycy zachęcali nas gestami byśmy weszli w zagłębienie. Nagle zrozumiałem: to lufa zasypanego kamieniami czołgu. Jest i właz. Nasi przewodnicy odchylają klapę. Zagłębiamy. We wnętrzu czołgu siedzi trup w mundurze egipskich wojsk pancernych. Suchy, gorący klimat zamienił Egipcjanina w auten-

tyczną mumię. Rysy zaostrzyły mu się, twarz jakby zmaląła. Jemeńczycy pokazują nam inne czołgi-trumny i trupy Egipcjan, którzy zmarli potworną śmiercią. Z kiepskiej angielszczyzny tłumacza wynika, że tutejsze plemię Jemeńczyków dwa lata wcześniej zagrodziło Egipcjanom wstęp w swe granice sztucznie spowodowaną lawiną.

Nasi przewodnicy brali udział w tej zdumiewającej bitwie górali przeciw czołgom. Kolumna czołgów szła na czele egipskiej ekspedycji pacyfikacyjnej. Dwanaście sowieckich T-54 otwierało marsz. Gdy Jemeńczycy spowodowali lawinę w najważniejszym miejscu wąwozu, czołgi znalazły się pod tonami skał. Kamienie posypały się na piechotę i na samochody. Posypały się również strzały ze staroświeckich strzelb. Egipcjanie nie wytrzymali uderzenia. Pierzchnęli do tyłu na ocalałych pojazdach, zostawiając moc zabitych i rannych. Tych ostatnich Jemeńczycy starannie podobijali i pochowali z pierwszymi. Wszystkich, prócz tych w czołgach. Tych odgrzebano po wielu miesiącach po to, by zabrać im ręczną broń. Zginęli straszną śmiercią: jedni, zagrzebani głębiej, umarli szybciej z braku powietrza. Inni konali długo z pragnienia w rozpalonych stalowych trumnach. Pokaleczone ręce mumii świadczyły o gorączkowych, nadludzkich wysiłkach, by wydostać się z piekielnej pułapki. Ale na włączach czołgów leżały tony kamieni. Kamieni, spod których nie wydobył się na powierzchnię nawet jęk umierających.

Wracaliśmy z Geogres'em milczący, zmęczeni długą wspinaczką. Wstrząśnięci widokiem egipskich ofiar megalomanii Nassera. Czy piekło umierania otworzyło im w nagrodę raj wojowników? Oznaczone egipskimi napisami kałasznikowy naszych przewodników przyciągały wzrok...

HONOR SZEJKA HARBA'TASZ

Łachad, t'nin, talata, harba: jeden, dwa, trzy, cztery. *Rhamza* — pięć. *Rhamz'tasz* — piętnaście. *Rhamza'in* — pięćdziesiąt. *Rhamza mia* — pięćset. Leżę w grocie zmęczony i nie mogę zasnąć. Gryzą mnie pchły. Dusi mdły zapach gotowanej baraniny i ludzkiego potu. Czy do brudu można się przyzwyczaić? Powtarzam w myślach lekcje arabskiego. Próbuję zasnąć. Nic z tego. A więc dalej: *Harba u' talata'in* — trzydzieści cztery. *Vier und dreizig*. Arabowie, jak Niemcy, wymieniają dziesiątki po jednostkach: cztery i trzydzieści. U Arabów to zrozumiałe: piszą od prawej do lewej. Ale skąd to u Niemców? Myśli kotłują się w głowie. Pchły i zaduch. Wstałem i starając się nie deptać po śpiących, wszedłem do groty. Zimno. Zawinąłem się szczelnie w koc. Usiadłem na skalnym załomie i zapaliłem papierosa. Góry w nocy, w świetle gwiazd, wyglądały wręcz nierealnie, jak kicz teatralnej dekoracji. Na niebie bezlik gwiazd — pod nogami przepaść niknąca w mroku cienia rzuconego przez góry i w lekkiej mgiełce snującej się między skałami. Głęboko, w czerni przepastnej doliny, też gwiazdy: światełka R'hownah. Tak blisko i tak daleko. W locie ptaka może siedem, osiem kilometrów. Droga ponad sześćdziesiąt... Trzy dni potwornej jazdy, by pokonać dwukilometrową różnicę poziomów. Jesteśmy w wysokim Jemenie. Inny krajobraz, inny klimat. R'hownah mrugające do mnie światłami — to rozedr-

gany od ciepła wawóz, duszny i gorący, w którym każdy podmuch wiatru wydaje się błogosławieństwem Allaha. Sareteh, to brzeg płaskowyżu jemeńskiego. Prawie trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Noce zimne, po upalnych dniach. Tu wiatr nie jest błogosławieństwem Allaha, lecz przekleństwem *seitaana*, arabskiego diabła, od którego nasze szatany otrzymały swe imię. Trzy dni zmagania się, wysiłku, by znaleźć się tak blisko, tylko nieco wyżej. Jeszcze mam w uszach huk silników, jeszcze bolą ramiona od zmagania się z kierownicą. Pamiętna droga...

Droga z R'hownah do Sareteh, to wykuta w skale wijąca się nad przepaścią serpentyna o nawierzchni z kamiennego gruzu, miejscami tak wąska, że na zakrętach ciężarówki darły blachę boków na skałach, by nie spaść w dół. Spod kół sypały się kamienie. Ludzie, za wyjątkiem kierowców, szli pieszo. Czasem podpierali drągami chwiejące się samochody, podkładali głazy pod koła, w miejsce tych, które — wypchnięte ciężarem samochodów — toczyły się w przepaść z łoskotem, jakby chcąc nas przestrzec przed tym, co nas czeka. Na dnie przepaści jak memento widniały zardzewiałe wraki samochodów. Prowadziłem jeepa ku zazdrości tych, którzy prowadzili ciężarówki, a sam z zazdrością patrzyłem na tych, którzy idąc piechotą wiedzieli gdzie stawiają stopy. Kurz utrudniał widoczność, pragnienie dusiło za gardło, bolały ręce spocone i nerwowo zaciśnięte na kierownicy szarpanej uderzeniami kół o kamienie. A co by było, gdyby nadleciały Migi? Odpędzałem tę myśl jak natrętą muchę. Z przodu krzyk... Kolumna zatrzymała się. Jedna z ciężarówek zawisnęła tylnym kołem nad przepaścią i chwieje się niezdeterminowanie: spadnie, czy nie. Już biegną ludzie z drągami; podpierają. Spod kół samochodu i

spod gołych ludzkich stóp sypią się kamienie. To Jean-Pierre, nasz radiowiec. Zmaga się z chęcią wyskoczenia z kabiny ciężarówki. Poczucie obowiązku zwycięża: błądy, opanowany, dodaje ostrożnie gazu. Podłożone pod koło kamienie wypryskują spod opon. Centymetr po centymetrze ciężarówka przesuwana się w bezpieczne miejsce. René zarządza postój. *Cza'aj*, papieros i w drogę... Metr po metrze. Ciężarówce jadącej przede mną zaczyna zjeżdżać tył. Znów drągi, podpory. Krzyki, kurz i blada twarz kierowcy — Jemeńczyka. Dobiega do mnie obszarpany mężczyzna i gestykulując coś głośno tłumaczy... Nie rozumiem go. Błysk pogardy w oczach typa. Tłumacz. Gdzie jest tłumacz? Ach, domyślam się wreszcie: facet chce, bym jeepem pchnął ciężarówkę, wypchnął ją z niebezpiecznego miejsca. Nie wolno się zastanawiać. Ruszam do przodu. Zderzak w zderzak. Przedni napęd, tylni napęd, blokada dyferencjału. Wypycham ciężarówkę znad przepaści. Czuję jak ziemia się usuwa spod mojego samochodu, jak kamienie przyskają spod kół. Teraz ja wiszę nad wąwozem, teraz mnie podpierają... Uff, udało się. Wyjechałem. Już Jemeńczycy zapełniają kamieniami wyrwę w drodze, by następni mogli przejechać. Mozołnie, z namysłem układają kamienie w taki sposób, by zaczepiały się maksymalnie o skałę. Wbijają klinowate głazy w szczeliny. Brodaty obdartus klepie mnie z uznaniem po plecach. Uderza mnie kontrast między jego nędznym odzieniem, a bogato zdobioną rękojęścią *dżambii*. Zwraca moją uwagę szacunek jakim obdarzają go inni...

Pojawił się tłumacz.

— Kto to jest? — pytam.

— Szejk Harba'tasz! — tłumacz wymienia to takim tonem jakby się dziwił, że tego nie wiem.

Harba'tasz. „Czternaście”. Cóż to za dziwne nazwisko. Po wieczornym posiłku, tłumacz zachęcony wiązką gałązek *ghastu* nie dał się długo prosić...

Zaraz po drugiej wojnie światowej w Adenie, ówczesnym brytyjskim protektoracie, zaczęło się wrzenie „rewolucyjne”. Ponieważ miasta trzymane były silną ręką Brytyjczyków, prokomunistyczne bandy terrorystów kryły się w górach pogranicza z Jemenem i żyły z rozboju. Jedna z takich band wkroczyła do Jemenu i korzystając z nieobecności mężczyzn ograbiła wieś, gwałcąc kobiety, mordując starców i dzieci. Pozbawionego genitaliów trupa starego szejka, wbitego na pal przed wioską, obżerały sępy. Było to pod koniec wypasu baranów na górskich pastwiskach. Gdy po sezonie mężczyźni wrócili do swej wioski, nieliczne ocalałe kobiety opowiedziały im co zaszło. Posłano gońca do Mekki, gdzie przebywał w szkole duchownej najstarszy wnuk zamordowanego szejka. Jossip ben Said wrócił w rodzinne strony z najbliższą karawaną. Jego ojciec, syn szejka, już nie żył. Jossip sprzedał wszystkie swe posiadłości i zdał władzę bratu. Sam poszedł do Adenu. Pod przybranym nazwiskiem dostał się w kręgi „rewolucjonistów”. Od masakry w jego wsi upłynął ponad rok. Ale wysłuchując opowieści przy ognisku i umiejętnie stawiając pytania dowiedział się kto brał udział w wyprawie na jego wieś. Banda ta tymczasem się rozpierzchła, a jej członkowie bądź dostali się w inne okolice, bądź — wysłani przez „rewolucyjny” ruch — studiowali w Moskwie czy Pradze. Zdobył nazwiska. Upływał czas. Jossip krążył po kraju. Nie spieszył się.

Wśród „rewolucjonistów” zapanowała dziwna epidemia: od czasu do czasu ktoś umierał z gardłem poderżniętym *dżam-*

biq. Po latach wracali z Moskwy i z Pragi „dostojnicy”, by objąć dowództwo poszczególnych obwodów. W niedługim czasie jawiał się w ich otoczeniu ponury góral z czarną brodą. Wkrótce potem znajdowano ich trupy pozbawione genitaliów i ze straszliwą raną na szyi. I tak mijały lata. Wreszcie zginęli wszyscy, którzy przed laty wzięli udział w napadzie na wioskę Jossipa. Było ich czternastu. Jossip nigdy nie wrócił do siebie, do wsi, którą odbudował jego młodszy brat. Dwanaście lat poszukiwań i zemsty wyczerpało jego zasoby finansowe. Z dawnego bogactwa została mu tylko *dżambia*. Czy warto wspomnieć, że gdy Nasser rozpętał rewolucyjną hecę w Jemenie to szejek Jossip „Harba'tasz” ben Said dobrze wiedział, po której stronie się opowiedzieć? Wkrótce znany był po obu stronach frontu. Mój tłumacz patrzył zaś ze strachem i z podziwem. Ja pamiętam melancholię kryjącą się na dnie czarnych oczu szejka. „Harba'tasz”. „Czternaście”. Dobrze, że nie był moim wrogiem.

Od strony gór powiało zimnem. Mimo, że byłem owinięty w ciepły koc — wstrząsnął mną dreszcz. Do groty wracać nie chciałem. Wstałem, przeciągnąłem się by rozprostować kości i ruszyłem w stronę ogniska Jemeńczyków. Pili herbatę.

— *Łahad findżan u cza'aj ment'fatlek* — powiedziałem. Proszę o filiżankę herbaty.

Findżan — toż to etymologiczny przodek naszej filiżanki — pomyślałem z dziwnym wzruszeniem. Jemeńczycy gościnnie zrobili mi miejsce przy ognisku i wkrótce piłem nektar: gorącą herbatę. Bezskutecznie próbowałem zrozumieć treść rozmowy moich gospodarzy. A mówili dużo i z przejęciem. Ogarnęła mnie senność. Pchły albo zasnęły, albo zmieniły żywiciela.

Gorąca herbata spłukała z ust tłusty smak baraniny, którą jadłem na kolację. Było mi dobrze.

Blady z zimna poranek szybko nabierał rumieńców od wschodzącego słońca, w którego blasku nagie góry mieniły się przedziwnymi kolorami. Wielbłądy obżerały zakurzone liście z karłowatych, kolczastych krzaków. Wadi R'hownah niknęła pod lekką pierzynką mgły: tam w wąwozie, promienie słońca nie zrobiły jeszcze pobudki. Tu już Jemeńczycy odprawiali swe poranne modły. Z groty wychodzili zaspani koledzy, drapiąc się namiętnie. „Nie tylko ja złapałem pchły” — pomyślałem ze złośliwą satysfakcją. Po chwili — radosne ablucje w lodowatej wodzie górskiego strumyka, gorąca herbata i *r'hobs* — zastępujący chleb arabski placek. Podpłomyk z niefermentowanego ciasta. Nie kroi się go, lecz łamie. Takim chlebem przed dwoma tysiącami lat łamał się Chrystus z apostołami...

Słoneczny, upalny dzień. W cieniu chłód. W grocie zaduch. Oporządzamy broń i samochody. Ostatni etap: pięćdziesięciokilometrowa trasa bezdrożem wśród gór. Dalej płaskowyż już jest w rękach nieprzyjaciela i tylko pasma gór sterczące wokół są wierne imamowi. Odtąd będziemy szli pieszo. Nocami. Samochody wrócą do Nadżran. Nasze uzbrojenie, sprzęt i amunicja zostaną w grotach pod opieką Jemeńczyków. Będą nam dostarczane — w miarę potrzeb — karawanami wielbłądów, także nocą, omijając samochodowe i pancerne patrole wroga.

Ze skrzynki amunicji, którą wiozę na mym jeepie — wystaje gwóźdź. Podnoszę kamień wy go wbić. Pod kamieniem wije się wystraszony skorpion. Walę w niego z całej siły kamieniem.

Co za kraj! Wszystko tu kłujące. Kłujące stopy krzemienie. Kłujące w nocy pchły. Kłujące gałęzie krzaków i pozornie dobrodusze, a najeżone kłującymi kolcami kaktusy. A w każdej dziurze skorpion. Nocami polują na owady i chowają się pod kamienie z pierwszym promieniem słońca. Są ich dwa rodzaje. Czarne, silne, wielkości raka, i mniejsze o połowę, brunatne. Wbrew pozorom dla człowieka właśnie te drugie są bardziej niebezpieczne: wchodzi do szałasów i namiotów, a ich jad jest mocniejszy. Rano trzeba dobrze wytrząsnąć buty, by się upewnić, że nie siedzą w nich skorpiony poszukujące o świetle dziennej kryjówki. Liczne tutaj skalne żmije też potrafią ukłuć. A nade wszystko kłujące w oczy przeraźliwym blaskiem górskie słońce...

Pędzimy. Kurz i huk silników. Płaska równina rozciągająca się przed nami — to Jemen wysoki. Dwa do trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Pasma gór wznoszą się jeszcze o tysiąc, półtora tysiąca metrów. Raz rozbiegają się po horyzont, a raz zbliżają się tak, że równina którą jedziemy staje się wąwozem. Góry są strome i płaskie. Zza skał, na szczytach gór, od czasu do czasu wznosi się strużka dymu. Za chwilę z wrzaskiem wypadną Indianie na koniach. Nie. To przecież Jemen. A dym na szczytach, to ogniska, przy których czuwają obrońcy tych gór i leżących za nimi wąwozów. Góry są szare, jak szare jest tu wszystko. Ale czasem zadziwić potrafią gamą kolorów od żółtego po czerwień. Wówczas i droga staje się czerwona i kurz, który wdychamy i który osiada na spoconych twarzach. I po chwili sami wyglądamy jak Indianie. Gdzie dolina jest szeroka — pędzimy obok siebie jak niegdyś na pustyni. Gdzie zwęża się — chcąc nie chcąc musimy jechać

gęsiego kurząc sobie wzajemnie w oczy. Osmalone, czarne szkielety spalonych samochodów przypominają nam, że na takich jak my sowieckie Migi urządzają tu częste i owocne polowania. Toteż spieszymy się, torturując amortyzatory naszych samochodów i własne kręgosłupy. Byłe znaleźć się wreszcie na miejscu.

Kierujemy się ku pasmu gór R'zah, kryjących się za kurtyną rozedrganego w słońcu powietrza i majaczących na horyzoncie w sinym pomroku.

To pasmo gór stanowiło tymczasową granicę terytoriów uznających władzę imama. Dalej — to już terytoria pod władzą czerwonych, przynajmniej jeśli chodzi o miasta i wioski położone na równinie. Bowiem góry wszędzie pozostały wierne imamowi, a jego zwolennicy bronili się nawet w pasmach sterzających tuż nad samą stolicą, San'a: to był nasz ostateczny cel. Na zamykającym horyzont paśmie gór R'zah kończyła się podróż samochodem. Dalej już pieszo, nocami, prowadzeni przez zaufanych przewodników, mieliśmy się przekraść — poprzez kontrolowaną przez czerwonych równinę — w inne góry, w sam środek krainy wroga. Ale to później. Na razie w kurzu i huku silników pędzimy równiną bojąc się tylko nagłego pojawienia się samolotów. Jakoś jednak *kismet* (czyli przeznaczenie) nie przewidziało Migów na ten dzień i bezpiecznie pokonaliśmy przestrzeń nie mając czasu na podziwianie widoków.

R'zah. Góry obłędne. Stromo wznoszący się mur. Wyraźnie zaznaczone warstwy geologiczne o kolorach jak z obrazów Van Gog- ha: żółte jak dojrzałe zboże, zielone jak lasy, których tu nie ma. Allah, tworząc je, rywalizował z ekspresjonistą w szaleństwie: góry dzikie, posępne, groźne i wspaniałe. Zbliża-

my się. Droga staje się coraz trudniejsza, zavalona złomami skał. Trzeba skupić uwagę, lawirować... Wjeżdżamy w *wadi* wrzynające się między zbocza gór. Po prawej stronie ściana górską podmyta przez *wed* zwisa nad głowami. Jedziemy jakby tunelem, któremu brak lewej ściany. Z prawej żółta, później purpurowa skała zdają się nas przygniatać. W ścianie głębokie jamy, z których snuje się dym. To wojownicy emira Ahmeda gotują baraninę: mdły zapach przedziera się przez kurz i swąd spalin. Jesteśmy na miejscu. Już czoło kolumny staje. Zwisający nad nami okap z tysięcy ton kolorowych skał skutecznie chroni nas przed nalotami.

Monotonny stukot silnika dieslowskiego poruszającego generator, żarówki w grotach: jemeński człowiek jaskiniowy zna elektryczność! Emir Ahmed, bratanek imama i młodszy brat Mohammeda, następcy tronu i głównodowodzącego rojalistów, nie przypadkiem obrał na siedzibę góry R'zah. Od strony nieprzyjaciela oddziela go próg tak stromy, że tylko doświadczeni alpiniści zdołaliby go zdobyć. Nieliczne *wadi*, wąskie i zavalone kamieniami, były łatwe do upilnowania: kilku żołnierzy z karabinem maszynowym i bronią przeciwpancerną wystarczało w zupełności do ich obrony. Obszar na południe od R'zah był w rękach rojalistów. Na północ — teren nieprzyjacielski z archipelagiem wysp oporu. Rolą emira było zaopatrywanie tych ośrodków w broń i w instruktorów. Stąd, z R'zah, szły nocą piesze kolumny partyzantów imama. Stąd wyruszały karawany wielbłądów, które w jukach ukrytych pod stosem towarów przemycały broń i pieniądze. Emir Ahmed, wychowanek brytyjskiej szkoły wojskowej, znał świetnie język angielski. Oczytany, o dużej kulturze, zwiedził całą Europę Zachodnią, podczas swych studenckich lat. Teraz podejmował

nas powitalną herbatą w otoczeniu swej świty, na wpół leżąc na miękkich poduchach w wyścielonej bogatymi kobiercami grocie.

W mroku groty — ledwie częściowo rozproszonym żółtym światłem słabych żarówek rozwieszonych w załomach skał — skrzyła się blaskiem drogich kamieni rękojeść książęcej *dżambii* i błyszczały złote zęby w gębie jego „prawej ręki”, wysokiego draba imieniem Szamir. Traciłem poczucie rzeczywistości. Widok był niezwykły. Gdyby tych kilka lejących mdłe światło żarówek zastąpić pochodniami i gdyby nie nowoczesna broń walająca się po kątach groty, zdawać by się mogło, że jesteśmy przeniesieni do krainy bajek „z tysiąca i jednej nocy”, i że znajdujemy się w melinie Ali Baby i czterdziestu rozbójników. Obserwowałem otoczenie emira. Byli tam szejkowie plemion wiernych imamowi i szejkowie, którzy przyszli zaofiarować wierność swych plemion w zamian za przywileje lub złoto, którego skrzynia stała za plecami księcia. Byli tu strojni dworacy i obdarci górale. Tłuszczyści dostojnicy i chudzi, zżarci słońcem i tułaczką wojownicy. Wszyscy siedzieli na kobiercach, ze stopami podwiniętymi pod siebie. Emir Ahmed królował pośrodku. Po ceremonii powitalnej i herbacie książę wyznaczył nam osobną grootę, przydzielił kilku ludzi i wydał kwit na świeżą żywność: chleb i baraninę. Przed opuszczeniem przez nas groty zaprosił nas na kolację. Wydawał się być zachwycony naszą obecnością.

Nasz tłumacz, Ahmed ben Said (niech mu Allah da siedmiu synów!), uczył nas jak się odbywa uczta u emira i jak się należy na niej zachować. Ogarnęło mnie przerażenie. Patrząc na twarze kolegów wiedziałem, że i im nie jest rażno. Uczta taka przebiega w sposób następujący: służba wnosi posiłki na

tacach i stawia je na kobiercu, dookoła którego na wpół leżą biesiadnicy. Leży się na lewym biodrze i podpira się lewym łokciem. Nogi muszą być tak podwiniete za siebie, by nie widać było stóp. Je się prawą ręką bez użycia sztućców, ze wspólnej misy. Mięsa, rozgotowanej baraniny, nie kroi się, lecz wyrywa się palcami kęsy. Kawałki *r'hobsu*, czyli placka zastępującego chleb, urywa się palcami prawej tylko ręki, przytrzymując placek przegubem. Lewej ręki nie używa się zupełnie. Chleb macza się we wspólnej misie z sosem. Uprzejmość nakazuje pierwszy taki zamoczony już kawałek podać sąsiadowi. Księżę, gdy chce kogoś zaszczyścić, „odejmuje sobie stawę od ust”: wyrywa większy kawałek baraniny, odgryza część i resztę podaje wyróżnionemu gościowi. Służba krąży z miseczką wody, w której biesiadnicy płuczają sobie kolejno palce. Wody tej nie zmienia się w ciągu całej uczty. Do tego należy dodać, że Jemeńczycy nie myją się nigdy i że ręce mają straszliwie brudne. A w dodatku, z właściwą dumnym góralom wrażliwością, są niezmiernie czuli na każdy gest i obrażają się łatwo. Toteż bez trudu można sobie wyobrazić w jakim stanie ducha szliśmy na ową pierwszą naszą jemeńską ucztę.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić. W ciągu mego dwu i pół rocznego pobytu w Jemenie przestałem zważać na stare europejskie uprzedzenia. Ileż to razy będąc gościem Jemeńczyków zdarzyło mi się jeść z gospodarzami palcami ze wspólnej misy gotowaną baraninę, opijając ją gorącym, piekielnie ostrym sosem z glinianego garnuszka przechodzącego z ust do ust. Ileż to razy piłem z nimi herbatę z *findżan* nie mytych od pokoleń. Ileż to razy wreszcie, po skończeniu posiłku paliłem wspólnie wodną fajkę, *nargile*, której ustnik, poda-

wany kolejno, krążył wśród biesiadników. Z uczty w grocie emira Ahmeda pamiętam tylko zapach miętowego sosu, który z uporem wysyłał mi do Rygi, oraz głęboką wdzięczność do gospodarza, że dla nas sobie nie „odejmował od ust”. Dużo bardziej utkwiała mi w pamięci moja druga jemeńska uczta.

Była to trzecia doba naszej wędrówki przez terytorium wroga. Szliśmy nocami. W dzień kryliśmy się bądź w skalnych załomach na bezludziu, bądź też w wioskach, w domach zwolenników imama, w tajemnicy przed sąsiadami. Obciążeni bronią i plecakami, ślanialiśmy się o świcie ze zmęczenia po przejściu 45 do 50 kilometrów w rozrzedzonym, górskim powietrzu. Na szczęście noce były chłodne. Drugiej nocy zasłabłem tak, że ku mojemu wielkiemu wstydowi, koledzy musieli nieść mój plecak na ostatnim odcinku. Ale dzień wypoczynku w jakiejś grocie wystarczył, bym odzyskał siły i wiarę w siebie.

Trzeciego dnia świt zastał nas w wiosce o dźwięcznie brzmiącej dla Polaków nazwie: Kura. Mieliśmy tu spędzić dzień u szefa wioski, w tajemnicy przed innymi mieszkańcami. Wioska była śliczna w blaskach wschodzącego słońca: jej domy były przyklejone do zbocza góry jak jaskółcze gniazda do okapu mazowieckiej chaty. Najokazalszy dom należał do tłustego szejka Saida. Dom był obszerny i panował w nim miły chłód. Szejk zaprowadził nas krętymi schodami do obszernej izby o maleńkich oknach. Tu, na dywanach i poduszkach, wypiliśmy herbatę, zapadliśmy w głęboki sen, z którego obudził nas warkot silników.

Ostrożnie wyglądając przez okna obserwowaliśmy zmotoryzowany patrol, który wjeżdżał do wsi wzniecając obłoki kurzu. Po raz pierwszy widzieliśmy wroga. Dwudziestu zbroj-



Jemeńcyzy w wiosce Kura

nych, umundurowanych *dżimuri* wylaziło z uzbrojonych w karabiny maszynowe samochodów na placyku przed chatą... Czyżby coś o nas wiedzieli. W takim wypadku nasza sytuacja byłaby beznadziejna. Było nas tylko sześciu, gdyż na ową pieszą wędrówkę przez terytorium wroga rozbiliśmy się na dwie grupy. Moją dowodził René, a drugą prowadził osobiście pułkownik Martin, który do nas dołączył w R'zah. Byliśmy niejako w pułapce: z domu szejka było tylko jedno wyjście — na placyk, na którym zatrzymał się patrol. Mieliśmy ręczną broń i kilka granatów. Mogliśmy wybić do nogi tych dwudziestu *dżimuri* na placyku, ale wiedzieliśmy, że zaledwie kilometr od wioski znajdują się duże koszary wroga, którego zmotoryzowane jednostki nie potrzebowały pięciu minut, by nas tu

otoczyć.

Zaczęło nam się robić zimno gdy zobaczyliśmy, iż *dżimuri* przeszukują starannie dom po domu, począwszy od skraju wsi. Z domów powychodzili mieszkańcy mieszając się z umundurowanymi: zaczął się handel wymienny — *ghaat* za papierosy, świeża baranina za konserwy. Już teraz nie mogliśmy użyć granatów ani otworzyć ognia na placyk: zbyt dużo znajdowało się na nim cywilów i zbyt byli przemieszani z wojskiem. Nasz gospodarz przewinął się przez tłum i zniknął nam z oczu. Grupka przeprowadzająca rewizję weszła już do trzeciego domu z rzędu. Nasz był piąty. Szykowaliśmy się do walki wewnątrz budynku: mowy nie było, byśmy oddali się żywem. Tu konwencja genewska nie obowiązywała. Napięcie rosło. Rewidujący wyszli z domu kierując się w naszą stronę. Nagle na ulicy i na placyku powstało zamieszanie. W rękach handlujących cywilów pojawiły się *dżambie*. *Dżimuri* padali jeden po drugim pod ciosami ostrych sztyletów. Trwało to krótką chwilę i dwadzieścia trupów walało się w kurzu. Przez placyk biegł zadyszany tłusty szejk Said, przebierając śmiesznie krótkimi nogami. Wołał do nas głośno:

— *Fisza! Fisza! Lazem yalla!* (Szybko, szybko, trzeba uciekać!)

Nie było czasu na zastanawianie się. Zbiegliśmy gęsiego po kręconych schodach. Cywile już zniknęli. Przeskakując trupy, z bronią w ręku biegliśmy co tchu za naszym przewodnikiem. Byle dalej, byle w góry...

Szejk Said zaciskał kurczowo rękę na kolbie kałasznikowa. Równie kurczowo zaciskał usta okolone siwym zarostem. Oczy szejka wpatrywały się ponuro w płonącą w dole wieś.

Kura płonęła podpalona rękami *dżimuri*. Mieszkańcy opuścili ją wraz z nami, uciekając przed zemstą. Uciekli w góry, by pomnożyć szeregi partyzantów. Szejk Said już nie wyglądał śmiesznie. Był groźny, gdy tak tkwił wpatrzony w płomienie. Czy to odblask pożaru wzniecał iskry w jego oczach, czy też gniew?

I znów szliśmy wśród gór, na które padał blask gwiazd. Za nami została spalona wieś Kura, w której otarliśmy się z bliska o śmierć. Dopiero gdy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu, dowiedzieliśmy się co zaszło. Szejk Said, widząc patrol *dżimuri* domyślił się, że wróg coś wie. Czując się za nas odpowiedzialny, pobiegł szukać ratunku. Wiedział, że w pobliżu ukrywa się maleńki oddział partyzantów. Szefowi oddziału opowiedział o tym co zaszło w wiosce. Partyzanci, zostawiwszy broń palną, uzbrojeni jedynie w *dżambie*, przekradli się do wsi. Tu, mieszkawszy się w ludność cywilną uprzedzoną przez szejka Saída, na dany przez ich szefa znak zaatakowali przeciwników znie-nacka: każdy zadźgał swego. W górach, w grocie, wódz partyzantów podjął nas posiłkiem, gdy zdyszani i oszołomieni wydarzeniami dotarliśmy na miejsce. Posadził po swej prawej ręce René, a po lewej szejka Saída. Gościł nas serdecznie, choć ciągle był ponury. Wódz nazywał się Harba'tasz. Naraził swe życie i życie swych podwładnych, by nas ocalić od niechybnej śmierci; nas, zwykłych *nasrani*. Bo byliśmy gośćmi jego księcia. Said wolał poświęcić swą wioskę niż dopuścić do śmierci ludzi, którzy mu zaufali. Jadłem kolację u szejka Harba'tasz. Ze wspólnej miski. Rękami. Jemeńczycy jedli z nami. Ale już nie widziałem brudu na ich rękach. Ręce przyjaciół są czyste.

Szliśmy w ciemną noc. Nad nami roziskrzone niebo jak rozpostarta księga przeznaczeń *Kismet*.

CZERWONA DŻUMA ZABIJA W JEMENIE

Nad doliną krążył orzeł. Raz był maleńką kropką ginącą w oddali w blasku zachodzącego słońca, to znów zbliżał się tak, że mogłem odróżnić poszczególne lotki jego szeroko rozpostartych skrzydeł, którymi poruszał z rzadka, jakby od niechcienia. Wykorzystywał prądy ciepłego powietrza płynące z nagrzanej kotliny ku chłodnemu niebu, które już ciemniało w zmierzchu. Pozwalał się znosić wiatrom panującym tam w górze, nastawiając żagle swych skrzydeł, by nagle, znienacka, ocknąć się i kilkoma potężnymi ruchami zmienić kierunek i odzyskać utraconą wysokość. Było mi dobrze, sennie, leniwie. Bolały od całodziennego wysiłku wszystkie mięśnie. Miałem przed sobą osiem godzin odpoczynku. Byłem dziwnie szczęśliwy. Te góry przed nami — dzikie, poszarpane, kryjące moje jutro pełne przygód, i ta dolina poniżej, gdzie zostawiłem moje zmęczone dzisiaj, a która wiała teraz ciepłem uciulanym skrzętnie w ciągu słonecznego dnia... I ten orzeł, który w mętniejących ze zmęczenia myślach wywoływał jakieś skojarzenia: „Orla twych lotów potęga...”, „...ptak ptakowi nie dorówna, nie polezie orzeł w gówna...”, Orzeł... korona, którą mu zabrali, a która przecież mu się należy za sam majestat lotu...

Ogarniał mnie zasłużony całodzienną wspinaczką sen.

Przez równiny znajdujące się pod kontrolą wroga przechodziliśmy chyłkiem, wędrując nocami. Lecz pasma górskie były w większości w rękach sojusznicznych, wiernych imamowi plemion. Toteż góry przebywaliśmy w dzień. Niebezpieczeństwo grożące nam od Migów było mniejszym złem, niż wędrówka po ciemku, nad przepaściami, w które z hukiem spadały co chwila stręcane stopą kamienie...

Wczoraj połączyliśmy się z karawaną wielbłądów taszczącą nasz sprzęt inną trasą. Cały więc dzień szliśmy razem krok w krok. My i dromadery. Niezwykłe to zwierzęta. Georges przypuszczał, że „Pan Bóg musiał być na cyku, gdy to zwierzę stworzył”. Ten, kto nazwał dromadera okrętem pustyni nie widział go, gdy obarczony jukami wspina się górską ścieżką wiodącą nad przepaścią, gdzie każdy nieostrożny krok oznacza wypróbowanie na własnej skórze prawa Newtona o grawitacji. A może ten ktoś nabawił się morskiej choroby na kołyszącym się garbie dziwoląga? Bo to zwierzę jest naprawdę dziwolągiem. „Spójrz: wyraz twarzy snobistycznej ciotki” (to znowu Georges). Oczy przymrużone, jak u czytającego gazetę astygmatyka. Zęby wystające, jak u angielskich *nurse*, które straszą w Lasku Bulońskim milionerskie dzieci. Szyja długa, wygięta, unosząca bezmyślny a jednak zamyślony łeb na dwa metry ponad poziom miękkich poduszkowatych kopyt. Kolana łyse, zrogowaciałe od ciągłego przyklęknięcia, jak u starej dewotki. Sierść brudnobezowa, skołtuniona, zwisająca strąkami po obu stronach mniej lub więcej wydatnego garbu. Dzikie odgłosy jakie to zwierzę potrafi wydobywać z siebie bez najmniejszego powodu przypominają do złudzenia ryk lwa, co ze strony zwierzęcia roślino- a właściwie badyłożernego (sądząc po jego upodobaniach) jest co najmniej uzurpacją i zarozumiałością.

Bo dromader jest zarozumiały. Może dlatego, że nigdy nie widział się w lustrze. Kroczy objuczony do granic wytrzymałości z iście królewską godnością. Wędruje nad przepaściami z miną doszczętnie znudzoną i... zupełnie nie patrzy pod stopy. Dostojęństwo błazna. Mina monarchy i garb dzwonnika z Notre Dame. Quasimodo zoologii. Okręt pustyni uprawiający wspinaczkę. Kozica górską o wdzięku hipopotama. A w dodatku... Nie! O obyczajach seksualnych wielbłąda nie będę opowiadał. To nie na moje pióro. To trzeba zobaczyć. Powiem tylko, że obserwując wielbłądzą sielankę dostaliśmy z Georges'em napadu śmiechu tak niepohamowanego, że tubylcy patrzyli na nas z przerażeniem, pokazując palcami na słońce i na głowę, wymownym ruchem dając wyraz przypuszczeniu, że obaj *nasrani* padli ofiarą udaru słonecznego.

Uff, odegrałem się za kopniaka, jakim uraczył mnie jeden z „okrętów pustyni” z powodów znanych tylko jemu samemu, zabijając we mnie rodzącą się do niego sympatię.

Tu gościnnych grot nie było. Rozbiliśmy namiot. Dwunastoosobowy namiot armii amerykańskiej, jakich tu dużo. Zamaskowaliśmy go specjalną, również amerykańską siatką, która z jednej strony udawała zieloną roślinność, a z drugiej brunatnożółte skały. Oczywiście namiot chroniliśmy od spostrzegawczości sowieckich lotników „skalistą” stroną siatki. W namiocie było ciepło. Zawieszona przy maszcie słaba żarówka oświetlała wnętrze. Było nas pięciu. W jednym skrzydle namiotu leżała sterta naszego sprzętu i broni. Naprzeciw pięć rozchylonych śpiworów zapraszało do środka. Na dworze terkotał przenośny japoński generator elektryczny, zasilający w prąd naszą żaróweczkę i radiostację, przy której Jean-Pierre,

nasz radiowiec, mruzczał monotonnie nadając setki sześciocyfrowych liczb składających się na zaszyfrowaną depeszę. Byliśmy zmęczeni. Jeden po drugim wsuwaliśmy się w śpiwory. Jeszcze było zbyt ciepło, by je zapinać. Wiedzieliśmy, że obudzimy się z zimna w nocy. Wtedy wystarczy jednym ruchem zaciągnąć zamek błyskawiczny i spać dalej. Był to conocny rytuał. W końcu Jean-Pierre przestał wypływać z siebie cyfry jak zepsuty komputer. Można było myśleć o zgaszeniu światła. Jeszcze ostatni papieros...

— Georges! Daj Camela!

Georges sięgnął ręką do plecaka, który służył mu za poduszkę, i zaczął nim szarpać. Po chwili, nie znajdując papierosów, wyciągnął z plecaka garść ciuchów, jakiś ręcznik... Z ręcznika wypadł przerażony skorpion i zaczął biegać po namiocie, oślepiiony światłem. Poszły w ruch buty i kolby karabinów... Po krótkiej chwili odnieśliśmy zwycięstwo nad jadowitym wrogiem. W śmiertelnych drgawkach próbował wbić w żelówkę leżącego na nim buta ostre żądło, z którego sączyły się kropelki oleistej trucizny. Przetrzęsaliśmy wszystkie plecaki. Zajrzeliśmy w każdy kąt. Nawet na starych wiarusach spotkanie oko w oko ze skorpionem robi wrażenie!

Zasnąłem niemal natychmiast, mimo potu, który spływał po mnie w rozchylonym śpiworze. Gdy obudziłem się, była już noc. Moja ręka już sięgała do zamka śpiwora, gdy zorientowałem się, że to nie zimno wyrwało mnie ze snu. Coś leżało mi na piersiach. Czułem rakowate łapki, czułem skorupiasty wydłużony kształt. Skorpion! — pomyślałem. Stwórz, który leżał na moich piersiach poruszał się sennie, niemrawo. Tak! Nie miałem już wątpliwości. To był skorpion. Najmniejszy ruch mógł spowodować katastrofę. Jeśli się przestraszy czego-

kolwiek, ukłuje mnie. W szyję! Widziałem kiedyś jak od ukłucia żądła puchnie noga. Takie spuchnięcie szyi groziłoby mi uduszeniem, nawet gdybym przeżył wywołaną jadem gorączkę. Co robić? Leżeć spokojnie i czekać, aż sobie pójdzie? To było by dobre wyjście, gdybym był sam. Ale w namiocie było nas pięciu i którykolwiek z moich towarzyszy mógł lada chwila się obudzić i przestraszyć skorpiona.

Powoli, ostrożnie zacząłem zbliżać stopę do nogi śpiącego obok Georges. Kilka lekkich szturchnięć, modląc się by Georges budząc się nagle nie przestraszył gwałtownym ruchem mojego nocnego ciemieżcy. Ale Georges jadł chleb z niejednego już pieca. Tylko po zmianie rytmu oddechu i ledwie wyczuwalnym sprężeniu ciała poznałem, że mój przyjaciel już nie śpi. Wiedziałem, że ręka Georges'a skrada się teraz ku pistoletowi, który towarzyszył mu nawet w śpiworze.

— Georges — szepnąłem ledwie poruszając wargami ze strachu. — Skorpion. U mnie na piersiach. Koło szyi...

Georges zaczął się powoli ode mnie odsuwać, tak że posądziałem go przez chwilę, że stchórzył. Ale nie. Wolno, ze spokojem, przygotowywał się do odsieczy. Później dowiedziałem się, że po omacku odszukał latarkę i... ręcznik. Wreszcie powolutku usiadł. Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Oślepił mnie nagły błysk i poczułem, jak cios ręcznikiem zmiotł ze mnie prześladowcę. Koledzy pobudzili się. Włączyli latarki. Zaczęło się przetrząsanie namiotu. Aż wreszcie znaleźliśmy. To nie był skorpion, lecz tutejsza stonoga! Stwór ten, wielkości kilkunastu centymetrów, przypomina ogon langusty. Składa się z dziesiątki pokrytych skorupą członów, z których każdy posiada dwie łapy. Wydziela ciecz, która po pewnym czasie piecze jak pokrzywa¹. Wstrętne to, ale ze skorpionem

nie da się porównać. Koledzy pokpiwali sobie trochę z mego strachu. Georges skomentował to na swój sposób:

— Obiektywnie rzecz biorąc, nie stało się nic, ale subiektywnie ocaliłem ci życie. W moim subiektywnym mniemaniu należy mi się butelka whisky, jak będziemy w Europie. Wypijemy ją z całą obiektywnością.

Przyznałem mu rację. Butelkę whisky, i to nie jedną, wypiliśmy kilka miesięcy później w Bejrucie, na skutek czego Georges narozrabiał tak straszliwie, że dopiero wojna palestyńska zatarła w Libanie pamięć o tym wydarzeniu. Ale to już inna historia...

Jeszcze trzy dni wysiłku. Trzy dni wspinaczek po karkołomnych ścieżkach. Trzy noce pod gwiazdami. Karawana wielbłądów odłączyła się od nas by pójść łatwiejszą, choć mniej bezpieczną trasą. Dobrze, że nie poszliśmy jej przykładem: trzeciego dnia wpadła na zmotoryzowany patrol komunistów i rozpiezchła się we wszystkich kierunkach. Tylko dwa objuczone wielbłądy dały się złapać żołnierzom „ludowej” armii. Reszta, oszalała ze strachu, zapominając o pozorowanym na co dzień dostojeństwie, uciekła w góry. Okoliczni mieszkańcy polowali na poszczególne wielbłądy całymi tygodniami, by za wysoką nagrodę oddać nam bezcenną zawartość juków: broń, amunicję, rzeczy osobiste, a zwłaszcza rozłożone na części potężne moździerze Hotchkiss-Brandt, które były naszym skarbem. Przyrząd celowniczy jednego z tych moździerzy trafił na targowisko w stolicy i tam — pod nosem służb bezpieczeństwa i sowieckich doradców — został wykupiony przez wysłannika emira Ahmeda. Nas ostrzelano w jakiejś śpiącej wsi, którą przechodziliśmy pod osłoną nocy. Długie serie z

kałasznikowa przerwały brutalnie nocną ciszę. Pociski przelatywały nad głowami ze świstem, rozbijały okoliczne skały. Skowyt rykoszetów mieszał się z wyciem wyrwanych ze snu psów. Ostrzeliwując się na chybił trafił uciekliśmy w opiekuńcze góry. Znow zapadła cisza. Powoli milknęło ujadanie psów. I tylko mój przestrzelony dwukrotnie plecak świadczył o tym, że nie był to sen.

Zbliżaliśmy się do stolicy. San'a dawało znać o swej bliskości łuną światła rozjarzających niebo nad pasmem okalających stolicę gór. Wrzała tam wojna: tu i ówdzie wybuchy pocisków czołgowych, którymi *dżimuri* hojnie okładali wrogie im góry. Gdzie indziej znow krwawe odbłaski wybuchających rakiet wystrzeliwanych z katiusz. To sowieccy „doradcy”, grali na „organach Stalina” nokturn śmierci. Zapanowało wśród nas podniecenie: wróg był blisko.

Ja tę bliskość przeżywałem silniej niż moi zachodnioeuropejscy koledzy. Dla mnie to nie był zwykły wróg, z jakim miałem już do czynienia na innych frontach walki z komunizmem. Tu byli ONI. „Rękę karaj, nie ślepy miecz” — te słowa psalmisty nieraz powracały do mnie gdy strzelałem do ślepych, otumanionych wykonawców, podczas gdy inspiratorzy, ci prawdziwi nosiciele czerwonej zarazy, siedzieli daleko — niedosiężni, bezkarni... Tu byli ONI. To Sowietci obsługiwali katiusze, to ich piloci tropili nas w pustyni i w górach, to wreszcie ich czołgiści wyróżniali się na tle jemeńskich partaczy celnym ogniem i większą brawurą. W mało znanym kraju, w wojnie, o której mało kto słyszał, po raz pierwszy od wielu lat — znow dane było Polakowi stanąć z bronią w ręku naprzeciw Armii Czerwonej. I los chciał, żebym ja właśnie był tym Polakiem. Błogosławiony los! Koledzy dziwili się, że wsłuchiwałem się w

wycie katiusz z uśmiechem i że drżały mi ręce trzymające lornetkę.

— Dajcie mu spokój — powiedział im Georges. — On tu ma swoje osobiste porachunki.

Georges znał moje myśli: tyle razy mu mówiłem dlaczego prowadzę tę „swoją” wojnę. Ale i on nie odczuwał mistycyzmu chwili. Nie wiedział, co znaczy dusząca gardło nienawiść, w której nie wiadomo co było silniejsze: polski, antyrosyjski atawizm czy świadomość absolutnego zła, w służbie którego rozlażała się po świecie czerwona zaraza.

Czerwona zaraza zabija. Zabija ciało, gdy nie może zabić ducha. Szliśmy przez spalone wioski. Sowietów stosowali tu już wtedy ludobójcze metody, które po latach obrócili przeciwko Afganom. Ich lotnictwo atakowało bezlitośnie każde skupisko ludzkie w nie podlegającej im części kraju. Skoro mężczyźni na ogół znaleźli się w szeregach powstańczych — w niszczonych rakietami i bombami wioskach ginęły kobiety i dzieci. Płonęły skromne zbiory podpalane napalmem, ginęły stada bydła i baranów masakrowane z rozmysłem przez sowieckich pilotów. Ta wojna przeciw bezbronnym nie była objawem szczególnego sadyzmu czy zezwierżenia „doradców”: były to zimno, planowane w Moskwie zasady prowadzenia walki, mające potrójny cel. Po pierwsze, wygłodzić i zastraszyć ludność. Zagrozić ogniem i zarazą. Przerazić trupim zapachem ciągnącym od pól, od makabrycznej stołówki sępów, które, spalone i ocieężałe, nie nadążały w spełnianiu swej roli grabarzy. Inną korzyścią, płynącą z tych barbarzyńskich metod, było sianie nienawiści. Jasne było bowiem, że górale za spalone wioski, za zabite i pokaleczone dzieci mścili się na każdym złapanym *dżimu-*

ri. Mścili się nieraz okrutnie. To z kolei rodziło nienawiść i kopało przepaść między dwoma odłamami społeczeństwa jemeńskiego i miało zapobiec próbom pojednania się sowieckim kosztem: *divide et impera*. Po trzecie wreszcie, dymiące pogorzeliska i kalekie dzieci miały być ostrzeżeniem dla wahaających się plemion: patrzcie co czeka wasze rodziny jeśli stawicie nam opór!

W załomach skalnych i w grotach okolicznych gór ciasno było od kryjącej się ludności. Mnóstwo rannych: odłamki artyleryjskich pocisków i zrzucone z samolotów miny nie wybierały ofiar. Z dala od frontu, w bezpiecznej grocie znajdowała się placówka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Dla równowagi — podobna placówka działała u czerwonych w stolicy. Obie były prowadzone przez szwajcarskich lekarzy, którzy zaslaniając się tym, że mają udzielać pomocy tylko ludności cywilnej, nie zbliżali się do frontu. A donieść rannych do ich groty, pod obstrzałem, w górach, było prawie niemożliwością. Toteż ranni umierali bez pomocy lekarskiej. Nie było ani lekarstw, ani opatrunków. Nic więc dziwnego, że leczenie rannych przypadło nam w udziale. W pokojowych czasach Jemeńczycy znali europejskich lekarzy, których kilku pracowało w okolicy. Dla nich każdy Europejczyk był lekarzem. Zwracali się więc ufnie o pomoc, przynosząc nam dzieci, przyprowadzając kobiety. Szybko wyczerpały się zapasy naszej apteczki polowej. Czerwony Krzyż odmawiał wydania lekarstw, choć chodziły słuchy, że za złote suwereny można było u Szwajcarów dużo kupić. Niemalże groźbą użycia broni udało mi się zdobyć u nich pokaźne ilości opatrunków, antybiotyków i środków dezynfekcyjnych. Żaden z nas nie był sanitariuszem, choć

niektórzy mieli niezłą praktykę w udzielaniu pierwszej pomocy. Szyliśmy więc rany, zestawialiśmy złamane kończyny. Jemeńczycy są niesłuchanie zahartowani. Duża śmiertelność dzieci gwarantuje — dzięki selekcji naturalnej — odporność tych, którzy wyżyją. Nie przyzwyczajeni do antybiotyków, reagują na nie świetnie. Toteż odnosiliśmy niezłe sukcesy w walce ze śmiertelnością. Nie było to łatwe: być chirurgiem nie będąc lekarzem, stawiać diagnozę, ryzykować. Ale wszystko to było lepsze niż bezczynność.

Raz przyszedł do mnie powstaniec, któremu odłamek pocisku ugrzązł w kości skroniowej tuż obok prawego oka. Rana miała już kilka dni i była silnie zaropiała. Zardzewiałe żelastwo groziło skaleczeniem gałki ocznej. Oczyszcilem ranę i wyjąłem odłamek przy pomocy kleszczy znalezionych w narzędziach samochodowych. Wypłynęło oko. Zrobiło mi się słabo i ugięły się pode mną kolana. Odciągając krwawe powieki udało mi się wepchnąć gałkę oczną z powrotem w jamę, z której płynęła krew i łyzy. Ostatnim wysiłkiem woli założyłem opatrunek i dałem zastrzyk penicyliny. Byłem przekonany, że po moim „zabiegu” Jemeńczyk straci wzrok w prawym oku. Zapaliłem papierosa i po raz pierwszy od przybycia do Jemenu zatęskniłem za szklanką whisky. Po pół roku spotkałem mego pacjenta. Patrzył na mnie obydwoma oczyma i ku mojemu zdumieniu nawet nie miał zeza!

Zarówno kobiety jak i dzieci zносиły i rany, i bolesne nieraz zabiegi ze stoickim spokojem i niezwykłą, wzruszającą ufnością. Patrząc z bliska na te liczne, niewinne ofiary sowieckich „naukowych” metod prowadzenia wojny z dumnym i walczącym o swą duszę narodem, czuliśmy jak wzbiera w nas zimna nienawiść. Nienawiść, którą wkrótce będziemy mogli

wyładować.

-
1. *Skolopendra* — Parecznik. Jadowity stawonóg. Ukąszenia niektórych gatunków są równie niebezpieczne jak skorpiona. Ale w moim wypadku groziło mi najwyżej bolesne swędzenie przez dwa tygodnie. W Jemenie nie ma śmiertelnych odmian *skolopender*.

O ŁOWCACH CZOŁGÓW I SOWIECKIM CUDZIE

Od tygodnia już uczyłem jemeńskich wojowników posługiwania się „nowoczesną” bronią. Broń ta była nowoczesna tylko w jemeńskim kontekście: nie były to ani samonaprowadzające się rakiety, ani sterowane radarem działa. Ale w tym kraju nawet bazooka była czymś niezwykłym. A właśnie chodziło o to, by wojownikom imama umożliwić skuteczną obronę przeciwczołgową, by mogli wreszcie stawiać skuteczny opór nie tylko w górach, by mogli również bronić dolin i przełęczy.

Major Martin — pod pretekstem, że byłem kiedyś nauczycielem w gimnazjum — mianował mnie instruktorem Jemeńczyków, osładzając tę gorzką pigułkę szumnym tytułem komendanta szkoły wojskowej. Major Martin chciał, żebym z Jemeńczyków zrobił dobrych łowców czołgów. Emir Mohamed — wychowanek brytyjskiej akademii wojskowej, żądał bym wprowadził odrobinę dyscypliny. O ile Jemeńczycy, urodzeni wojownicy, szybko pojmowali wszystko co dotyczyło sztuki wojennej, o tyle z dyscypliną było znacznie trudniej.

Nasza „armia” miała niewielką ilość broni przeciwpancernej. Jeszcze gorzej było z amunicją. Toteż nie mogłem sobie pozwolić na to, by każdy z moich uczniów choć raz wypróbował praktycznie teorię, którą starałem się przekazać za pośred-

nictwem tłumacza, lub moim nieudolnym arabskim. Próbnym strzał z bazooki czy działa bez- odrzutowego przyznawałem w nagrodę tym, którzy najsprawniej obchodzili się z bronią, najlepiej pojęli teorię. Po tygodniu wyselekcjonowałem piętnastu „specjalistów”. Ze względu na oszczędność amunicji egzamin mieli zdać w walce.

Wycie silnika i zgrzyt gąsienic na skalnym podłożu potęgował z każdą chwilą. Poczułem skurcz żołądka i zaczęły mi się pocić dłonie. Znałem te objawy. Nazywałem to zdenerwowaniem nie chcąc się przyznać przed samym sobą, że jest to zwykły strach. Napięcie rosło wraz z hałasem zbliżającego się potwora. Jak zwykle w takich chwilach trzeba opanować się i nie myśleć o niczym innym jak o skuteczności działania. Spojrzałem na moich jemeńskich uczniów. Trzy pary oczu wpatrzone we mnie. Leżeliśmy za skalnym załomem daleko w głębi terenu wroga, na przełęczy, przez którą czołgi dostawały się w pobliże „naszych” gór, by je okładać lawiną pocisków. Nocna wycieczka „egzaminacyjna” miała właśnie na celu upolowanie jednego z nich. Jeśli mi się uda — moi uczniowie nabiorą wiary w skuteczność swego uzbrojenia i będą stanowić poważne zagrożenie dla wroga. Jeśli zginę nie zniszczywszy czołgu — wówczas mocno zakorzeniony strach przed czołgami wzrośnie. Mieliśmy tylko jedną bazookę i tylko jeden pocisk. I tak, w razie chybienia, nie byłoby czasu na drugi strzał.

Pięć godzin marszu pod osłoną nocy. Pięć godzin wspinaczki i skradania się wśród rozrywających się pocisków wystrzeliwanych na ślepo: przeciwnik nie szczędził amunicji. Było to wczoraj. Noc spędziliśmy w załomie skalnym. Bez

rezultatu. Przejechała kolumna nieprzyjaciela: trzy czołgi i ciężarówka wioząca piechotę. Nie zaatakowaliśmy: przeciwko takiej sile nie mieliśmy szans. Czekaliśmy na pojedynczy czołg. Daremnie. Przesiedzieliśmy cały dzień, obserwując ruch na przełęczy. Raz jadący ciężarówką żołnierze poczęstowali ogniem nasz załom. Myślałem, że zostaliśmy wykryci. Ale był to fałszywy alarm: wracający z placówki do miasta *dżimuri* strzelali tak sobie: z radości, na wiwat.

Doczekaliśmy się zmierzchu, a później nocy. Teraz nadjeżdżał z hukiem, łomotem i zgrzytem T-54. Pojedynczy. Opanowałem instynktowny strach. Zwyciężyła rutyna. Wsunąłem pocisk do rury bazooki, podłączyłem przewód elektryczny. Jemeńczycy, na mój rozkaz, ustawili sowiecki, zdobyczny erkaem. Rzecz zdawała by się prosta: strzelić w czołg i wiać. Ale strzał, nawet celny, niekoniecznie neutralizował załogę i jej broń — działo, karabin maszynowy i miotacze granatów. Czołg wynurzył się z ciemności. Czarna, groźna sylwetka na tle ciemnogramatowego nieba. Dla sowieckiej załogi (tylko Sowietci poruszają się nocą) była to rutyna. Nikt nigdy nie zaatakował ich na ich własnym terenie. Czarna masa żelastwa przetoczyła się przez przełęcz. Kiedy czołg przejeżdżając o pięćdziesiąt metrów od naszej kryjówki nastawił nam flank — dałem ognia. Rura bazooki wyrzuciła wstecz dwumetrowy płomień, który rozjaśnił najbliższą okolicę zdradzając tym samym nasze stanowisko. W sekundę później drugi błysk: pocisk uderzył. Czołg stanął. Drgnął jeszcze i zamarł. Chwila ciszy i wybuch. Płomienie zaczęły lizać boki unieruchomionego potwora. Uciekającą załogę ścierała seria z erkaemu wystrzelona przez moich jemeńskich towarzyszy. Trzeba było wiać w góry.



Lekcja posługiwania się „nowoczesną” bronią



Skutki nauki — upolowany czołg sowiecki

W trzy dni później z inną trójką i w innym miejscu nie udało się. Pocisk rozwalił gąsienicę, ale nie zniszczył czołgu. Musieliśmy uciekać pod nawałem ognia. Zginął jeden z moich Jemeńczyków. Ja wyszedłem cało, choć posiniaczony od upadków w skałach. Po godzinie góry zajaśniały łuną. Jak się dowiedzieliśmy później, czołg podpalili z własnej inicjatywy mieszkańcy pobliskiej wioski, gdy załoga opuściła go, by pójść po pomoc. Przypuszczalnie mieli uszkodzone radio. Nie wątpię, znając sowieckie zwyczaje, że owych czołgistów rozstrzelano za opuszczenie maszyny.

Trzeci czołg rozwaliłem niedługo później. Wówczas już trudno było zrobić zasadzkę. Nauczeni doświadczeniem Sowieci przestali jeździć nocami, a w dzień poruszali się tylko pod osłoną piechoty. Jednakże moi „łowcy czołgów” rozeszli się po całym Jemenie i długo jeszcze dochodziły do mnie echa ich wyczynów. Już po niedługim czasie pancierz nigdzie nie gwarantował Sowietom bezkarności, do jakiej przywykli. Płacili teraz śmiercią za udział w najeździe na ten wolny kraj. Byłem dumny, że się do tego przyczyniłem. Przeżywałem okres euforii: nareszcie ONI ginęli z ręki Polaka. Bo, z właściwym sobie brakiem skromności skuteczne działania moich uczniów uważałem za swój osobisty sukces.

Z naszej strony góra wznosiła się stromo. Od strony nieprzyjaciela wręcz pionowo. Z naszej strony można było wspiąć się z wysiłkiem na szczyt. Ze strony przeciwnej byłby to wyczyn alpinistyczny. Toteż góra była „nasza”. Na jej szczycie mieliśmy placówkę obserwacyjną, która donosiła nam przy pomocy *walkie-talkie* o wszystkich ruchach nieprzyjaciela na „jego” rozległej równinie, rozciągającej się aż po horyzont.

„Nasza” góra pilnowała, by wróg nie wdarł się na nasze pozycje. Nieprzyjaciół „swej” góry nie miał. Toteż ustawił naprzeciw trzy czołgi, których zadaniem było strzeżenie wylotu obu przełęczy, którymi po obu stronach góry mogła się wysypać nasza ofensywa. Czołgi stały dzień i noc dodając sobie otuchy strzelaniem w „naszą” górę z dział. Były oddalone o dwa kilometry od podnóża stoku.

René kompletnie zwariował, odkąd w jednej z grot służących jako magazyn zaopatrzeniowy odkrył amerykańskie działo bezodrzutowe kaliber 105. Dwanaście naboju do tego działa znalazł już wcześniej. Działo nie posiadało ani celownika, ani podstawy. Ale René uparł się, że zapoluje na czołg. Co prawda czołgi były poza zasięgiem działa, ale René chytrze zauważył, że jeśli wystrzeli ze szczytu „naszej” góry, to kilkusetmetrowa różnica poziomów będzie grała na naszą korzyść. Był niezwykle przekonujący, a poza tym był dowódcą. Trudno było w tych warunkach dyskutować. Zaczęliśmy żmudną wędrówkę na szczyt. Na szczęście działo i amunicję windowali pod górę jemeńscy żołnierze. Było duszne popołudnie, gdy wdrapaliśmy się na wierzchołek...

Działo zostało umocowane na trójnogu od dalmierza. Umocowana taśmą izolacyjną lorneta polowa udawała celownik. Kąt podniesienia wskazywał na zwykłym szkolnym kątomierzu pion zrobiony ze sznurka i wiszącego na nim naboju do pistoletu. Takiej „konstrukcji” nie znała żadna artyleria świata. Ale René był dumny ze swego dzieła. Jak zwykle wyznaczył mnie na obserwatora. Dał mi instrukcje:

— Po strzale obserwuj miejsce wybuchu i bacz pilnie na czołgi. Gdy któryś strzeli, ty nas ostrzeżesz, a my przycupniemy za skalnym parapetem.

Rzeczywiście, od strony wroga głązy tworzyły coś w rodzaju murku prawie metrowej wysokości, za którym można było się schować. Wylazłem na najwyższą skałę, położyłem się na niej z lornetką w rękę.

— Jestem gotów — zameldowałem.

René skończył ustawianie przedziwnej konstrukcji z drutów i taśmy klejącej. Wprowadził nabój i dał mi znać ręką. Huknęło, smuga ognia spaliła trawę na kilku metrach za działem. Po chwili wybuch.

— Długi trzysta, w kierunku — donoszę.

I nagle widzę błysk z lufy działa sowieckiego czołgu.

— Kryj się! Wrzeszczę na całe gardło.

Dzielne wojsko dało nura za skałę. Wybuch w skałę poniżej nas. Czołgista strzelił „krótko sto, w kierunku”. I nic. Ekipa wylazła zza murku i ustawia przewrócone działo. Bo choć „bezodrzutowe”, to miało odrzut wystarczający, by za każdym razem spadać z namiastki podstawy. I nic. Cisza. René daje sygnał. Huk. Wybuch.

— Sto krótki, w kierunku — melduję z niemałym podziwem.

I błysk z lufy T-54.

— Kryj się!

Pocisk przeleciał nam nad głowami ponuro wyjąc i wrył się w skałę za nami. Nie wiadomo dla jakiej przyczyny Sowieciarze używali, na nasze szczęście, pocisków przeciwpancernych. René macha do mnie ręką. Wystrzał i wybuch naszego pocisku dokładnie między dwoma czołgami.

— W celu, dalej tak samo — melduję.

Błysk w dolinie i... huk tuż przy nas, między skałą, na której leżałem, a murkiem, za którym kryła się ekipa. Sowiecki

pocisk uderzył prosto... w lufę naszego działa. Działo przeleciało kilkanaście metrów do tyłu. Nie było czego zbierać. Onie mieliśmy ze zdumienia, a w chwilę później tarzaliśmy się po ziemi w nieopanowanym śmiechu.

— Nie opowiadajcie tego nikomu, bo nikt w to i tak nie uwierzy — powiedział René.

I rzeczywiście. Szansa wcelowania na odległość kilku kilometrów w lufę naszego działa była nieporównywalnie mniejsza niż szansa na znalezienie przysłowiowej igły w stogu siana.

— A jednak szkoda — powiedział René — jeszcze chwila, a byłbym jednego miał.

Nasze straty: wybrakowane działo, dobra lornetka polowa, daremna wspinaczka i pół dnia zmarnowanego niepotrzebnie. Niepotrzebnie? Dzięki uporowi René widzieliśmy „artyleryjski cud”. Tym razem los był po stronie Sowietów.

HOTCHIKSS-BRANDT ¹

I PUŁKOWNIK KOZŁÓW

Na wysokości blisko 2.000 metrów nad poziomem morza, otoczona wieńcem płaskoszczytych gór, rozciąga się obszerna, spalona słońcem równina. Rzadko rozsiane kępki żółtej trawy nie przysłaniają brudnoszarej ziemi, wysuszonej i spękanej. Każdy podmuch wiatru wzniesie tu tumany kurzu, który opadając pokrywa resztki anemicznej roślinności. Ni to step, ni pustynia. Żółtoszarą płaszczyznę przecina główny szlak kupiecki, ciągnący się od Adenu aż do Arabii Saudyjskiej. Pośrodku równiny — otoczona wiekowym murem obronnym koloru terakoty — wznosi się stolica Jemenu: San'a — jak wszystkie grody obronne — zwarte w sobie, ciasne. Poza murami, wkoło pustka. I tylko przy drodze wiodącej na zachód, do portowego miasta Al-Hudaj, dymią kominy elektrowni, której dieslowskie generatory zasilają miasto w prąd elektryczny. Na północ od miasta biegnie skosem pojedynczy pas startowy lotniska. Miasto rozsiadło się w jedynym na całej równinie miejscu, gdzie pod grubą warstwą zeskorupiałej ziemi zbierała się woda. Toteż od wieków tu właśnie zatrzymywały się karawany kupców ciągnących do Dżidda i At-Ta'ifu oraz pielgrzymi udający się do świętej Mekki.

Teraz miasto znajdowało się prawie w stanie oblężenia:

drogę na południe, do Adenu, obsiedli rojaliści tak gęsto, że czerwoni zrezygnowali od dawna z wszelkich prób przebicia się w tym kierunku. Na północ, władza ich kończyła się zaledwie kilkanaście kilometrów za lotniskiem. Tylko droga na zachód, do portu Al-Hudajda, stała jeszcze otworem i wtedy płynęło całe zaopatrzenie miasta. Góry wokół były nasze. Tylko ponury poturecki fort na szczycie Dżebel el Nogum² był obsadzony przez czerwonych i bronił miasta z kierunku wschodniego. Nogum był dla nas nieosiągalny, gdyż jedyna droga na spadzistą zewsząd górę wiodła ze stolicy leżącej u jej podnóża. Jedyna to góra w rękach wojsk reżimowych, jedyna też, która dotyka niemal miasta. Niegdyś Turcy zbudowali na niej fortecę, dzięki czemu panowali nad miastem. Mając stolicę za zakładnika, narzucili swą władzę całemu krajowi. Och! Gdyby można zająć Nogum!

Jak się nie ma co się lubi... W naszych rękach znajdowało się pasmo gór Beni Matar, zamieszkałe przez góralskie plemię o tej samej nazwie³. Górale Beni Matar już dawno opuścili swe wioski przyklejone do gór jak jaskółcze gniazda do okapu chłopskiej chałupy. Nigdy, nawet wtedy, gdy stutysięczna armia egipska roznosiła po całym kraju czerwoną zarazę, Beni Matar nie zdradzili króla. Z zemsty, sowieccy piloci zniszczyli wsie rakietami. Górale opuścili spalone domy, ale gór nie oddali wrogowi. Pozostali wolni. Nawet teraz ich wsie, choć spalone, zachowały malowniczość. Mieszkańcy żyli w grotach, których tu nie brakuje. Większość znalazła schronienie pod Dżebel Tahir. Wielka, płaska u góry, ponad stumetrowa skała zwisała nad wąwozem ogromnym okapem tworzącym bezpieczny schron dla kobiet, dzieci i rannych. Mężczyźni pilnowali przełęczy.

Strome, o płaskich szczytach, góry Beni Mater przecinało kilka głębokich wąwozów. Góry podmyte przez strumienie, zwisały w wielu miejscach ciężkim nawisem nad czeluściami wąwozów. Toteż lotnicy, nawet świetni sowieccy piloci, nie mogli zadać nam poważnych ciosów. Właśnie w jednym z takich wąwozów przeciętych strumieniem René zainstalował moździerz. W grocie obok urządziliśmy sobie legowisko: René, Jacques i ja. Dżebel el Houar oddzielał nas od równiny, na której leżała stolica i hasały wrogie patrole. Gdy wspiałem się na el Houar, wiedziony przez szejka Ahmeda z plemienia Beni Matar, oniemiałem z wrażenia. Cała dolina ścieliła się u mych stóp, a pośrodku — olbrzymi brudnożółty tort zdobny w wieżyczki minaretów: San'a. Widok jak z lotu ptaka. Mój wzrok sięgał za mury miasta, rozróżniał zarys ulic i alej, szejek Ahmed wskazywał mi poszczególne budynki: „To jest siedziba rządu, a tamto partii — mówił łamaną angielszczyzną. — A to aleja ambasad, gdzie mieszczą się przedstawicielstwa państw, które uznały reżim. Ze Związkiem Sowieckim na czele”.

Na ustach René pojawił się drapieżny uśmiech, gdy zdałem mu sprawę. Było to dwa tygodnie temu. Na skutek mych obserwacji zapadła decyzja przeniesienia naszego moździerza w wąwozy Beni Matar i ustawienia go za górą Houar. Stąd miał razić miasto, miał nam zastąpić brakujące lotnictwo i pokazać wrogowi, że nie może czuć się bezpiecznie nawet wśród murów stolicy. Według mych obliczeń zasięg naszego moździerza obejmował trzy czwarte powierzchni miasta, wraz z częścią pasa startowego lotniska. Punkt obserwacyjny na el Houar dawał taką możliwość kierowania ogniem, o jakiej nie marzył żaden artylerzysta.

Wejść na Džebel el Houar nie było łatwo. Ścieżka była wręcz karkołomna. Oczywiście nie miało to nic wspólnego ze sportową wspinaczką. Półtorametrowy dalmierz na plecach, karabin, pistolet i manierka z wodą nie pozwalały na swobodę ruchów. Kłamię głównie karabin: był zbyt ciężki. Przy pasie miałem pistolet dla własnej obrony. Ale w Jemenie mężczyzna bez karabinu nie zasługiwał na szacunek. Toteż włożyliśmy się wszędzie z karabinami. Były to świetne karabiny szturmowe „Hoeckler und Koch” produkcji niemieckiej i budziły powszechny podziw. Ale przy górskich wycieczkach stawały się z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej uciążliwe. A szejk Ahmed, dźwigający trójnog do dalmierza i własnego kałasznikowa, mimo podeszłego wieku nadawał piekielne tempo. Skakał boso po ostrych kamieniach jak kozica i mnie, młodemu, byłoby wstyd, gdybym nie nadążył. Przynajmniej tak było na początku. Kilka dni później stary szejk kupił sobie buty. Od tej pory nadążałem za nim łatwo.

W połowie mniej więcej drogi na szczyt, wijąca się serpentyną ścieżka okrążała górę od strony równiny, od strony wroga. Ten odcinek był ostrzeliwany przez sowieckie czołgi. Pięć kilometrów od le Houar równina była urozmaicona kilkoma niewysokimi skałami. Tam, dniem i nocą, stało od trzech do sześciu czołgów, które pukały z dział w stronę naszych gór. Skracali sobie czas? Dodawali odwagi? Nie wiem. To pukanie w góry było z punktu widzenia wojskowego marnowaniem amunicji. A może musieli wyrobić normę? Udowodnić przy pomocy huku żołnierską czujność? Nawet nie mieli tej satysfakcji, że mi strasznie przeszkadzali, bo wiedzieć o tym nie mogli: nie widzieli nas.

Na kilkuset metrach górskiej ścieżki uszy bolały od huku

rozrywających się pocisków. Odłamki gwizdały nad głową, a pod nogi spadały kamienie wyrwane wybuchem. Od czasu do czasu z góry staczał się wytrącony z wiekowej równowagi gład i powodował lawinę, która przecinała nam drogę. Czasem przed nosem wyskakiwał gejzer płomieni i dusił nas dym: to Sowietarz, nie wiadomo dlaczego, rąbnął pociskiem zapalającym. Szejk Ahmed mówił: *incz Allah* i parł naprzód, a ja za nim, pocieszając się tylko tym, że jeśli oberwę, to te dranie nie będą nawet o tym wiedzieć. Ile razy potem musiałem przebyć tę trasę pod ostrzałem... Charakterystyczna skała z czerwonego porfiru była kresem niebezpiecznego odcinka. Później trzeba się było jeszcze nagimnastykować by znaleźć się na szczycie. Ale — co za frajda! Dalmierz na trójnogu. Kontakt radiowy z René. Kierunek. Odległość. Stęknienie wystrzału w wąwozie. Obłoczek dodatkowej rakiety odpalonej, gdy pocisk hotchikissa był w apogeum i w chwilę później wybuch. Radio: „Krótki trzysta, lewo siedem” — stęknienie i wybuch, tym razem tuż przy sowieckich czołgach.

— W celu! — Krzyczę w radio.

Cztery stęknienia raz po raz za plecami. Cztery obłoczki. Cztery wybuchy. Między czołgami. Potwory stalowe drgnęły i ruszyły się. Więcej! Jeszcze cztery pociski. Jeden z czołgów napatoczył się wprost na miejsce wybuchu. Ogłuszyło to chyba załogę, bo po przebyciu jeszcze kilku metrów wjechał na skałę. Jeszcze parę metrów i zawisnął nad skalnym załomem, przechylił się i runął bokiem. Trzy inne zwały nie czekając reszty. Z leżącego czołgu wypływało paliwo i wsiąkało w piach. Zapadał zmierzch, musiałem wracać w dół do kolegów. Na drugi dzień wieżyczka leżącego czołgu była otwarta. Czy załoga wyszła sama, czy też pod osłoną nocy przyszła ekipa ratow-

nicza? Nie wiem. Czołg pozostał już tak, jak leżał. Nie mówiłem, że frajda?

Pozbywszy się niemiłego sąsiedztwa przeszedłem do rzeczy zasadniczych. Pomiar. Radio. Cel: Dom Partii. Cztery pociski na wstrzelenie się i... w celu — melduję. René dowala serię dwunastu pocisków z różnym opóźnieniem zapalnika. Pierwsze rozerwały się na poddaszu, następne na piętrach. Obserwowałem przez silną lornetę jak z budynku wylatywały okna, w kłębach dymu rozbłyskiwały wybuchy. Z okien wyskakiwali partyjniacy i ludzie w mundurach. Sowieckich. Frajda!

Na drugi dzień szalały Migi. Miotwały rakietami po wąwozach. Ostrzeliwały skały z działek pokładowych. Latały trójkami: dwa pilotowane przez Sowietarzy i jeden przez Jemeńczyka. Poznać można było po klasie! Sowieccy piloci wysłani do Jemenu jako instruktorzy byli świetni. Ich akrobacje w trudnym górskim terenie obserwowałem z nie słabnącym podziwem. Broni przeciwlotniczej nie mieliśmy żadnej — więc tylko, niestety, obserwowałem.

Kiedy odlecieli — znów wspinaczka na Džebel el Houar. Dom Partii dopalał się jeszcze: z okien i dziur w dachu wypływały kłęby dymu.

Znów namiar dalmierzem, krótkie obliczenie kąta w porównaniu z wczorajszym kierunkiem i rozmowa z René — będziemy tłuc w siedzibę rządu. Hierarchia zachowana: najpierw partia, później rząd. Tu moja rola była trudniejsza. Za budynkiem rządowym zabytkowy meczet ostrzegawczo wyciągający palec minaretu w niebo. Książę Mohamet po rozmowach z naczelnym mułłą San'y zdecydował wprawdzie, że gwoli świętej sprawy zwycięstwa nad bezbożnikami meczet można uszkodzić, ale prosił nas bardzo o zrobienie wszystkie-

go co można, by tego uniknąć. Toteż wstrzeliwać się trzeba było od przodu, dbając o to by nie przenieść. W gwarze wojсковой nazywa się to „wstrzeliwaniem przez krótkie”. Normalnie po pierwszym strzale krótkim daje się przesadnie długi, a później bierze się średnią. Miejsca wybuchów, łatwo widoczne dla obserwatora, pozwalają na dość bezbłędne obliczenie trzeciego strzału. Strzelanie „przez krótkie” takich możliwości nie daje. Toteż siedziba rządu oberwała za piątym strzałem. Cztery były „krótkie”, ale nie wszystkie były przez to zmarnowane: pierwszy pocisk rozwalił przypadkowo ciężarówkę pełną wojska, a trzeci posterunek milicji. Siedziba rządu rozleciała się po dziesięciu strzałach. Zatrzymałem ogień. Szkoda było amunicji. Jeszcze daleko było do zmierzchu. Zaproponowałem René bombardowanie koszar. Miał już niewiele pocisków, ale koszary „pionierów rewolucji” stłukliśmy dokumentnie.

Czekaliśmy na dostawę amunicji. Zabijaliśmy czas opatrywaniem rannych Jemeńczyków i leczeniem ludności. Ze wszystkich wózków Beni Matar zwracano się do nas o pomoc. Lekko rannych przyprowadzano nam na opatrunki. Wzywano nas do rannych nie nadających się do transportu. Sowieccy piloci zbombardowali targowisko w jednej z dolin, mimo że nie było tam ani jednego mężczyzny. Same kobiety i dzieci. Ufność, jaką Jemeńczycy pokładali w naszej wiedzy, była wzruszająca. Robiliśmy co było w takich warunkach możliwe, choć nie było między nami ani jednego lekarza. Podziwialiśmy hart Jemeńczyków, nawet małych dzieci. Hart i niezwykłą odporność na ból. A przy tym przerażenie nas ogarniało na widok niesłychanego wprost braku higieny osobistej. Oni się

nigdy nie myją! Nigdy! Mimo tego, dzięki penicylinie, rany goiły się nad podziw dobrze. Trudniej nam było leczyć choroby wewnętrzne, których również nie brakowało.

Codziennie w towarzystwie szejka Ahmeda wdrapywałem się na górę el Houar. Obliczałem na zapas współrzędne przyszłych celów bombardowania. Wieczorami kolacja: baranina, *cza'aj* i papieros. I długie rozmowy z przyjaciółmi. Czasem partia szachów z René, który — od kiedy wyczytał, że w sowieckich akademiach wojskowych szachy są obowiązkowe — nauczył się zupełnie nieźle grać. Nie byliśmy jednak na wcześniejszych: wśród rozmów dominowała tematyka wojenna. Jak dokuczyć wrogom. Wspaniałe rezultaty osiągnięte przez nasz mózdzierz napawały nas optymizmem. Mogliśmy zdezorganizować życie w stolicy, mogliśmy uniemożliwić wrogowi korzystanie z lotniska. Byle była amunicja! Ale czerwoni sprowadzali zaopatrzenie drogą z zachodu, z portu Al-Hudajda nad Morzem Czerwonym. Drogi do Al-Hudajdy mózdzierzem zamknąć się nie dało. Powoli w wieczornych rozmowach dojrzewała w nas myśl: trzeba uniemożliwić transport drogowy!

Książę Mohammed dał się przekonać. Przydzielił nam kilkuset wojowników i powierzył René dowództwo. Sprawa wydawała się prosta: dwanaście kilometrów na zachód droga wiodła przez most nad niewielkim wąwozem. Należało most ów wysadzić, a góry po obu stronach góry obsadzić wojownikami. Ich zadaniem miałyby być niedopuszczenie do odbudowy mostu.

Zamknięcie drogi Al-Hudajda — San'a mogło spowodować przełom w całej wojnie. Stolica odcięta, bez zaopatrzenia, nie mogła się długo bronić.

Otrzymaliśmy transport amunicji do moździerza. Tegoż dnia o zmierzchu zniszczyliśmy miejską elektrownię. W stolicy na moment zapanowała ciemność. Później generatory elektryczne warsztatów i fabryczek zarekwirowane przez władze, zaopatrywały w prąd budynki urzędowe. Następnego dnia René otrzymał zgodę emira na zaatakowanie ambasady sowieckiej i egipskiej. Z dziką radością kierowałem ogniem. Ambasadę sowiecką zniszczyliśmy do fundamentów. Nie przerwałem ognia nawet wtedy, gdy wedle wszelkiej logiki nasze strzały nie były potrzebne. Bałem się, że może przece-
niam zniszczenie, że może jeszcze coś zostało z tego gniazda szerszeni. Egipską ambasadę otoczyłem już mniejszą troską. Przy okazji oberwały inne przedstawicielstwa, jako że mieściły się przy tej samej alei. Wieczorem we francuskim dzienniku radiowym usłyszeliśmy wiadomość, która wprawiła nas w doskonały humor: ...,„ze względu na bezpieczeństwo persone-
lu, przedstawicielstwa dyplomatyczne ewakuowały się ze stoli-
cy”. Zniszczenie sowieckiej ambasady w San’ie uważam za osobisty sukces. Egipska cieszyła mnie już mniej. Natomiast to, że inne ambasady oberwały „przy okazji” uznaję za sprawiedliwe: po co było z takim pośpiechem uznawać komunistycz-
ny, narzucony przez obcą armię reżim? Powiedzmy, że był to tylko rozrzut...

„Przeciąć drogę na Al-Hudajdę!” Plan René był słuszny. Dzięki moździerzowi mogliśmy atakować stolicę, wznecając w niej popłoch i poczucie niebezpieczeństwa. Szpieczy księcia donosili nam o skutkach bombardowania, wskazywali nowe cele. Maksymalny zasięg hotchkissa pozwalał na pokrycie ogniem znacznej części pasa startowego lotniska. Część poza

zasięgiem wystarczała na lądowanie mniejszych samolotów i na to nie mieliśmy wpływu. Ale wielkie transportowce typu Antonow potrzebowały całej długości pasa. Toteż wystarczyło obserwować lądowanie „antosia” i rąbnąć pocisk w odpowiedniej chwili. Jeden „antoś” został tak poważnie uszkodzony, że stoczono go z pasa na pobocze i tak już pozostał służąc mi zresztą za wskazówkę przy gorszej widoczności i... obrywał przy każdym strzelaniu. Antonowy przestały przylatywać. Jedyną łączność stolicy z resztą świata zapewniała droga na Al-Hudajdę.

Sowieciarze i ich jemeńscy uczniowie pilnowali tej drogi jak oka w głowie. Przynajmniej od strony stolicy. Ciągłe kontrolowały ją patrole piechoty i czołgów. W skałach nad drogą nieprzyjaciel pobudował gniazda karabinów maszynowych. I tak było na dziesiątkach kilometrów. Im bliżej Al-Hudajdy, tym kontrola była słabsza. Tu wróg czuł się pewniej, jako że plemiona zamieszkujące wybrzeże najczęściej z nim współpracowały. Tu zamieszkiwała ludność pochodzenia koptyjskiego i etiopskiego, która była elementem obcym. Mężczyźni od dawna nie nosili tu broni. Dla jemeńskiego górala był to niechybny dowód podłości gatunku.

Gdy na radzie książęcej dyskutowano jak przeciąć dostawy do stolicy drogą z Al-Hudajdy — emir Mohammed wysłał mnie z szejkiem Ahmedem na spotkanie delegacji jednego z plemion żyjących na zachód od San'y. Plemię to — dotychczas neutralne — zgłosiło swój akces do wojsk rojalistycznych. Nasze sukcesy wojenne skłaniały coraz to inne plemiona do zajęcia wyraźnego stanowiska po naszej stronie. Wśród trzydziestoosobowej delegacji plemienia zastałem starego znajomego, szejka Harbatasza. To on najwyraźniej namówił ludzi

do przejścia na naszą stronę. Przyprowadziłem delegację do emira. Mohammed przyjął ją świetnie, dał po garści złota i kazał wydać broń. Szejka Harbatasza zaprosił do udziału w radzie. René opowiedział nam później, że księżę zaakceptował propozycję szejka Harbatasza, którą zresztą René poparł gorąco.



*Autor w imieniu Emira przyjmuje delegację
plemienia przyłączającego się do rojalistów*

Plan Harbatasza polegał na tym, by wąwozami, poprzez góry, wydostać się na drogę Al-Hudajda — San'a, czterdzieści kilometrów na zachód od stolicy. Tam wróg, nie wiedząc, że miejscowe plemię już go zdradziło — nie pilnował drogi zbyt czujnie. Tam też znajdował się jeden z „najczulszych” punktów na całej trasie: betonowy wiadukt nad wąwozem.

Owe czterdzieści kilometrów wydłużało się do ponad stu, gdy zamiast drogą szło się przez górskie wąwozy. Tu nie sposób było używać samochodów.

Ksiązę przydzielił nam wielbłądy. Trzydniowa podróż na grzbiecie dromadera pozostanie w mej pamięci na zawsze. Boże, jak to bydle kołysze! W wyprawie wzięło nas udział sześciu. Z nami jechał szejik Harbatasz i wódz świeżo sprzymierzonego plemienia. Osiem wielbłądów kołysało się w miarowym marszu. Gęsiego w wąwozie — natychmiast rozłaziły się w szeroki wachlarz, gdy tylko wążóz rozszerzał się w dolinę. Kierować wielbłądem żaden z nas nie potrafił i wszelkie wskazówki udzielone nam przed podróżą nie zdały się na nic. Wielbłądy lały jak chciały. Jeden z nich, najbardziej narowisty, przewracał się co jakiś czas, by się wytarzać w kurzu. Jean-Pierre, który go dosiadał, musiał dokonywać cudów zręczności by uniknąć zgniecenia. Moje bydlę miało inną przywarę: truchtem podbiegało do poprzednika i zdradziecko szczypało go zębami w... podogonie. Nieszczęśliwiec ryczał straszliwie i puszczał się w galop, nie zważając na protesty jadącego na nim Georges'a. W sumie nie byliśmy dumni z siebie. Mimo przygód karawana dotarła na miejsce, skąd, już pieszo, dotarliśmy na drogę Al-Hudajda — San'a.

W dniu 1 maja 1968 roku, w momencie gdy w Moskwie na Placu Czerwonym odbywała się doroczna defilada, miałem zaszczyt i przyjemność szarpnąć rączką elektrycznego generatora: wybuch wstrząsnął wążozem, wiadukt podniósł się w górę i opadł w tumanach kurzu. W tym momencie, zza zakrętu wynurzyły się sowieckie czołgi. Na szczęście od strony Al-Hudajdy. Zerwany wiadukt uniemożliwił im pościg za nami.

Według planu uchwalonego na radzie książęcej, czterystu

wojowników z nowo sprzymierzonego plemienia zostało w okolicznych skałach, by ogniem broni ręcznej i maszynowej uniemożliwić odbudowę wiaduktu. Droga na San'ę została odcięta. Wydawało się, że zwycięstwo rojalistów jest bliskie.

Wróciliśmy do Beni-Matar. Bombardowanie San'y zaczęło się od nowa. Na wschód od stolicy, za górą Nogum, ustawiono nasz drugi moździerz. Stamtąd inna ekipa pokrywała ogniem cele niedosiężne dla nas. San'a została dosłownie wzięta w „dwa ognie”. Republika zaczęła się chwiać.

Na nasze głowy wyznaczono wysokie ceny: milion riali od łebka! Za żywego lub umarłego. Chodziło bowiem o to, by zdobyć niezbity dowód, że rojaliści nie walczą sami — że jest to obca interwencja. O egipskiej armii, która na całe szczęście wyniosła się i o ciągle obecnych „doradcach” sowieckich obsługujących czołgi, lotnictwo i artylerię wolano nie wspominać. Ale grupa dwudziestu ludzi, walczących po stronie ogromnej większości narodu — to była „obca, imperialistyczna interwencja”. Nasza obecność stawała się przedmiotem rozgrywki politycznej i to na tle ścierania się bloków. Stawaliśmy się stawką w tej rozgrywce. Emir Mohammed ostrzegł byśmy się mieli na baczności i zwiększył nasze straże. ZSRS i jego satelicko-trzecioświatowa sfera zgodnie zaczęli protestować w ONZ przeciw obecności w Jemenie „imperialistycznych najemników na żołdzie CIA”. Protesty jak echo powtarzała „odprężeniowa” opinia publiczna Europy. Zanosilo się na to, że nasz pracodawca, to znaczy Arabia Saudyjska, ulegnie naciskom i nie odnowi nam kontraktów. Nasze kontrakty były sześciomiesięczne: cztery i pół miesiąca w terenie i półtora miesiąca płatnego

urlopu w Europie. Podróż płacona przez pracodawcę. Ten system pozwalał Arabii na szybkie wycofanie się z imprezy bez zrywania bieżących kontraktów: nasze, już trzykrotnie odnawiane, miały się ku końcowi. Byliśmy wszyscy zdenerwowani. Opuścić Jemen teraz, gdy zanosilo się na zwycięstwo — to znaczyło zmarnować wiele miesięcy wysiłków i narażania życia.

Nad doliną Seher'zad leciał Mig 21. Jechaliśmy jeepem środkiem łysej i pustej doliny. Georges skreślił gwałtownie za skalny załom, który dawał raczej iluzoryczne schronienie. Byliśmy w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Mig, przeleciawszy nad nami, zatoczył po mistrzowsku ostry łuk, kładąc się niemal na plecy. Drgnęło odbicie słońca w szybie pilota, a spod skrzydeł błysnęły ogniki odpalanych rakiet. Zakotłowało się wokół nas i zaczęła palić się ziemia. Samolot przeleciał z hukiem i szykował się do powtórnego przelotu.

Georges wyrwał karabin maszynowy z jeepa i dał nura za skałę. Mig wracał w naszą stronę. Georges zaczął strzelać, ja podawałem mu taśmę za taśmą. Okazało się, że nie byliśmy sami. Zza sąsiedniej skały pojawiły się smugi pocisków świetlnych i rozległ się szczekot karabinu maszynowego przemieszany z salwami broni ręcznej. To jakiś oddziałek jemeńskich powstańców grzał do samolotu z czego się dało. Mig wracał. Pilot najwyraźniej chciał nas wykończyć. Jeśli wróg miał dobry wywiad, a na to mieliśmy wiele dowodów, pilot mógł po typie naszego pojazdu domyśleć się, że ma do czynienia z europejskimi doradcami; tak jak my po mistrzowskim pilotowaniu samolotu wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z sowieckim pilotem. Pod jemeńskim obcym niebem Francuz, Belg i Polak z

jednej strony, a sowiecki pilot z drugiej prowadzili wojnę. Miało to wymowę symboliczną dla współczesnych stosunków międzynarodowych. Ale w tym momencie nie zastanawiałem się nad symbolami, zbyt przejęty opanowaniem strachu przed zięjącym ogniem sowieckim samolotem i dbać o to, by George-s'owi nie zabrakło amunicji. Płonął już jeep i skały wokoło, gdy uparty Mig nawrócił po raz czwarty. Chciał dokończyć dzieła, czy tylko upewnić się że nikt nie uszedł, czy też widział błysk strzałów naszego karabinu maszynowego? Znów kładł się na bok w eleganckim przechyle, znów błysk słońca w szybie. Nie, to nie słońce! W miejscu rozbłysku pojawił się dym! Samolot zachybotał się jak rozpędzony wóz na wybojach, poderwał ostro dziób ku niebu, zawahał się i... runął ku ziemi. Tuż nad ziemią, jakby pilot odzyskał na chwilę przytomność, Mig wyprostował swój lot i wyglądało, że będzie lądował. Nie wyciągnął jednak podwozia i widzieliśmy jak rył długo kamienną ziemię w dolinie wzniesając obłok kurzu. Biegliśmy w jego stronę wszyscy: trzej Europejczycy i grupka jemeńskich powstańców, która z wrzaskiem wypadła zza sąsiedniej skały. Z pobliskiej wioski biegly kobiety, dzieci i psy. Dopadliśmy do samolotu. Jakiż wydawał się niegroźny, teraz, gdy leżał z wyrwanym skrzydłem i zmiażdżonym podbrzuszem! W kabine trup w lotniczym kombinezonie. Smużka krwi z ust i dziwnie nienaturalnie zwieszona głowa. Wytrzeszczone niebieskie oczy. Obok przyrządów nawigacyjnych przypięty mapnik, a w nim mapy i dokumenty. Z tych ostatnich wynikało, że nieboszczyk był nie byle kim: upolowaliśmy pułkownika Kozłowa, samego szefa sowieckiej misji doradczej przy „ludowej” republice. Lista podległych mu pilotów: trzydzieści sześć nazwisk. Z innych dokumentów odczytać można było rozmiar



Karabin maszynowy, z którego zestrzelono Miga



Moździerz Hotchkiss-Brandt. Pierwszy od lewej w mundurze — René D.

sowieckiej interwencji.

Dokumenty znalezione przy Kozłowie przekazaliśmy rządowi Arabii Saudyjskiej. Te dowody sowieckiej obecności w Jemenie wystarczyły, by zamknąć gębę tym wszystkim, których gorszyła nasza tu obecność. Pułkownik Kozłow ocalił nasze kontrakty. Podwójnie czule go wspominam: po pierwsze za to, że dał się zabić, co jest niezwykle sympatyczne, jeśli chodzi o bolszewika, a po drugie za to, że przez brak rewolucyjnej czujności dał nam w ręce bezcenne argumenty dla naszego dalszego udziału w wojnie. I bez znaczenia jest fakt, czy zestrzelił go Georges, czy nasi jemeńscy przyjaciele.

-
1. *Hotchkiss-Brandt* — francuski moździerz ciężki 120 mm. Broń na owe czasy rewelacyjna. Nawet dziś, po 20 latach, jest nadal najlepszą w świecie w swojej kategorii. Podczas gdy zasięg moździerzy tego kalibru, amerykańskich i sowieckich, przekracza zaledwie 6 kilometrów, *hotchkiss* ma zasięg skuteczny 13 kilometrów. Moździerz ten posiada lufę gwintową i pocisk, odpowiednio karbowany, zostaje przy wystrzale wprowadzony w ruch obrotowy. Daje to ogromną celność i pewne zwiększenie zasięgu. W moździerzach klasycznych zasięg maksymalny uzyskuje się przez podniesienie lufy do 45 stopni. W *hotchkisie* podniesienie lufy dla zasięgu maksymalnego ma 72 stopnie, a przeszło 15-kilogramowy pocisk odpala dodatkowy napęd raketowy w momencie, gdy znajdując się w apogeum krzywej balistycznej (około 4.000 metrów), przechyli się do 45 stopni. Obsługa moździerza łatwa. Waży nieco ponad połowę wagi swych odpowiedników. Ma własne podwozie. Strzelanie wymagało posługiwania się skomplikowanymi tablicami logarytmicznymi. Dziś jest skomputeryzowany.
 2. Dżebel el Nogum (Góra Nogum) — wysoki, stromy szczyt wznoszący się nad stolicą. Jedyna z okolicznych gór, której nigdy nie udało się zdobyć rojalistom. Zbocze dostępne znajdowało się od strony miasta. Na wierzchołku stary fort, pamiętający jeszcze tureckie czasy. Nogum był świetnym punktem obserwacyjnym dla naszych przeciwników i dawał im wgląd w nasze pozycje.
 3. Beni Matar (Synowie Deszczu) — pasmo gór na południowy wschód od stolicy i nazwa góralskiego plemienia zamieszkującego te góry. Nazwa wzięła się stąd, iż rzeczywiście opady w Beni Matar były znacznie częstsze niż w innych pasmach gór w okolicy.

GENERAŁ, KTÓRY ZDRADZIŁ

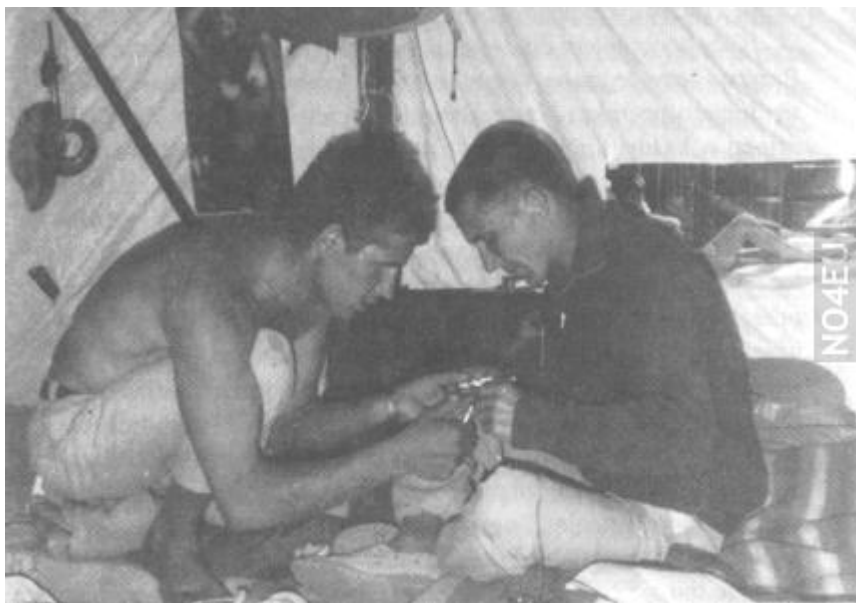
Generał, który zdradził, nazywał się Kassim Monassir. Był wodzem plemienia Had'szyf, którego terytorium rozciągało się na północny wschód od góry Nogum, góry która, jak gigantyczna wieżyca strażnicza sterczała nad stolicą. Na jej szczycie stary, jeszcze przez Turków zbudowany fort służył wrogowi jako świetne miejsce obserwacji. Ale góry rozrzucone za Nogum należały do Kassima Monassira. Nie znałem go osobiście. Ale zawdzięczam mu nieprzespaną noc, pełną rozpacz i rozterki.

Kassim Monassir był szejkiem rodowym swego plemienia. Gdy czerwoni objęli władzę w stolicy, postąpił tak, jak inni szejkowie sąsiednich plemion: zaczął walczyć. Walczył najpierw przeciw ekspedycyjnemu korpusowi Nassera, a później przeciwko „ludowej” armii republiki, kierowanej przez sowieckich doradców. W przeciwieństwie jednak do innych szejków — był doskonałym dowódcą. Toteż szybko zdobył sobie ogromny prestiż i posłuch. Podporządkowały mu się niektóre sąsiednie plemiona. Gdy do Jemenu wrócił bratanek i przedstawiciel imama emir Mohammed z braćmi, Kassim posiadał już znaczenie takie, że nie sposób było potraktować go jak byle szejka i podporządkować go któremuś z książąt. Toteż książę Mohammed przezornie potwierdził jego władzę nad wojskiem i obszarem, którym *de facto* już i tak rządził. By go sobie ująć,

nadał mu nawet — dotąd nie istniejący w Jemenie — tytuł „generała”, który wynosił go ponad innych szejków i czynił niejako równym książętom.

Trzej młodszy bracia emira Mohammeda dowodzili trzema różnymi odcinkami frontu, trzema — jak to się mówi — teatrami wojny. Czwarty należał do Kassima Monassira. Mohammed dowodził całością. Przy każdym z książąt znajdowała się ekipa doradców europejskich, do których należało nie tylko służyć radą w sprawach wojskowych, ale również zapewnienie łączności radiowej między po-szczególnymi sztabami, szkolenie jemeńskich wojowników w posługiwaniu się nowoczesnym sprzętem wojskowym, no i wreszcie obsługiwanie hotchkissów. Jako „równy książętom”, generał Kassim Monassir miał również przydzieloną pięcioosobową ekipę. I żeby już było zupełnie równo, przydzielono mu również jeden z naszych wspaniałych moździerzów. Moździerz ten miał okładać ogniem tę część stolicy, która dla nas, z Beni Matar, była nieosiągalna. W ekipie doradców, a właściwie w obsłudze moździerza znalazł się Ludgier W.

Ludgiera poznałem, gdy jako siedemnastoletni chłopiec przybył do polskiego gimnazjum emigracyjnego w Les Ageux pod Paryżem, gdzie byłem przez szereg lat nauczycielem. Rodzice Ludgiera wyemigrowali z córką do Stanów Zjednoczonych. Starsi bracia, również absolwenci Les Ageux, zostali w Paryżu, Ludgier, dowcipny i wesoły chłopak nie był pozbawiony kompleksów. Uczył się źle. Pomagałem mu ile mogłem udzielając korepetycji. Zaprzyjaźniliśmy się i Ludgier, już po zdaniu matury, często do mnie przyjeżdżał. Gdy w 1965 roku wyjechałem na wojnę do Konga, ku mojemu zdumieniu po paru miesiącach dołączył do mnie Ludgier. Zrobił mi tym



Z Ludgierem w namiocie

ogromną niespodziankę. Ludgier nie miał w sobie nic z żołnierza, a jeszcze mniej z poszukiwacza przygód. To ogromne i silne chłopisko było w gruncie rzeczy łagodne jak baranek. Bojąc się, że mu będę odradzał, nie napisał do mnie, nie podzielił się zamiarem przybycia do Konga. Wiedział, że jestem dowódcą batalionu, więc już na miejscu poprosił o pozwolenie skontaktowania się ze mną. Od tej pory dzielił moją dolę i niedolę. Przyznaję, że jako dowódca starałem się chłopaka jak najmniej narażać. Może to było niesprawiedliwie wobec innych podkomendnych, ale tłumaczyłem się sam przed sobą tym, że Ludgierowi brakowało tej dodatkowej szansy, jaką mieli inni, a którą dawało wojskowe doświadczenie. Razem wróciliśmy do Europy.

Gdy wyjechałem do Jemenu, wiedziałem, że Ludgier cierpi w Paryżu i liczy, że zrobię wszystko, by go sprowadzić. Okazja

trafiła się dopiero po roku. Nasze kontrakty przewidywały sześć tygodni urlopu w każdym półrocznym okresie kontraktowym. W praktyce wyglądało to tak, że wspaniałomyślna Arabia Saudyjska płaciła nam sześć tygodni urlopu po czterech i pół miesiącach obecności na froncie. Po niecałym roku ruszałem więc po raz drugi na urlop do Europy.

Nasz stan osobowy był uszczuplony, gdyż kilku z najstarszych odeszło. Major Martin zlecił mi, bym sprowadził paru godnych zaufania kolegów. Byłem bardzo zaszczycony tym zadaniem, gdyż jak wiadomo miejsca w Jemenie były nieliczne, a chętnych mnóstwo. Będąc lojalny wobec moich francuskich przyjaciół, uzgodniłem z René i Georges'em, że sprowadzę Ludgiera, którego znali już z Konga, i jeszcze jednego nieznanego im Polaka. I tak się stało. Ludgier znalazł się w Jemenie. Co prawda z własnej woli, ale tym razem nie bez mojego udziału. Toteż nic dziwnego, że drżałem na myśl, iż może mu się coś złego przytrafić. Uważałem się jakby za jego starszego brata i czułem się za niego odpowiedzialny. U Kassima Monasira Ludgier był stosunkowo bezpieczny. Jego placówka znajdowała się w miejscu dobrze ukrytym przed sowieckim lotnictwem, a zdyscyplinowane oddziały „generała” gwarantowały, że nieprzyjacieli nigdy nie dotrze do groty, w której żyła nasza piątka. Ludgier odwiedzał mnie czasami. Czasem mnie udało się pojechać „służbowo” w odwiedziny do niego. Opalony, w doskonałym humorze, Ludgier zajmował się nie tylko sprzętem, co było jego głównym zadaniem, ale również czynił ogromne wysiłki, by urozmaicić codzienne baranie *menu* ekipy. Próbował nawet, jako prawdziwy Polak, pędzenia alkoholu z rodzyneków kupionych na targu, i to w dodatku pędzenia w bańce po paliwie, co prawda dobrze umytej, niemniej cuchną-

cej jak stacja benzynowa w upalny dzień.

Aż któregoś popołudnia — grom z jasnego nieba! Nasi Jemeńczycy, zasłuchani w jazgot tranzystorowych radioodbiorników, biegają w podnieceniu z grupki do grupki dyskutując wniebogłosy. Ponieważ w tym zwariowanym kraju nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć, a strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc zainteresowaliśmy się żywo przyczyną zamieszania. Wkrótce wyszło na jaw, co tak naszych wojowników podnieciło: dziennik „ludowego” radia donosił ze stolicy, że „generał” Kassim Monassir przeszedł ze swym wojskiem na stronę czerwonych. Jak już wspomniałem na nasze głowy wyznaczono milionowe nagrody. Kassim przechodząc na stronę przeciwnika miał ogromny atut: pięciu europejskich doradców i francuski nowoczesny mózdzierz. Była to dla niego moneta przetargowa ogromnej wagi, za którą mógł uzyskać obietnice dostojęństw i przywilejów, a wiadomo, że był człowiekiem ambitnym. Wiedzieliśmy, że naszych kolegów czeka straszny los, że — być może — zobaczymy ich głowy na palach wbitych przed murami stolicy. Litości od czerwonych nie spodziewał się nikt, a o konwencji genewskiej w Jemenie nie słyszano.

Ludgier! Na miłość Boską, dlaczego właśnie Ludgier? Złapałem naszego tłumacza i zmusiłem go, by słuchał „czerwonego” radia i powtarzał mi wszystko, co w nim usłyszy. Tymczasem nasze oddziały, sąsiadujące z wojskiem „generała”, potwierdziły wiadomość. Linia frontu przesunęła się. Czy ktoś może się dziwić, że tej nocy nie spałem? Muszę przyznać, że czuwali ze mną wszyscy koledzy, wszyscy jednakowo przejęci wydarzeniem, wszyscy jednakowo zaniepokojeni losem naszej nieszczęsnej piątki. I tak do samego rana. Kawa i nasłuch radiowy, nasłuch radiowy i herbata. Nic o naszych kolegach.

Kassima wita rząd w stolicy. Kassim bohaterem dnia. Kassima przyjął premier. A o naszych głucho. Najgorsze przypuszczenia przychodziły nam do głowy. Może ich wymordowano? Może ich torturują? Może ich zabijają cichaczem, by nie wywołać protestów międzynarodowych? Może ich wysłał do Sowietów?

Rano tuman kurzu na szosie. Jeepy. Skąd jeepy? Nie spodziewaliśmy się nikogo. Zbliżają się, już widać znajome twarze. W pierwszym wozie Ludgier. Widzi mnie. Krzyczy z daleka coś, co wycie silników zagłusza. Biegnę w kierunku kolumny. Przewracam się, podrywam i znowu biegnę...

Generał, który zdradził księcia, nazywał się Kassim Monassir. Tego nazwiska nie zapomnę nigdy. Dlaczego zdradził? Nie wiem. Być może, uraził go któryś z książąt. Może uznał, że republika da mu większe pole do popisu niż monarchia. A może od początku to planował i walczył tylko po to, by się drożej sprzedać. Nie moja rzecz sądzić. Ale nie mogę pominąć przecież sprawy najważniejszej. Dlaczego generał zdradzający księcia nie zdradził swych europejskich doradców? Dlaczego owego pamiętnego dnia, gdy przeszedł na stronę wroga wysłał do nich gońca z nagłą radą: „Uciekajcie!” — i wydał rozkazy, by im w tej ucieczce nie przeszkadzano? Dlaczego pozwolił, żeby zabrali swoją broń i sprzęt? Dlaczego w swej rozgrywce politycznej pozbawił się tak mocnej karty? Generał zdradził księcia. Ale arabska etyka nie pozwoliła mu na zdradę ludzi, którzy jedli jego chleb. Znowu zagrało święte prawo gościnności.

Oto dlaczego generał, który zdradził swego księcia trafi do raju muzułmańskich wojowników i całą wieczność będą go

bawiły hurysy. *Allah Achbar*. Allah jest wielki!

Mój druh serdeczny, Ludgier, umarł przed paru laty w Paryżu po długiej i ciężkiej chorobie. Wspominamy go często i z żalem. Ja i moi przyjaciele. Psy wojny wyją długo, gdy odchodzi ktoś z ich stada...

Z PISTOLETEM I BIBLIĄ

W poczekalni u dentysty panowała cisza przerywana od czasu do czasu jękami dochodzącymi z gabinetu. Nie wpływało to dobrze na moje samopoczucie. Zacząłem przeglądać rozrzucone na stole gazety. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć dla czego pisma zalegające lekarskie poczekalnie są zawsze stare i tak dobrane, jak gdyby klientela lekarska składała się wyłącznie z kucharek. Ze stosu pism poświęconych modzie, życiu na książących dworach tudzież plotkom na temat znanych gwiazd filmowych wyciągnąłem wyświechtany, stary numer paryskiego tygodnika ilustrowanego *Paris Match*. Ucieszyłem się. Pismo to wprawdzie również nie gardzi sensacją, ale zamieszcza oprócz tego sporo świetnych reportaży z całego świata. W poczekalni były jeszcze dwie osoby przede mną. Zacząłem przeglądać *Paris Match* w poszukiwaniu artykułu, który byłby w stanie na tyle mnie zainteresować, bym potrafił zapomnieć zarówno o bólu zęba, jak i o czekającej mnie przeprawie na dentystycznym fotelu. Przerzuciłem kilka kartek i zamarłem: z dużej fotografii zamieszczonej w piśmie patrzył na mnie Jean Kay. Na tle jakiejś hinduskiej pagody spoglądał niewidzącym wzrokiem w obiektyw. Wygolony łeb i wychudła postać przypominały bardziej hinduskiego mnicha, niż mego dawnego towarzysza broni z Jemenu.

Zniknęła poczekalnia dentysty. Głuchy na dolatujące z

gabinetu jęki, zagłębiłem się we wspomnieniach. Jean Kay! Jean'a poznałem w Jemenie. W roku 1967 mieszkaliśmy jakiś czas pod wspólnym namiotem, dzieliliśmy konserwy, pchły i papierosy. Jean był człowiekiem inteligentnym o dużym uroku. Już wtedy miał wyraźne tendencje do mistycyzmu.

Żołnierz-mystyk? Takie skojarzenie jest częstsze niżby się mogło wydawać. Jean uważał, że ze złem należy walczyć z bronią w ręku. Wieczorami, przy zgaszonym świetle, długo przekonywał mnie, że ludziom posiadającym odrobinę odwagi nie wolno „patrzeć i milczeć”, akceptując krzywdę i zło. Jean od najmłodszych lat wymagał wiele od innych, ale jeszcze więcej od siebie. Od innych wymagał lojalności i odwagi. Od siebie wręcz bohaterstwa i poświęcenia. Nigdy nie opowiadał o swoim życiu, o kobietach, o swych licznych, bądź co bądź, podróżach. Wiedzieliśmy, że sporo przeżył, wiele widział, a jeszcze więcej przemyślał. Taki jak on idealista, ze skłonnością do poświęceń, stać by się mógł równie dobrze zakonnikiem-misjonarzem leczącym trędowatych, jak i terrorystą podkładającym bomby w imię „słusznej” sprawy. Ustrzegł go przed tym wybujały, skrajny indywidualizm, nie pozwalający wierzyć w nic, co inni do wierzenia podają. Stąd jego żywiołowa nienawiść do komunizmu głoszącego kolektywizm, tak przeciwny jego naturze indywidualisty.

Urodzony w Algierii, jako młody chłopiec przeżył tamtejszą straszną wojnę domową. Brał w niej nawet pod koniec udział jako osiemnastoletni ochotnik. Gdy de Gaulle przyznał Algierii niepodległość, Jean, jak wielu innych młodych ideowców, dał się wciągnąć w szeregi OAS¹. Jako specjalista w dziedzinie radiokomunikacji nadawał pirackie, antyrządowe audycje na zakresie fal Radio France. Kosztowało go to osiem mie-

sięcy więzienia. Czas wypełniał lekturą Brasillacha, Drie la Rochelle, Celine'a² i Malraux. Te lektury miały mocno zaważyć na postawie przyszłego „najemnika”. Po wyjściu z więzienia szuka schronienia we frankistowskiej Hiszpanii, gdzie już wcześniej znaleźli azyl niektórzy z dawnych przywódców z OAS. Epizod hiszpański trwa długo, zbyt długo jak na gust mojego przyjaciela. Któryś z jego kolegów jest w Jemenie. Jean udaje się tam również.

Nasuwał nam nieodparcie na myśl postać średniowiecznego mnicha-rycerza, lub Don Kichota, i to bez czuwającego nad nim Sancho Pansy. Gdy wojna w Jemenie skończyła się i wróciliśmy do Europy, przez krótki okres kawalerka Kaya w Dzielnicy Łacińskiej Paryża była miejscem spotkań przyjaciół i okolicznościowym domem noclegowym. Później Jean Kay zginął mi z oczu na dłuższy czas. Słyszałem, że pojechał do Libanu, gdzie oddał całą swą wiedzę wojskową na usługi chrześcijańskich falangistów. Wrócił do Paryża z żoną, śliczną, młodą Libanką imieniem Seta i w niedługim czasie został ojcem dziewczynki, malutkiej Emanuelli. Wydawało się, że Jean się ustatkował. W jego kawalerce w Dzielnicy Łacińskiej zamieszkał kolega. Kayowie przenieśli się do niewielkiego mieszkanka opodal. Życie jest życiem i nasze kontakty stawały się coraz bardziej sporadyczne. Wpadałem do nich czasem na pogawędkę, ale Jean stawał się coraz mniej towarzyski, popadał w zamyślenie, odpowiadał półgębkiem. Toteż bywałem tam coraz rzadziej. Wiedziałem, że zaczął pisać wspomnienia³.

Nadszedł rok 1971. Środki masowego przekazu pełne były wiadomości z Bangladeszu. Po drugiej wojnie światowej kraj ten został włączony do Pakistanu, jako tak zwany Pakistan Wschodni. W roku 1970 buntuje się i odrywa od Pakistanu.

Armia Pakistanu prowadzi krwawą wojnę interwencyjną, w wyniku której ginie ponad milion osób, a kraj nawiedza klęska głodu. Francuska telewizja alarmuje społeczeństwo. Andre Malraux, znany pisarz, a podówczas minister kultury i przyjaciel de Geulle'a, wzywa Francuzów do spieszenia z pomocą. Tygodniki ilustrowane pełne są wstrząsających zdjęć. Pomoc organizuje się powoli. Zbyt powoli. Alarmujące wieści z Bangladeszu wskazują na to, że ta opieszala pomoc dojdzie za późno. Brak jest środków leczniczych. W Bangladeszu wybuchają epidemie. Kraje sąsiednie, same w nędzy, nie mogą, a może nie chcą, udzielić pomocy.

Nagle dzienniki telewizyjne podają sensacyjną wiadomość: na podparyskim lotnisku Orly uzbrojony pirat sterroryzował załogę samolotu i żąda, w zamian za wypuszczenie zakładników, by samolot załadowano lekarstwami z przeznaczeniem dla Bangladeszu. Pirat zamierza dostarczyć lekarstwa ginącym mieszkańcom dalekiego kraju. Pirat grozi, że w małej, czarnej walizeczce, którą wniósł na pokład jest bomba zdolna wysadzić samolot. Wszystkie dzienniki radiowe podają w kilka godzin później, że różne organizacje charytatywne zaczęły zbiórkę. Pierwsze transporty lekarstw trafiają na Orly. Wreszcie wieczorem ujawniono, że piratem jest „były najemnik” Jean Kay.

Ciężarówki zwożą lekarstwa. Zaczyna się załadunek. W miejsce pracowników lotniska, skrzynie z lekarstwami wnoszą na pokład przebrani za robotników policjanci. Szamotanina. Pada strzał. Jean Kay zostaje obezwładniony. Strzelił do policjanta. Na szczęście pocisk utknął w kuloodpornej kamizelce. Ku ogólnemu zdumieniu, w owej czarnej walizeczce policja wykryła nie bombę, lecz biblię. Jean znalazł się w więzieniu,

ale czyn jego nie poszedł na marne. Samolot załadowany kilkudziesięcioma tonami lekarstw poleciał do Bangladeszu.

Odwiedzałem wówczas często Setę, jego żonę. Pytałem w czym mogę pomóc. Prosiła o pomoc w mobilizowaniu opinii publicznej w obronie Jeana. Obeszło się jednak bez mojej pomocy. Opinii publicznej zaimponowała odwaga i bezinteresowność tego bladego, smukłego młodzieńca o smutnym, zamyślonym spojrzeniu, którego pokazała telewizja. Najlepszym obrońcą okazał się sam Malraux. Nie szczędził ni starań ni wpływów, a miał je ogromne, toteż gdy po ośmiu miesiącach nadszedł dzień procesu, opinia publiczna znalazła sobie nowego bohatera. Gazety donosiły, że w Dakce, stolicy Bangladeszu nazwano jedną z ulic imieniem Jean Kay. Na procesie wystąpił sam Malraux. Powiedział, że kto wie czy, gdyby był młodszy, nie zrobiłby tego samego. Główny zarzut — strzał do policjanta — został zbagatelizowany przez samą ofiarę. Policjant patrząc z widoczną przyjaźnią, a nawet podziwem, na oskarżonego stwierdził, iż jego zdaniem strzał padł przypadkowo, w zamieszaniu. W tych warunkach sąd uwzględnił okoliczności łagodzące i wydał wyrok... z zawieszeniem. Jean wyszedł na wolność. Wkrótce zniknął z Paryża. Zniknęła również jego żona, czarnowłosa Seta i maleńka Emanuella.

Długo było głucho o romantycznym rozbójniku. Powoli zapominaliśmy o nim. Czasami tylko wracał w rozmowach przyjaciół, gdy przy szklance wina wspominaliśmy dawne czasy, może niebezpieczne i trudne, ale jakże bajecznie kolorowe. Przeważało zdanie, iż policji udało się obezwładnić Jeana tylko dlatego, że był sam i wyczerpany długotrwałym napięciem, jakiego wymagało równoczesne kontrolowanie okolic samolotu i pilnowaniem zakładników. Gdyby dopuścił do

tajemnicy któregoś z nas! Przecież żaden nie odmówiłby mu pomocy! Ale Jean Kay pozostał takim, jakim był przez całe życie: samotnikiem. A może bał się naszej ironii? W naszym środowisku „twardych ludzi” dwa tylko były dopuszczalne powody do ryzykowania własnej skóry: pieniądze lub idea. Jean działał z litości. I nie zgadł, że pod pozorną gruboskórnością jego przyjaciół znalazłby więcej zrozumienia niż gdziekolwiek indziej, w jakimkolwiek innym środowisku.

I znów zapomnieliśmy o nim! Zajęci zawodowo, struci szarym, cywilnym życiem spotykaliśmy się coraz rzadziej, instynktownie broniąc się przed wpadnięciem w „kompleks kombatanta”. O niektórych towarzyszach nie mieliśmy żadnych wiadomości. Nie mówiliśmy o nich. Może dlatego, że podświadomie byliśmy przekonani, iż oni, gdzieś w szerokim świecie, kontynuują „Wielką Przygodę”. Gdy świłała taka myśl — nurtowała nas zazdrość, do której nie chcieliśmy się przyznać. Każdy z nas przeżył na swój sposób, ale zawsze tragicznie, własne prywatne „pożegnanie z bronią”.

Nadszedł rok 1976. W lipcu wybuchła głośna „afery Dassault”, od nazwiska słynnego francuskiego konstruktora samolotów i miliardera. Prawa ręka Marcela Dassault i jego pełnomocnik finansowy, Herve de Vathaire, zdefraudował w dziwnych okolicznościach osiem milionów franków. De Vathaire zeznał na swym procesie, iż sumę tę wręczył w zamian za jakieś kompromitujące papiery niejakiemu Jean Kay. Marcel Dassault odmówił złożenia skargi nie tylko przeciw swemu pracownikowi, lecz również przeciw rzekomemu szantażyście. Dziwna ta sprawa nigdy nie została do końca wyjaśniona. Mogłoby się wydawać, i tak to ówczesnie naświetlała część prasy, że nasz dawny przyjaciel stoczył się na złe drogi, zdobył

szantażem okazał się majątek i pędzi wesołe życie gdzieś w Ameryce Południowej.

Wśród nas, którzy znaliśmy Jeana, ta wersja nie miała powodzenia. Węszyliśmy raczej jakąś aferę polityczną. Marcel Dassault był człowiekiem znanym z dobroci, ale przecież nie do tego stopnia, by nie wnieść skargi przeciw defraudantowi, który go zdradził, i szantażyście, który go obrabował z okazałej, nawet jak na miliardera, sumy. Artykuł przeczytany w poczekalni u dentysty utwierdził mnie jeszcze bardziej w przekonaniu, że tak być nie mogło: reporter *Paris Match* znalazł Kaya nie w luskusowym hotelu w Rio de Janeiro, lecz w nędznej lepiance w najuboższej części Indii. Bez śladu pieniędzy i bogactwa. Więc chyba nasza wersja była słuszna. Przypuszczaliśmy bowiem od początku, że Jean Kay wziął pieniądze nie dla siebie. Najprawdopodobniej sumę tę przeznaczył na zakup broni dla libańskich chrześcijan wspomaganych przez Izrael, a zagrożonych przez muzułmańskich fanatyków. Wówczas przestaje być dziwne, że Dassault nie złożył skargi. Przypuszczalnie cała sprawa od początku do końca była ukartowana. Jeśli Dassault pragnął pomóc libańskim chrześcijanom, on, miliarder i katolik żydowskiego pochodzenia, nie mógł uczynić tego jawnie w dobie zakazu wywozu dewiz z Francji, a szczególnie w momencie, gdy samoloty Dassault nabywały w większości państwa arabskie. Cóż wtedy łatwiejszego, niż dać się okraść? A komu powierzyć pośrednictwo jak nie oddanemu i zaufanemu pracownikowi, za którego uchodził Vathaire. A kto nadawał się lepiej, by załatwić uczciwie zakup broni i przekazać ją pod właściwy adres, jeśli nie Jean Kay?

Czy Jean Kay żyje nadal w Indiach? Czy znalazł wreszcie spokój duszy zagłębiając się w medytacjach w kraju, gdzie to

nie dziwi nikogo, a gdzie poszukiwanie sensu życia ciągle jeszcze budzi szacunek, a nie drwiny?

-
1. OAS — *Organisation de l'Armee Secrete*. Tajna organizacja, która powstała w celu obrony francuskiej Algierii. De Gaulle doszedł do władzy we Francji, gdy okazało się, że rządy IV Republiki nie są w stanie rozwiązać konfliktu algierskiego. De Gaulle posiadał zaufanie wojskowych i ludności francuskiej Algierii, jak również tej części ludności tubylczej, która wiązała swe losy z Francją. Wszyscy poczuli się zdradzeni, gdy de Gaulle rozpoczął rokowania, które skończyły się podpisaniem umowy w Evian przyznającej Algierii niepodległość.
 2. Brasillach, Drieu la Rochelle i Celine — trójka pisarzy „wyklętych”. Pierwsi dwaj „przedstawiali”, każdy na swój sposób, ideologie skrajnej francuskiej prawicy, która doszczętnie skompromitowała się kolaboracją w czasie wojny. Jednakże bardziej lub mniej kompromitujące zachowanie autorów nie odbiera wartości ich dziełom. Trzeci, Celine, znany był przed wojną z ostrej krytyki lewicowego komfortu myślowego. Głosił przy tym tezy antysemickie, co wystarczyło by w latach powojennych zrobić z niego faszystę, którym nigdy nie był.
 3. Jean Kay wydał w sumie dwie książki, o niewielkim zresztą nakładzie: *Z bronią w sercu i Szaleńcy wojny*. Pierwsza, bardziej intymna, łączy wspomnienia osobiste z rozważaniami autora. Druga jest swoistą apologią świata „najemników”.

POŻEGNANIE Z BRONIA

Dziś (rok 1988) gazety paryskie reklamują wycieczki turystyczne do Północnego Jemenu. Francusko-amerykańskie konsorcjum wykryło ropę naftową w wystarczających ponoć na rentowną eksploatację ilościach. W San'a luksusowe hotele czekają na turystów. Francuskie pismo ekonomiczne donosi, że Jemen wyposaża się w nowoczesne komputery. Moi zbójcy z krzywymi kindzałami za pasem są atrakcją dla zwiedzających. Folklor!

Gdy pod koniec grudnia 1969 roku opuszczaliśmy ten kraj, nastroje były ponure. Najpierw uprzedzono nas, że kontrakty dobiegają końca w lutym 1970 roku i nie zostaną odnowione, a w kilka dni później, że... zostały zerwane. Och, nie byliśmy poszkodowani! Arabia Saudyjska wypłaciła co do grosza to, co nam się do końca kontraktów należało. Ale byliśmy rozżaleni, że musimy odjechać w momencie, gdy zwycięstwo zdawało się bliskie. Baliśmy się, że strach, nasz pot i nasze rany, śmierć Georges'a — że to wszystko pójdzie na marne. Baliśmy się również o naszych wojowników- górali, którzy tu zostawali. Baliśmy się o ten piękny, dziki kraj, bo wszyscy wiedzieliśmy czym jest komunizm i czym kończy się jego wprowadzenie. Dusilo nas przeczucie, że nastąpił moment pożegnania z

bronią.

W Europie losy rozdzieliły nas szybko. Jedni „przeszli do cywila”, drudzy szukali dalszych przygód. Czy je znaleźli? Nie wiem. Wśród tych pierwszych znalazłem się i ja. Z żalem. Ale zmusiły mnie okoliczności rodzinne. Trzy i pół roku walczyłem z bolszewizmem tam, gdzie walczyć się dało. Byłem trzy razy ranny. Kilkakrotnie otarłem się z bliska o śmierć. Ale to były niewątpliwie moje najpiękniejsze lata. Lata życia pełną piersią, lata poczucia walki zgodnie z sumieniem.

Bilans? Kongo dziś nazywa się Zair. Dyktatura Mobutu „daleka jest od wzorców demokracji”. Ale olbrzymie złoża uranu, kobaltu, miedzi i diamentów nie służą czerwonemu. W jakimś tam maleńkim stopniu jest w tym i moja zasługa. Choćby całą moją działalność sprowadzić do kłucia szpilką. „Milion ukłuć szpilką i słonia zabije” — powiedział Mao. Niech więc każdy chwytą za szpilkę i kłuje!

W Jemenie obie walczące strony dogadały się. Nie wiedzieliśmy opuszczając ten kraj, że rokowania były prowadzone już od miesięcy. Jemen pozostał republiką. Ale nie komunistyczną. Na początku 1970 roku wydalono „doradców” sowieckich. Zamknięto sowiecką bazę w Al-Hudejda. W lipcu tegoż roku Jemen Północny wznowił stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi i uzyskał od nich pomoc. 300 tysięcy uchodźców z Południowego, „ludowego” Jemenu napłynęło jeszcze tego samego roku. W 1979 roku Południowy Jemen napadł na Północny, próbując go przyłączyć siłą (na wzór Korei, gdzie się to nie udało, czy też Wietnamu, gdzie, niestety, się powiodło). 300 milionów dolarów pomocy wojskowej od USA. Inwazja

załamala się. Zamachy stanu. Kraj jest „daleki od wzorców demokracji”. Ale jest wolny. I ma przed sobą przyszłość. I w tym jest i moja maleńka zasługa.

Paryż, kwiecień 1988

SPIS ROZDZIAŁÓW

Od autora	4
Wstęp	5
Żegnaj bezpieko.....	9

KONGO

W przedsionku „wielkiej przygody”	21
Zielona dżungla i czerwona rewolucja	29
Mulele maj.....	38
Dolary zielenią się w dżungli	50
Bombki bez choinki i fajerwerki w sylwestrową noc	58
Rybak z różna	62
Mchawi Mukundu i trzech legionistów.....	69
Hanys	80
Sierżant Wiatr.....	85
O Krasickim nie bajka	91
Mojżesz Czombe—wódz Katangi.....	101

JEMEN

Jemen, gdzie to jest?.....	115
Dżidda, wrota islamu.....	124
Troglodyci i Beduini	134
Egipskie mumie i sowieckie czołgi	159
Honor szejka Harba'tasza.....	172
Czerwona dżuma zabija w Jemenie.....	188
O łowcach czołgów i sowieckim cudzie	199
Hotchkiss-Brandt i pułkownik Kozłów.....	207
Generał, który zdradził	224
Z pistoletem i Biblią	231
Pożegnanie z bronią	239